299924

BIBLIOTEKA ZAŚCIANKOWA.

TOM IV.

POWIEŚCI NIEBOSZCZYKA PANTOFLA.

Z PAPIERÓW PO NIM POZOSTAŁYCH

WYBRANE I OGŁOSZONE PRZEZ

ELEONORĘ SZTYMER.

WYDANIE DRUGIE.

TOM DRUGI.

Cena kop. 75.

PETERSBURG.

NAKŁAD I DRUK BOLESŁAWA MAURYCEGO WOLFFA.

1860.

Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Petersburg 28 Maja 1860 roku.

Cenzor, Radca Stanu, Obert.

URYWKI Z PAMIĘTNIKA
ORYGINALNIE WYCHOWANÉJ KOBIÉTY.

DO MOJÉJ OLESI.

O miłe dziécię!
Nimeś na świecie
Oczki odkryła,
Wieszli gdzieś była?
Byłaś ty w raju,
W niebieskim gaju,
Między anioły,
Co z tobą społy,
Jak jednéj matki
Rodzone dziatki,
Nieskazitelne
I nieśmiertelne,
Grały u zdroju
Szczęścia — pokoju!
A gdy dla ciebie
Zegar na niebie
Wybił godzinę,
Wraz cię anieli
Na rączki wzięli,
I napół śpiącą,
Mile marzącą,
Złotemi pióry
Przynieśli z góry,
Jako sądzono,
Do mnie na łono!

Więc miłe dziécię!
Pomnieć ci trzeba,
Żeś ty na świecie
Wygnanka nieba!
Że dla pokuty
Duch w ciało wkuty,
Z myślą o niebie,
Żyje na ziemi,
I dręczy siebie
Dumy swojemi!

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ŻYCIE BEZ MIŁOŚCI.

Plus l'homme veut vivre selon l'esprit, plus la vie présente lui devient amère, parcequ'il sent mieux et qu'il voit plus clairement, les défauts de la corruption humaine....

FRÈRE JEAN GERSEN.

Wer erfreute sich des Lebens
Der in seine Tiefen blickt!

SCHILLER.

*Rudnica, 30 Września, 184**

Dziś, kiedy zaczynam pisać ten pamiętnik, skończyło mi się 24 lat!

Inne kobiéty w tym wieku, po większéj części przeżyły już szczęśliwą epokę pierwszéj miłości, powychodziły zamąż, zapomniały tego, czém ich zajmowano na pensji, mają swój dom, doczekały się dziatek i marzą o ich przyszłości.... ja dziś dopiero skończyłam edukację!

Inne kobiéty piją oddawna rozkosz lub gorycz z kielicha świata, kręcą się w jego odmęcie, między życzeniem i obawą, rozkoszą i smutkiem, śmiechem i nudą—słowem, żyją; ja dotąd marzy-

łam tylko o tém i uczyłam się jak żyć należy. Przepędziwszy całą młodość samotna, w głębokiéj wiejskiéj zaciszy, słuchałam co mi ojciec mówił o świecie i ludziach, podobna do człowieka, który przed bramą nieznajomego domu zabiera wiadomość o tych, co w nim mieszkają. Z jego opowiadań znam świat, prawie tak dobrze jak geografję chińskiego państwa; pragnę przestąpić przez próg, który mnie od niego oddziela; ale kiedy pomyślę, że to ma wkrótce nastąpić, serce moje napełnia się trwogą, jak gdyby mi wypadało iść o północy na mogiłę matki!....

Inne kobiéty idą zwolna, krok za krokiem, na spotkanie społeczności, oczy ich stopniowo przyzwyczajają się do wszystkiego, a umysł takąż samą drogą wychodzi z dziecinnéj prostoty; przed mojém okiem nagle odsłoni się kurtyna teatru świata, wiele rzeczy może oślepi mój wzrok, ale umysłu mego nic nie zadziwi, bo wiem zawczasu co spotkam! Mój Boże! gdyby druga kobiéta w tym wieku wzięła pióro do ręki, o jakąż długą historję mogłaby wpisać do swego pamiętnika! a ja, cóż tu pomieszczę? Życie moje dotąd było tak ciche, tak jednostajne, tak systematycznie rozwinięte podług raz nakreślonego planu, że dość jest wiedzieć pierwszy i ostatni dzień tego perjodu, żeby powziąść o nim pojęcie.

Pierwszy dzień i jego skutki.

Ten dzień najnieszczęśliwszy z mego życia, bo w nim straciłam matkę. Najęta ochmistrzyni, kobiéta najlepszego serca, czuła i troskliwa, ale bierna jak echo woli mego ojca, zastąpiła jéj miejsce; zastąpiła ją w takim stopniu, w jakim tylko może obca osoba; lecz niezupełnie: bo któż w świecie potrafi być matką dziecięcia, oprócz téj, którą mu dało niebo? Ona kochała mnie niewypowiedzianie, troszczyła się o moje zdrowie, odzienie, wesołość, pragnęła szczerze mego szczęścia, a jednak jak tylko rozwinął się mój rozsądek, pojęłam natychmiast, że mi brakowało matki. Sama moja dobra ochmistrzyni tłómaczyła mi często ważność téj straty, nazywała mnie *sierotką*, i kiedy wymawiała to słowo, łzy mimowolnie zbierały się na jéj oczach. Z nią chodziłam wieczorami na mogiłę matki, polewałam na niéj kwiaty, modliłam się za jéj duszę i rozmawiałam z nią, jak gdyby mogła mi odpowiedzieć z nieba! Dziś, kiedy przypominam sobie te rozmowy z ochmistrzynią na samotnym wiejskim cmętarzu, widzę, że zacna kobiéta miała

słuszność: gdyby opiekuńczy promień macierzyńskiéj miłości oświecał i ogrzewał był moje serce, miałabym zapewne inny charakter. Czuję, że we mnie jest coś nienaturalnego — jestem podobna do kwiatka, który wyrosł w sztucznych parnikach, ogrzewany ciepłem podług termometru, polewany odmierzoną wodą i przywiązany ciągle do słupka. Nigdy taki kwiat nie będzie miał świetnéj barwy i świeżości, które wolne powietrze, słońce, rosa i powiew zefiru nadają drugim bez żadnéj sztuki!

Ojcze mój! szanowny starcze! daruj, że słabą ręką kréślę tu twój portret. Xawery C***, ostatni potomek szlachetnego rodu, ukończywszy w młodości edukację w kraju, wojażował potém kilka lat za granicą dla dopełnienia doświadczeniem tego, czego nie znalazł w książkach. Posiadając niepospolite oświecenie, obdarzony rzadką przenikliwością i nieporywczy w sądzeniu, obserwował ludzi okiem filozofa i z czasem nabył rzadkiéj wprawy w ich poznaniu. Wróciwszy do Warszawy, młody, bogaty, utalentowany, pokochał namiętnie jedną młodą osobę i ofiarował jéj swą rękę. Przeciw oczekiwaniu wszystkich, panna odmówiła mu, i wkrótce potém wyszła za młodzieńca bez imienia, bez majątku, a co gorsza, bez żadnych przymiotów umysłu i serca, któreby mogły usprawiedliwić jéj wybór. Była to zbyt ślepa miłość, i gdyby w duszy mego ojca znajdowało się tyle egoizmu, ile go zwyczajnie widać w każdym wzgardzonym zalotniku, to mógłby był pospolicie przyjętym sposobem, to jest, szyderstwem i obmową, zemścić się nad swoją ulubioną. Ojciec mój postąpił przeciwnie: przytłumił bolesne uczucia w sercu, został przyjacielem téj, która go odrzuciła, i zawsze uniewinniał jéj postępek. Starania jego, znaleźć przyjaciela, zostały również zawiedzione. Tam gdzie szukał otwartości, dobroci i przywiązania, spotkał fałsz, ukrytą złość i interes. Jedném słowem, człowiek, co zdawało się powinien był znaleźć wstęp do każdego serca, dla tego, że mógł z nim podzielić tyle szlachetnych uczuć, nie mógł się niczego dobić od świata, oziębł dla niego stopniowo i został samotny! Okropne to musiały być chwile, kiedy to szlachetne serce, pożegnawszy swoje ideały, porzucało na zawsze marzenia i natomiast poddawało się zupełnie pod władzę zimnego rozumu! Kosztowało go to zapewne wiele, ale raz zdecydowawszy się, unikał potém stale wszelkich związków, które podług jego zdania, nie mogły być trwałemi. Odtąd utrzymywał zawsze, że lepiéj jest *obserwować* miłość i przyjaźń, jak ich *doświadczać*, lepiéj czynić dobrze drugim z miłości bliźniego, niż z innych prze-

mijających pobudek, lepiéj kochać wszystkich, niż kilku, słowem, społeczność przemieniła się dla niego *w książkę*, którą lubił czytać, nad którą się zastanawiał, niekiedy śmiał się, niekiedy płakał, i która go tyle zajmowała, że przestał myśleć o sobie.

Ojciec mój nie miał żadnego zamiaru żenić się, i zapewne byłby samotnie przeżył swój wiek, gdyby daleki krewny umierając, nie naznaczył go opiekunem córki sieroty, którą zostawiał po sobie. Tą sierotą była moja matka. Pan Xawery, chcąc sumiennie wypełnić wolę nieboszczyka, i nie wiedząc co zrobić ż ośmnastoletnią panną, nie mając familijnego domu i nie życząc sobie oddać ją obcym ludziom, po długiém wahaniu się wyjawił jéj swoję niespokojność, i spytał, czy jéj się podoba kto z młodzieży? — Żaden odpowiedziała moja matka. Pan Xawery, pomyślawszy nieco, zapytał znów, czy mogłaby wyjść za człowieka w wieku, któryby ofiarował jéj swą rękę bez miłości, lecz z zamiarem być jéj przyjacielem i opiekunem? — Matka moja oceniła tę szlachetną otwartość, podała mu dłoń, i na tém się skończył cały ich romans. Ojciec dotąd utrzymuje, że człowiek z dobrém sercem, uczciwy i rozsądny, może być bez miłości najlepszym mężem, i więcéj uszczęśliwić kobiétę, niż ten, który namiętnie był zakochany przed zawarciem małżeństwa. Nie potrafię tego rozstrzygnąć ale wiem, że matka moja była szczęśliwą żoną.

Straciwszy ją, ojciec mój postanowił natychmiast wyjechać na wieś, złożyć tam drogie szczątki i poświęcić resztę życia na moje wychowanie. Przy blasku żałobnych pochodni, które gorzały około nieboszczki, nakréślił sobie plan i stale go się potém trzymał. Oto są główniejsze zasady, na których wszystko się opierało:

Ojciec mój zapatrując się na świat długo i bacznie, przekonał się, że większa część kobiét nie znajduje szczęścia w małżeństwie z dwóch przyczyn: *naprzód* dla tego, że wchodzą w towarzystwo w wieku zbyt młodym, a *powtóre*, z braku należytego rozwinięcia władz umysłowych. Co do pierwszego, utrzymuje on, że do 25 roku namiętności tak silnie burzą się w młodém kobiécém łonie i tyle zaślepiają rozsądek, że szczęśliwy wybór męża jest więcéj trafem, albo łaską Bożą, niż skutkiem przekonania wybierającéj. W tym wieku każda błyskotka wydaje się kobiécie złotem. Same nawet fizyczne siły są jeszcze zbyt słabe dla macierzyńskiego zawodu i gotują jéj przedwczesną mogiłę. Zwyczajnie młoda kobiéta wybiera młodego mężczyznę; oboje jeszcze dzieci. Zdaje im się, że się najlepiéj dobrali, nie myśląc wcale o tém, że charaktery ich

nie są jeszcze ustalone, i że stawszy się ludźmi dojrzałymi, mogą się nie przydać jedno dla drugiego. Od ołtarza biegną wesoło na obszerną płaszczyznę życia, trzymając się mocno za ręce. Z początku jedna tylko droga, i ta usłana kwiatami, idą więc razem; ale potém co krok to od gościńca odchodzi nowa ścieżka w prawo lub w lewo, na każdéj jest coś zajmującego — on chce iść po jednéj, ona po drugiéj; on ciągnie w swoję stronę, ona w swoję; jedno drugiego nie słucha, puszczają dłoń z dłoni i rozbiegają się na zawsze! Sami często nie mogą pojąć, jakim sposobem błahe powody, bagatele i dziecińśtwa, mogły zerwać związek serc, które zdawały się być stworzone dla wzajemnego uszczęśliwienia. Mężczyzna zwyczajnie mniéj na tém traci: jemu zostaje służba, honory, sława, nauki — kobiéta traci wszystko!

Co się zaś tycze rozwinięcia władz umysłowych kobiéty, to ojciec mój sądzi, że wychowanie naszych panien jest zbyt powierzchowne. Ukończywszy edukację, panna zwyczajnie posiada dość dobrze francuzczyznę, cokolwiek innych języków, cokolwiek historji, cokolwiek geografji, cokolwiek muzyki i rysunków, i odrobinkę arytmetyki, słowem, posiada tyle, ile potrzeba, ażeby rozmawiać o pogodzie, strojach i balu, i czytać powieści. Myśli jéj i sądzenia o rzeczach są zupełnie dziecinne. Ztąd téż wypada potém, że kiedy przejdzie pierwsza miłość i miodowy miesiąc małżeństwa, mężczyzna ze średniém nawet oświeceniem widzi w swéj małżonce istotę prostą, naiwną, niepojmującą niczego, kobiétę, z którą nie może się podzielić ani swemi myślami, ani nauką, i z którą trzeba rozmawiać albo o czepkach, albo o cenie kartofli na rynku; przy najlepszém nawet sercu spostrzega, że mu sił nie starczy toczyć przed sobą całe życie tę bryłę gliny; uważa z żalem, że dzieci mogą od niéj odebrać tylko takie wychowanie, jak kurczęta od kury, i mimowolnie traci dla niéj szacunek. Nie zważając na tysiączne przykłady małżeństw nieszczęśliwych z powodu nieoświecenia żon, i wbrew przeciw pojęciom o naturze duszy, przesąd utrzymuje dotąd w społeczności, że nauki są dla kobiét niedostępne i niepotrzebne. Bóg wie zkąd to poszło? Jest to może jeszcze zabytek tego wieku, kiedy kobiéty uważano za niewolnice i odmawiano im wszelkich praw człowieczeństwa; ale dziś czas już przekonaćby się o tém, że umysł nie chodzi ani we fraku, ani w sukience. Myśl, ta essencja nieśmiertelnéj duszy, jest udziałem wszystkich ludzi, bez względu na płeć, i każdy powinien ją rozwijać tyle, ile to rozwinięcie może być użytecznem dla niego i dla społe-

czności. — Sądzę, mówi ojciec, że kobiéta dobrze ukształcona, zamiast zwyczajnego szczebiotania pustych słów, powinna mówić jasno, zwięźle, żywszym i kwiecistszym stylem jak mężczyzna; sądzić o wszystkiém zdrowo, mieć gruntowne pojęcie o swoich obowiązkach, o swojém przeznaczeniu, i o towarzystwie, w którém żyje; powinna nareszcie posiadać gruntownie ten oddział ludzkich wiadomości, który, nie będąc wyłączną potrzebą jakiegokolwiek stanu, składa, że tak powiem, niezbędne oświecenie każdego człowieka.

Taką edukację odebrałam od ojca.

D z i ś.

Dziś po spowiedzi ojciec mnie pobłogosławił ze łzami i rzekł: Twoje wychowanie skończone. Teraz polecam cię Bogu i twemu rozsądkowi. Dotąd byłaś córką, od dzisiejszego dnia bądź moją przyjaciółką.

Jeśli kiedy kobiéta miała ważny powód zastanowić się nad sobą, to zapewne ja w téj chwili.

Mimowolnie pytam sama siebie, czy straciłam co przez moje długie dzieciństwo? i odpowiadam sobie, że nic, a przynajmniéj niewiele. Chociaż mój wiek nie jest już pierwszą młodością kobiéty, jednakże życie na wsi, rozsądne rozporządzenie czasu dla potrzeb ciała i umysłu, mocna konstytucja i czerstwe zdrowie, wszystko to skrywa część moch lat i czyni mnie na widok daleko młodszą jak jestem w istocie. Zwierciadło mówi mi, że jeżeli nie jestem piękną, to bezwątpienia zasługuję na nazwisko przystojnéj, i mogę się podobać. Ojciec bez żadnego podchlebstwa powiada, że mam zdrowy rozsądek, żywą i świetną wyobraźnię, elektryzującą potoczną rozmowę i wreszcie gruntowne oświecenie bez pedantyzmu i zarozumiałości. Przymioty te, podług jego zdania, mogą mi zjednać przyjaźń każdego rozsądnego człowieka, dla tego, że nic mocniéj ludzi nie łączy, jak równe oświecenie, dozwalające im mieniać się własnemi myślami. Nakoniec religja, moralność i dobre serce, mogą się światu podobać lub nie, ale zdaje mi się, że je posiadam.

Tyle z méj istoty mogę udzielić towarzystwu otwarcie; to, co mi zostaje, jest wyłącznie moją własnością. O moim charakterze ludzie będą tylko robili wnioski, i pod powłoką światowości może

nikt go nie pozna i nie oceni! Mówiła mi często ochmistrzyni, że charakter mój jest na połowę męzki, i ja sama widzę, że on niezupełnie kobiécy; ale nie mogło być inaczéj. Przepędziwszy najlepsze moje lata na wsi, nie mając prawie innego towarzystwa nad ojca, który był moim przyjacielem, mistrzem i doradzcą, napiłam się jego maksymami, część subtelnéj natury kobiécéj, że tak powiem, ulotniła się ze mnie, i takim sposobem odróżniłam się od innych kobiét. One w tym wieku są po większéj części lekkomyślne, ja zastanawiam się nad wszystkiém, co mnie otacza, i rozważam każdy swój krok; one są lękliwe, ja czuję w sobie moc narazić się na niebezpieczeństwo i wycierpieć bez szemrania boleść nie tylko fizyczną, lecz i moralną; one obojętnie patrzą na życie i losy społeczności, ja chcę obserwować bacznie; każde szlachetne uczucie, każdy wysoki czyn, każde poświęcenie się dla ludzkości znajduje echo w mém sercu i napawa mnie niewypowiedzianą rozkoszą, a przeciwnie każdy cień fałszu, interesu lub podłości, na długo truje mi spokojność; one zwyczajnie wesołe, i w każdéj chwili wiedzą czego im potrzeba, ja najczęściéj smutna bez żadnéj przyczyny. Dziwna rzecz! w głuszy wiejskiéj, daleko od świata, serce moje znajduje się w ciągłéj niezgodzie z głową, umysł mój wyszukuje we wszystkiém ciemnéj strony i zatruwa mi każdą niewinną rozkosz. Jeśli piękną różę wezmę do rąk, jakiś złowieszczy głos szepce mi, że to tylko *trup róży*, że w niéj nie masz już życia, i rzucam kwiat, nie chcąc patrzeć, jak zwiędłe listki posypią się na ziemię. Jeśli daję ubogiemu jałmużnę, przychodzi mi natychmiast na myśl, że on jéj na złe użyje i może będzie szydził z mojéj dobroci; darzę go co prędzéj, i odwracam się od niego, żeby nie stracić dobréj chęci. Jeśli kto z ludzi domowych okazuje mi swoją przychylność, wraz mi się zdaje, że musi mieć do mnie jaką prośbę. Wśród największéj wesołości, wśród śmiechu i swawoli dziewczęcéj, zatrzymuję się często nagle i czuję niezwyciężoną potrzebę samotności, a niekiedy płaczu. Nie masz nic zwyczajniejszego w mojém życiu, jak nagłe przechody od śmiechu do łez, i naodwrót. Mam zawsze coś na myśli, co mnie nabawia niespokojności lub smutku, i takim sposobem cała młodość moja upłynęła w cierpieniu....

Gdyby kto w téj chwili mógł zajrzeć w duszę mego ojca i w moję, o! jakążby znalazł różnicę między naszemi myślami! Szanowny starzec, poświęciwszy 24 lat na wychowanie i ukształcenie jedynéj córki, chlubiąc się w duszy z pomyślnego skutku swych

usiłowań, kwapi się wprowadzić mnie w świat, nie wątpiąc bynajmniéj o tém, że mnie tam czekają oklaski, uwielbienie, szacunek miłość, jedném słowem, szczęście. Za kilka dni daje on bal, na który sprosił lepsze towarzystwo z całéj okolicy. Ma to być pierwszy mój tryumf, a wkrótce potém wyjeżdżamy do Warszawy. Dobry mój ojciec jest dziś więcéj szczęśliwy, jak autor, co pracowawszy całe życie nad ważném dziełem, widzi je wreszcie wydrukowaném i przedstawia na sąd świata. Mój stan zupełnie inny. Mnie się zdaje, że mam wypłynąć na niezmierzony, burzliwy ocean, dają mi mocny okręt, mnóstwo żagli, bussolę i mappy, i życzą szczęśliwéj podróży!...

---

3 Października.

Bale, dzięki Bogu! skończyły się.

Mówię, bale, dla tego, że ich razem było trzy: jeden w pokojach dla ludzi szlachetnego rodu, drugi dla ich służących w oficynach, a trzeci dla koni w stajniach. Ojciec mój utrzymuje, że w prowincji *jednego* balu dać nie można. Gdzie się najlepiéj bawili, gdzie najkorzystniéj użyli czasu? tego nie wiem.

Zjechało się tu mnóstwo gości. Każdy więcéj lub mniéj był ciekawy poznać pannę, ukrytą tak długo od świata, inaczéj jak zwyczajnie wychowaną, o któréj urodzie i uczoności rozchodziły się najdziwaczniejsze słuchy. Wszystko, co nosi na sobie piętno tajemnicy, zajmuje ludzi. Wiedziałam o tém dawno, i dla tego nie zdziwiło mnie to wcale, że w salonie oczy wszystkich były na mnie zwrócone. Inna kobiéta wyobraziłaby sobie może, że jest królową tego wieczora; ja śmiałam się tylko w duszy, myśląc sobie, że każde zamorskie zwierzątko zwróciłoby na siebie jeszcze więcéj uwagi. Zresztą przy szczęśliwéj naiwności ludzi w prowincji, można się domyślać, a niekiedy nawet słyszeć, jakie mają o nas zdanie. Towarzystwo tutejsze niewiele sobie robi przymusu jak w słowach, tak i w gestach. Kobiéta, która zajmuje salonową publiczność, nie uniknie tego, aby o niéj nie mówiono z tyłu lub z boku, współgłosu, po polsku lub po francuzku, i z kilku słów, które dojdą do jéj ucha, może odgadnąć całą rozmowę. Takim sposobem i ja słyszałam jak szeptano wokoło mnie:—*Charmante!—pas mal! ah!— oh!— quels yeux!*— śliczna!

Balowe zefiry przyniosły mi też na swych skrzydłach urywki rozmów w drugim gatunku. Jeden z najmniéj żenujących się kawalerów rzekł do swego towarzysza:

— Ta cudowna Meluzyna, o któréj słyszeliśmy tyle, ma minę arcypedantską!

— Nie do twarzy jéj uczoność, odpowiedział drugi.

— Co tam za uczoność? — rzekł pierwszy. — Chciałbym wiedzieć, co może wleźć w kobiécą głowę, oprócz francuzczyzny i romansów?

— Nie żartuj, ujął się za mnie drugi, powiadają, że ona się uczyła nawet astronomji.

— Ba! szepnął pierwszy, moja siostra uczyła się jéj także na pensji, a tak dobrze umie gwiazdy z nieba zdejmować, jak ja albo ty.

— Chciałbym prosić tę panienkę do tańca, rzekł ktoś.

— Nie fatyguj się napróżno, odpowiedziano mu, ona pląsa tylko z egipskiemi piramidami na starożytny manier.

Żal mi było tych panów, co z płaskim dowcipem tak mizernie błąkali się po manowcach nieprzyzwoitości. Tymczasem opanowała mną jedna staruszka i zaczęła egzaminować z ważnéj nauki domowego gospodarstwa. Zadziwienie jéj było niepospolite, kiedy spostrzegła, że wiem dokładnie nie tylko wiele potrzeba masła do kotletów i wiele jaj do budyniu, ale nawet jak się uprawia ziemia pod zboże i ogrodowizny, jak się szczepią drzewa, jak się utrzymuje ptastwo domowe, owczarnia, gorzelnia, i t. d.

— Ależ powiedz mi wacpanna na miłość Boga, rzekła staruszka prawie płacząc od radości, zkąd się tego wszystkiego nauczyłaś? Moje córki nie mają o tém żadnego pojęcia.

Z doświadczenia, odpowiedziałam. Od niejakiego czasu ojciec mój ma tylko główny dozór nad całym majątkiem, a ja zajmuję się wszystkiemi szczegółami gospodarstwa jak w domu, tak też w dobrach, i oprócz tego wychowuję kilkoro biédnych dzieci rozmaitego wieku, pomagam wieśniakom w słabościach, które się mogą obejść bez doktora, udzielam im w każdym przypadku rady, słowem, rządzę majątkiem jak gdybym była jego panią.

— Jezusie Nazareński! — zawołała staruszka, patrząc na mnie z zadziwieniem, a kiedyż wacpanna siedzisz nad książkami? Wszak wiem dobrze że jesteś edukowana jak professor.

— Znajdzie się czas na wszystko, — odpowiedziałam z uśmie-

chem. — Tego towaru kobiéta zawsze ma zanadto, i dla tego najczęściéj wyrzuca go za okno.

Długo jeszcze rozmawiałyśmy z poczciwą staruszką o gospodarstwie. Rzecz pewna, że ta rozmowa niewiele mnie zajmowała, jednakże teraz, kiedy ją porównywam z lekkomyślną, dziecinną szczebiotliwością panien, które poznałam na tym wieczorze, z zimną i ucinkową konwersacją młodych kobiét, nareszcie z nadętym, surowym tonem matek, które zapewne widziały we mnie niebezpieczną rywalkę swych córeczek, powiem otwarcie, że dobra moja staruszka podoba mi się więcéj jak inne kobiéty.

Tymczasem znów jakiś areopag zaczął niedaleko odemnie swoję sessję:

— Piękna twarz! rzekł jakiś mężczyzna pieszczonym głosikiem.

— Nieszpetna, odpowiedział drugi cichym basem.

— Najwięcéj mi się podoba jéj smętne czoło, — odezwał się znów *głosek*.

— A mnie *noga* — zaremarkował *bas*.

Mimowolnie przyszły mi na myśl słowa Labruyèra: „*Il faut juger des femmes à peu près comme on mesure le poisson....*“ etc. etc.

Wkrótce potém zabrzmiała muzyka. Nie mogłam się opędzić od młodzieży, każdy chciał ze mną tańczyć, nawet podobno i ten, co mi przypisywał szczególniejsze przywiązanie do egipskich piramid. Te chwile były najszczęśliwsze z całego wieczora. Nie myślałam o niczém, nie słyszałam nic, oprócz muzyki, nic zajmowało mnie nic więcéj, oprócz tańca, nie wyłączając nawet gadaniny moich partnerów, bo wysłuchawszy pierwszego, spostrzegłam, że wszyscy inni, jak gdyby sobie dali słowo, powtarzali to samo. Rozmowy ich podobne są do ograniczonéj liczby arjetek pozytywki, na któréj grają dla kanarków, i jedno z największych upokorzeń naszéj płci jest zapewne to, że nam trzeba nie tylko cierpliwie słuchać takiéj gadaniny, ale jeszcze odpowiadać na nią z uprzejmością.

Znaleźli się jednak tacy, co mieli lepsze o mnie wyobrażenie, i dla tego starali się zająć mnie uczoną rozmową. *Sangue di Christo!* Kiedy *człowiek* wyjdzie z gimnazjum albo nawet z uniwersytetu, to na balu oświecenie dopóty go męczy i dręczy, dopóki komu drugiemu nie odleje do głowy część swego oleju. Przychodzili więc jeden za drugim, i każdy z nich wytrząsał przedemną wszystkie swoje wiadomości, a potém ostróżnie zaglądał mi

do głowy, czy też tam jest dość mózgu, żebym przynajmniéj mogła pojąć jego mądrość? Przykro mi było słuchać ich gadaniny, ale razem litowałam się szczerze nad nimi, widząc jak się plątali w nitkach własnego rozumowania, jak tonęli w małéj kropli swojéj erudycji, chwytali słowa bez namysłu i kleili z nich perjody podobne do odzienia arlekina, zrobionego z kawałków różnéj wielkości, rozmaitego koloru i gatunku. Młode głowy! zarozumiałe głowy! chodzące encyklopedje! podobne do małych żydowskich sklepików, w których można znaleźć mnóstwo towarów, lecz każdego po odrobince, i to w najniższym gatunku. Wszystko tam leży przemięszane: herbata koło mydła i kasza gryczana przy tabace. Przy wieczerzy starzy i młodzi pili za moje zdrowie, niestety! z uszczerbkiem swego własnego. Polska pamięta jeszcze Sasów. Dziwny świat! w jeden wieczór doświadczyłam wielkiéj przyjemności i wielkich nudów, słyszałam głos uwielbienia i szyderstwa. Gdyby na balu nie tańczono, wyrzekłabym się go nazawsze.

Warszawa, 19 Października.

Z częstych rozmów z ojcem i z dzieł filozofów miałam tak pochlebne wyobrażenie o wielkich miastach, że wjeżdżając do Warszawy, uczułam w sercu mimowolną trwogę; zdało mi się, że ludzie powybiegają z domów na ulicę i będą szydzić ze mnie a monawet ciskać kamieniami. Dzięki Bogu! nic się z tego nie zdarzyło, bo przyjechaliśmy w nocy.

Witaj Warszawo, rodzino sieroty! W gwarze tłumu który cię napełnia, rozlegał się kiedyś i mój płacz niemowlęcy. Dziś wracam na to miejsce, gdzie przed 24 laty stała moja kolebka, bez łez wprawdzie, ale też i bez radości. Z okna tego domu, w którym się rodziłam, patrzę na cię, syreno, i myślę więcéj o twych sidłach, jak o tém, co mi możesz wysypać z twego rogu obfitości.

O miasto! gdyby chemik zdołał rzucić cię w retortę i rozebrać na pierwiastki, znalazłby: marmury i błoto, huczną wrzawę i ciszę grobową, przepych i nędzę, bale i pogrzeby, ogniste namiętności i zimne serca! ..

Z każdym dniem oko spotyka tu nowe obrazy; rój nowych myśli budzi się w umyśle i serce ledwie pośpiesza przyjmować wrażenia. Prawdziwa powódź światowego życia na parafjankę taką jak ja! Dobry ton walczy we mnie z wiejską prostotą, światowość z filozofją, lekkomyślność z rozwagą, a dziecinna ciekawość stała się głównym bodźcem obecnego życia. Nowe mięsza się ze starem, burzy się, i sprawia jakąś dziwną fermentację w całéj mojéj istocie. W tym chaosie zmięszanych obrazów myśli i uczuć, nie mogę przyjść do siebie; jestem jakby odurzona; zdaje mi się, że mnie nagle obudzono na środku ulicy, że mnie po długiém samotnictwie w pustelniczéj celi, wprowadzono wprost do teatru ...

Nie jest to ani szczęście, ani smutek; nie czuję potrzeby śmiechu ani płaczu, ale stan ten podoba mi się.

Du nèctar idéal, sitôt qu'elle a goûté
La nature repugne à la réalité!
LAMARTINE.

Czy oni zmówili się z sobą, żeby mnie nudzić swoją konwersacją, czy ona istotnie tak mocno ich zajmuje? Młodzi, starzy, huzary, adwokaty, kobiéty, wszyscy rozprawiają i dysputują o egipskim paszaliku, o żelaznych drogach i o cukrze z buraków.... Co im za ochota stroić się, tracić czas i męczyć konie, dla tego, żeby zebrawszy się w kółko, powtarzać gazeciarskie sądzenia o sile pary, politycznéj wartości narodów i handlarstwie całéj Europy!....

Mówcie sobie co chcecie o dzisiejszéj cywilizacji, nigdy ja się nie zgodzę z wami, żebyśmy na tém wiele wygrali. Mnie się zdaje, że ognisko życia znajduje się nie w głowie, lecz w sercu, a zatém nie ten więcéj żyje, kto wiele rozprawia, ale ten, czyje serce wzrusza się częściéj uczuciem silném, wysokiém, szlachetném.

W ogólności naród ludzki robi olbrzymie postępy w umysłowym względzie, massa oświecenia powiększa się z każdą chwilą, i doszła dziś do takiego ogromnego rozwinięcia, że upłynione wieki słusznie mogą być nazwane ciemnotą; ale wielkie uczucia zdaje się idą nazad a nie naprzód! Kiedyś, w pierwszych czasach chrześcijaństwa, cierniowa korona męczeństwa, otoczona aureolą niebieskiego światła, była dla wiernych ideałem szczęścia na ziemi; w świętych swoich dumach widzieli ją nieustannie przed okiem

i wyciągali do niéj drżące dłonie; życie ich było nieprzerwanym wątkiem poświęceń, cnoty i umartwień, a społeczność chrześcijańska, jedną familją — dziś, czyny téj wielkiéj epoki stają się dla nas coraz mniéj pojętnemi; skurczone nasze serca nie mogą ich ani wmieścić w siebie, ani się ogrzać ich wspomnieniem. Obecne pokolenie spokojnie wstępując do kościoła Chrystusowego, po cichym gościńcu, na którym przez tyle wieków wrzały krwawe boje, idzie obojętnie po drodze, i drwi z tych, co ją kiedyś szturmem zdobyli!

Kiedyś, jak mówi dziejopis krucjat: „kapłani w świątyniach Pańskich i na placach opowiadali wojnę krzyżową; dziwny zapał obejmował serca słuchaczy; zbierali się tłumami, naszywali sobie krzyż na ramieniu, wypalali żelazem na rękach, na czole, przedawali wszystko co mieli za bezcen, i uzbrajali się na bój krwawy. W prostocie duszy wierząc, że to wola Boża *(Dieu le veut!)* nie pytali się ani gdzie leży Palestyna, ani o siłę niewiernych, kupili się stami tysięcy, i szli na walkę w zapewnieniu, że spełnią się nad niemi cuda, i że z nieba będą im dane i siły, i zdatność, i środki dla dokonania świętego zamiaru. Takim sposobem 500,000 legło w różnych stronach, nie doszedłszy nawet do świętych miejsc! Kości ich pobielały na cudzéj ziemi, wiatr rozwiał ich prochy, a jednak to bynajmniéj nie zraziło drugich, i nowe pół miliona poszło ochoczo na śmierć za wiarę. I tak szły jedne za drugim liczne zastępy zbrojnych pielgrzymów, marząc o niebie, i rzuciwszy wszystko, co ich przywiązywało do ziemi!!!“

Gdzie te czasy? gdzie ci ludzie? Wspomnienie czasu zostało w księgach, które czytamy jak dziwne arabskie powieści, a na mogiłach tych ludzi tańczą *lwy* i *tygrysy* [1]) i rozprawiają o egipskim paszaliku, o żelaznych drogach i o cukrze z buraków!...

Myśleć o strojach, jeść cukierki, dobijać się płaskich komplementów, trzpiotać się, zazdrościć, intrygować, a szczególniéj zajmować się plotkami — oto życie większéj części tutejszych kobiét.

---

1) *Lion, tigre*, znaczy dziś to samo, co dawniéj *petit-maitre*, modny kawaler.

Dość poznać jedną z nich, żeby wiedzieć co myślą, czują, i czém się zajmują wszystkie inne!

Nie masz nic zgubniejszego dla młodéj kobiéty, jak kiedy ją okrzyczą w świecie za uczoną. Każdy co się zbliża do niéj, wyjmuje co prędzéj z futerału machinkę swego rozumu i zaczyna w niéj poruszać wszystkie kółka i sprężyny, ażeby więcéj robiła hałasu, a serce chowa do kieszeni, sądząc, że ono w tym razie zupełnie nie potrzebne. Ztąd wypada, że życie uczonéj kobiéty jest zupełnie umysłowe, i formuje, że tak powiem, jedną długą, trudną dysputę, w czasie któréj ona stoi na miejscu, a przeciwnicy przemieniają się. Nie podobna sobie wystawić, jak przykrém jest podobne położenie w towarzystwie! — O! zapomnijcie, zaklinam was na moje oświecenie, uważajcie mnie lepiéj za głupią, ale dajcie mi się ogrzać u tego ogniska, które natura rozniecila dla całéj ludzkości! Co mi po waszych naukach? po co mi wasze rozumy? Ja chcę się pokrewnić jedynie z waszém sercem!

---

20 Stycznia.

Dwa miesiące nie brałam do rąk mego pamiętnika! Jak się to stało? Czy spałam tak długo? czy byłam zbyt szczęśliwa, żeby się zastanowić na chwilę? Ani to, ani drugie: zapłaciłam tylko pierwszą dań stolicy; niewieścia natura przemogła wychowanie, i stałam się kobiétą jak inne. Jak tylko nadeszła pora zimowych zabaw, zapomniałam całą swoję filozofję, przestałam obserwować ludzi, porzuciłam wszystkie rozumowania i oddałam się zupełnie światowości. Życie moje dotąd ciche, stało się pasmem zabaw i pustoty, fantastycznym snem, pełnym czarujących mamideł, odmętem, w który raz wpadłszy, kręciłam się już potém mimowolnie, jakby ciągniona niewidomą siłą, szukając ciągle nowych roztargnień i przyjemności. Namiętnie, łakomo, piłam z kielicha świata, nie dla tego, żeby ugasić pragnienie, lecz że nektar był słodki i upajał. Gdyby mnie kto był zapytał, czego szukam? odpowiedziałabym mu nieskończonym śmiechem, takby mi się to pytanie wydało zabawném. Odurzona, jakby parami opium, oślepiona, jakby tysiącem słońc, wesoła, jak dziecko, a jednak miotana tajemniczą niespokojnością,

ścigałam jakąś marę, która zdawała się być to blizko, to znów daleko odemnie.

Ojciec mi wytłómaczył, co znaczy ta burzliwa niespokojność kobiécego serca. Zaczęłam baczniéj poglądać w około siebie, i dziwna rzecz! od téj chwili czarowna zasłona spadła z mych oczu. Jak tylko rozwaga wróciła do głowy, natychmiast połowa rozkoszy ulotniła się z serca.

Szkoda, że to było nic więcéj, jak gra w ciuciubabkę.

Nudno mi, przykro mi po tym balu. Chciałabym wygadać przed kim całą litanję żalów, ale uważam to za taki płaski koncept, że nawet w pamiętniku nie mogę się odważyć wypisać swoich uraz do świata. Czuję jakąś antypatję do téj mizantropicznéj deklamacji, która dziś weszła w osobliwszą modę. Każdy student uskarża się teraz na rodzaj ludzki i ma do niego tysiąc pretensij; każda pensjonarka grucha żałośnie, jak gołębica, i ciska przez szkolne okno cukrowe żale na niewdzięczny świat. Powieści i poezje naszych młodych pisarzy przedstawiają nam towarzystwo tak okropném, że po przeczytaniu ich, mimowolnie przychodzi mi na myśl, że autor nie zechce dłużéj żyć z ludźmi, i pewnie się zastrzeli. Kto dziś zadowolniony społecznością? Starzy utrzymują, że świat się zepsuł, a młodzi, że go trzeba przerobić.

Une espérance ainsi d'un beau rêve suivie,
Est la réalité des plaisirs de la vie.
DELPHINE GAY.

Są ludzie, z którymi blizka znajomość robi się bardzo prędko, i że tak rzekę, z pierwszego wyrazu. Rozmowa ich podoba nam się, pociąga nas, i zdaje się wypływać z tak obfitego źródła, że skwapliwie staramy się zaskarbić sobie ich względy. Lecz zaledwie drugi raz zobaczywszy ich, spostrzegamy, że źródło wyschło już do połowy, i im daléj, tém mniéj w niém wody. Ztąd następuje perjod oscillacji, i wkrótce potém znajomość, która się zaczęła tak żywo, z taką nadzieją na przyszłość, rozprzęga się nagle, niszczeje marnie i zapomina się bez żalu. I nie może być inaczéj, bo ci

ludzie wytrząsają od razu, co tylko mają w głowie i w sercu, i potém mogą tylko robić repetycje, które każdego znudzą.

Les hommes sont cause que les femmes ne s'aiment point.

LABRUYÈRE.

Ogólnie utrzymują, że między kobiétą i mężczyzną, a szczególniéj między kobiétami, nie może być prawdziwéj przyjaźni. Jeśli tak jest istotnie, to wielka szkoda, bo to uczucie mogłoby nam osłodzić wiele trosk i cierpień w życiu. Ale z drugiéj strony, gdyby tak nie było, to mężowie, którym teraz wyłącznie należą serca żon, straciliby na tém wiele, a niekiedy i wszystko, i związek małżeński byłby jedném ogniwem słabszy. Natura widać miała zbawienny cel w tém, żeby w sercu kobiéty brakowało jednéj klepki!

A jednak może to nie prawda? Mnie się zdaje, że ja znalazłam tu kilka przyjaciółek. One zawsze tak dobre dla mnie, tak się mną troskliwie zajmują, tak się lękają o mnie! Jeżeli kiedy twarz moja mniéj rumiana jak zwyczajnie, ubolewają natychmiast nad moją *okropną bladością*, i uskarżają się przed wszystkiemi, że mało szanuję swoje zdrowie; jeśli jestem zamyślona, zaraz im przychodzi do głowy, *że mnie kochanek opuścił*, nie wierzą, kiedy im mówię, że się nie kocham, i delikatnie ofiarują mi swoje pośrednictwo. Tysiąc drobnostek dowodzi ich przychylności — *des riens d'importance*, których nikt nie potrafi ocenić, oprócz kobiéty, których filozof nawet nie pojmie. Naprzykład: jeśli mi się zdarzy włożyć jaki strój, co przed miesiącem wyszedł z mody, albo zagram na fortepianie jaką nie nową kompozycję, zaraz mnie ostrzegą z wdzięcznym uśmiechem, że to *stare jak świat;* ostrzegą mnie prawdziwie z dobroci serca, dla tego, że będąc starsze odemnie, dalekie są od wszelkiéj rywalizacji; chodzą sobie w ustarzałych, albo w nowych ale bez gustu zrobionych strojach, i muzyką się wcale nie zajmują. Wiem, że one mają więcéj doświadczenia, i dla tego nie dziwię się, że często ubiór świeżo przyniesiony od modystki, i którym ja się zachwycam, one znajdują niestosownym do mej twarzy albo figury, i t. d.

Jeśli to wszystko nie dowodzi przyjaźni, to chyba jéj nie masz między kobiétami.

Pan Hippolit może mieć około 28 lat, lecz tyle rozprawia o zepsuciu świata, o oziębłości ludzi, ich fałszu, niewdzięczności i rachubie, jak gdyby przeżył matuzalowe lata w ciągłéj wojnie ze społecznością. Pan Hippolit ubiera się podług ostatniéj mody, tańczy wyśmienicie, wie z gazet, co się dzieje na najodleglejszych punktach kuli ziemskiéj, a z dzienników plotkarskich, sekretną historję wszystkich osób lepszego towarzystwa; czyta francuzkie powieści i cytuje z nich całe tirady; jest grzeczny dla tych, co go chwalą, a obmawia tych, co z nim mówią bez pochlebstwa — *au bout du compte*, dobry chłopiec! nie wątpi o tém, że posiada wszystko, czego tylko może żądać kobiéta dla swego szczęścia, i rzucił łaskawém okiem — na mnie! niestety! dla czegóż na mnie?...

Pour la fête du coeur qui jamais ne commence,
Un laboureur parfois se ruine en semence,
Le tems fuit emportant l'espérance parjure,
Et l'on n'a conservé du bal que la parure.
DELPHINE GAY.

O próżności zabaw światowych! szczebiotać cały wieczór, śmiać się, strzelać dowcipem, trzpiotać się, łudzić drugich i samą siebie, dobić się taką mozolną pracą nędznego tryumfu miłości własnéj, a potém siąść samotnie w swoim pokoju, ogarnąć myślą upłyniony wieczór, rozśmiać się nad tą pustotą, uczuć czczość w sercu i ze łzą w oku położyć się spać!

Niekiedy przychodzi mi na myśl, że przy moim charakterze, chwile napełnione największą nawet goryczą mogą mi być potém miłe w wspomnieniu, a przeciwnie, życie obecne, choćby niczego w niém nie brakowało, zawsze mi się wyda tylko urywkiem jakiéjś idealnéj całości, może nawet nudnym i płaskim. Nie masz nic kapryśniejszego, nad serce — jest to dziecko, które napiera się różnych cacek, i łamie te które mu się dostają. Są tylko trzy cacka, któremi zawsze lubi się bawić: wspomnienie, nadzieja i marzenie (na jawie lub we śnie). Gotowabym pomyśleć, że tylko te trzy rodzaje szczęścia można znaleźć na ziemi! Chciałabym, żeby to była nieprawda, żeby to był koncept rozmarzonéj kobiécéj głowy — tak sobie, fantazja!

Kiedy kto na ulicy upadnie, śmieją się z niego; kiedy kto majątek straci, śmieją się; kiedy się małżeństwo rozjedzie, śmieją się; trzeba się śmiać zawsze i wszędzie, a kto chce płakać, musi się dobrze zamknąć w swoim pokoju, zatknąć dziurkę od klucza i spuścić story, bo i z tego śmiać się będą.

Jeden, trzymając się za boki od śmiechu, opowiada mi, jak wypędził ze swego domu natrętnego kredytora; drugi, jak obił żyda; ów, jak durzył kłamstwami starą ciotkę, żeby wyłudzić od niéj pieniędzy; inny, jak fałszywemi oznakami przywiązania doprowadził niedoświadczoną pannę do namiętnéj miłości, i każdemu z nich się zdaje, że świat powinien uwielbiać jego talenta!

O ja, dem Herrn ist alles Kinderspiel!
GÖTHE.

Słusznie mój ojciec powiada, że zarozumiałość jest najpospolitszą wadą naszego wieku. Każdy dziś pragnie uchodzić za uczonego, a nikt nie chce pracować nad sobą; lecz dla pogodzenia tych dwóch przeciwności jest tylko jeden sposób, krzyczeć głośno drugim nad uchem: — Słuchajcie, co ja mówię, i wierzcie mi, bo ja wiem wszystko! — a jeśli to nie pomoże, to sprzeczać się do upadłego. Ci szermierze dysputy naśladują fanfaronów z pustą kieszenią, co żeby wydać siebie za wielkich panów, trącają drugich łokciami, depczą po nogach i noszą nos podniesiony do góry. Cytuj im księgi, odwołuj się do zdrowego rozsądku lub doświadczenia, nic to nie pomoże; oni jak szpaki, powtarzają swój perjod tysiąc razy, i nareszcie zwyciężą każdego mocą głosu i uporem. Gdyby wielki Newton stanął przed nimi, oświstaliby nieboraka i odprawiliby go na szkolną ławkę uczyć się nanowo arytmetyki!

Nieznośni krzykacze! Kiedy który z nich napadnie na cichą istotę — naprzykład na kobiétę, która z natury, z przyzwyczajenia i z grzeczności ustępuje mężczyznie — wraz ją zaczyna odpychać od wszystkiego, za co mogłaby się schwycić; śmiejąc się i drwinkując, nie daje jéj zrobić ani kroku naprzód, i nareszcie zamknie w takiém ciasném kółku odpowiedzi, że mimowolnie zda się biednéj, jakoby wróciły lata jéj dzieciństwa. Słucha najdziwaczniejszych baśni cierpliwie, z uśmiechem, ażeby nie ubliżyć jegomości. Wierzy, że w Pekinie ślicznie tańczą mazurka na balach, że jakiś astronom widział przez teleskop trzody baranów na księżycu, że

w Londynie robią doskonale salcesony zapomocą galwanizmu i t. d. Nie jestże to umysłowa chłosta? nie jestże to największe upokorzenie, jakie może spotkać myślącą istotę?

Mein lieber Freund, ich rath' euch drum
Zuerst Collegium Logicum,
Da wird der Geist euch wohl dressirt
In spanische Stiefeln eingeschnürt
Dass er nicht so.....
Irrlichtelire hin und her.
GÖTHE.

Święty Jacku! jak tu wiele poetów!...

Prawie w każdym salonie znajdzie się poeta, księgarnie zawalone poezjami, chłopcy na ulicach sprzedają poemata taniéj jak stare pończochy na tandecie, w przedpokojach ziewają nad balladą lub sonetem!

Śmieszne to jest zaiste uprzedzenie, że dość być natchnionym, ażeby zająć miejsce na parnassie. Czytajcie biografje wielkich poetów dawnych i nowych czasów, a zobaczycie, że każdy z nich oprócz tego czucia, o którém tyle rozprawiacie, posiadał niepospolite oświecenie; wszyscy oni prawie, że tak rzekę, w pocie czoła *wypracowali* swoje nieśmiertelne utwory, chociaż dziś śladów téj pracy nie widać, równie jak nie widać śladów rusztowań, które służyły dla zbudowania wspaniałego gmachu; wszyscy oni wreszcie znali świat i ludzi nie tylko z książek, ale z doświadczenia i własnych obserwacji. Tacy tylko ludzie mogą korzystać z natchnienia i wieszczym głosem przemawiać do narodu. Bo cóż się ceni w poezji? wszak nie dźwięk słów dobranych w pewnym porządku i ułożonych w rymy, lecz *myśl*, tak, jak w sztuce malarskiéj cenią się nie farby, lecz idea artysty ożywiająca obraz. Tylko myśl zdrowa, głęboka, szczytna, ogrzana świętym płomieniem poetyckiego zapału, może wyjść na świat nieśmiertelną, jak Minerwa z głowy Jowisza. Serce młode, nieznające ludzi, i zapalona pusta głowa, nigdy nie ukształcą poety. Przeciwnie, z tego szału wypada wiele złego dla poezji, dla języka i dla kraju. Młodzi ludzie, ledwie wstawszy ze szkolnéj ławki (a często siedząc jeszcze na niéj) przy pierwszém lepszém wzburzeniu krwi wyobrażają sobie, że to natchnienie, że to zapał poetycki, że to znak nadzwyczajnego czucia; rzucają nauki, puszczają umysł odłogiem, zaniedbują te gałę-

zie oświecenia, które dałyby im chléb a krajowi dobrych urzędników, i uporczywie drapią się na Parnass. Muza ich, nie znając należycie języka, kaleczy go w każdym wierszu; pegaz nędzny, niekarmiony nawet zdrowym rozsądkiem, pełznie mizernie i co chwila spada z świętéj góry w błoto nieprzystojności, w kałużę nudy, lub w ciemną jamę nadętego głupstwa. Ten rój wierszokletów upośledza tylko i kazi pojęcie o poezji i poetach. Spytajcie dziś kogo: co to poeta? Odpowie wam, że to człowiek który pisze wiersze. To wyobrażenie obiega całą społeczność. Nikt nie pomyśli o tém, że pisać wiersze, jest nie więcéj, jak majsterstwo, i bez drugich zalet znaczy toż samo, co malować ściany żółtą lub czerwoną farbą.

Ces chantres sont de race divine.
CHATEAUBRIAND.

.....planant solitaire
Entre les voix d'en haut et l'écho de la terre.
JOSEPH DELORME.

Każdy człowiek jest *mały świat* (mikrokosmus), ale między temi drobnemi światami najmniéj pojętny jest bez wątpienia poeta. Istota zagadkowa, rzucona samotnie między niebem i ziemią, dziwna w idealném, dziwaczna w praktyczném życiu! Głowa jego, zdaje się, tylko dla symetrji trzyma się na ramionach, a cała dusza skupiona jest w sercu, które i czuje, i myśli, i widzi, i słyszy, które, że tak powiem, jest *człowiekiem uwięzionym w człowieku*. Te dwie osoby nigdy się nie zgadzają z sobą, i każda z nich idzie oddzielną drogą w życiu. *Człowiek-futerał* je i pije, jeśli ma co, strzela bąki po świecie, dopóki konieczność nie zmusi go do systematycznéj pracy, chodzi nie patrząc przed sobą, i bywa tak prosty, że się dzieci z niego śmieją; *człowiek-serce* nie je, nie pije, nie śpi, pracuje nieustannie, widzi w naturze dziwy, które drudzy dostrzegają tylko wtedy, kiedy im palcem na nie ukaże, widzi w człowieku jeszcze więcéj dziwów, jak w naturze, wybiera wszystko co mu się podoba, i buduje sobie świat czarowny, w którym napawa się rozkoszą, nie troszcząc się bynajmniéj o to, że niekiedy w tym samym czasie *człowiek-futerał*, od głodu lub zimna, zębami dzwoni na poddaszu! Ten świat zawiera w sobie *ideały* poety, lecz on tyle przywiązuje się do nich, że nareszcie zda-

ją mu się być *rzeczywistością;* biedny prostak! Szuka ich na ziemi, szuka z zapałem, z pewnością, że są blizko od niego, tęskni i wyciąga do nich drżące dłonie. Wtedy to, słodząc sobie samotność ziemskiéj pielgrzymki, albo nóci piosnkę, albo ze strón budzi cudowne dźwięki, albo pędzlem przelewa swe dumy na płótno, albo dłótem ożywia marmury; czasem nagle zatrzymuje się na drodze, wołając, jak Archimed; „*eureka*“ (znalazłem) ale wkrótce poznaje, że się omylił, i znów idzie daléj, póki się od niego nie odczepi *człowiek-futerał.* Niekiedy zostają po nim piosnki, lub drugie pamiątki... niekiedy nic nie zostawia po sobie, oprócz nazwiska dziwaka! Ale wracam znów do salonowych wieszczów. Jeden z nich czytał mi swoje wiersze i pytał o zdanie. Odpowiedziałam mu otwarcie, że ich nie rozumiem. Poeta, przyzwyczajony zbierać laury na parkietach, wytrzeszczył na mnie oczy, roztrzepał czuprynę, która i bez tego była w nieładzie, i rzekł, że poezję trzeba pojmować sercem, a nie głową. Powiedziałam mu na to, że Szyllera udaje mi się jednak rozumieć i czuć jednakowo. Być nie może! krzyknął poeta — nie może być! powtórzyli drudzy — Pani krzywdzisz Szyllera. Sądzić o poezji rozumem, jest to oziębłość, obojętność, pedantyzm i t. d. Masz tobie! pomyślałam w duszy — teraz z łaski poety, okrzyczą mnie za kobiétę zimną jak ryba, za kobiétę bez serca, za egoistkę... pedantkę. Bóg wie czego na mnie nie wymyślą!

Razem z wiekiem, uczucia słabieją, pojęcie o nich zaciera się w umyśle, i natomiast rodzą się tuzinkowe ziemskie namiętności. W młodém sercu mieści się i miłość, i sława, i poezja, i wiele szlachetnych uczuć, a potém w tych samych komórkach gnieździ się ambicja, skąpstwo, intryga, i gospodarz polubiwszy nowych gości, drwinkuje z tych co wyjechali.

Oh! n'insultez jamais une femme....!
Victor Hugo.

Zastałam dziś u hrabiny B*** kilka osób, i, jak się mówi, przyjacielską rozmowę. Major K*** bez litości szarpał i czernił reputację jednéj nieobecnéj damy, układając swoję mowę w bardzo

gładkie i dowcipne perjody, nie wyjawiając niczego wyraźnie, ale zostawując słuchaczom najobszerniejsze pole do domysłów. Co to za szczególniejszy język ta francuzczyzna! posiadając go lada jako, można obmawiać kogo się podoba, a szczególniéj kobiéty! i to stylem bogatym, dźwięcznym, lekkim; można sypać, jak z woreczka, kalambury, epigrammy i sarkazmy; można bez niegrzeczności przedstawić drugiego w najgorszém świetle! Jast to język prawdziwie światowy, skrywający niedostatki umysłu, i przedstawiający człowieka więcéj oświeconym, jak jest w istocie, tak, jak modny ubiór skrywa część lat i szpetności kobiéty. Przypadek nie dozwolił majorowi dójść do końca, bo niespodziewanie oznajmiono wizytę téj saméj damy, o któréj mówił. Biedna kobiéta wbiegła do salonu wesoło i mile przywitała wszystkich, nie podejrzewając tego, jak ją tu przed chwilą traktowano. Kobiéty przyjęły ją jak przyjaciółkę, mężczyzni obsypali ją tysiącem światowych grzeczności, a major sypał ich najwięcéj. Spojrzałam na niego i na nią, i nie mogłam stłumić w sobie osobliwszego jakiegoś uczucia — on wysoki, otyły, z wąsami, z ostrogami, z ogromnym pałaszem, ona maleńka, szczupła, w lekkiéj kobiécéj sukni, i ten olbrzym mógł tak zajadle pastwić się nad muchą!....

Robicie tyle zachodów, żeby poznać dokładnie, wiele lat ma koń? czy mocny? czy chyży? czy brykliwy? a sądzicie o ludziach z pierwszego rzutu oka, z pierwszego słowa, a czasami nie znając ich wcale, z plotek, które o nich chodzą. Zbrodniarza schwytanego na uczynku oddają jednak pod sąd i pozwalają mu się bronić, a wy sami obwiniacie i sądzicie, bez processu, bez rozwagi, bez litości! Nie umiecie się wyrazić inaczéj, jak krzycząc stanowczo: ten oszust! ten podły! ta kokietka! ta głupia! Unosicie się gniewem, wpadacie w jakiś szał złośliwości, i wrzaskliwy wasz trybunał ani pomyśli o tém, jak trudno zgłębić człowieka, i poznać wszystkie sprężyny, które kierowały jego postępowaniem!...

A skutki tych porywczych sądzeń nietylko że są bolesne dla skrzywdzonych, ale często nie dadzą się niczém poprawić: bo ludzie są dziećmi; chociaż wychodzą ze stanu dzieciństwa, chwytają bez namysłu zdania zapaleńców, krzykaczy, trefnisiów, i weisnąwszy je w jaką komórkę swego mózgu, rachują odtąd za swoję własność i nie dają jéj sobie łatwo wyciągnąć z głowy.

Dzięki Bogu, że się na tém skończyło! bo czegoby też ludzie nie powiedzieli, gdyby ten biedny Hippolit odjął sobie życie przez moję nieczułość!

Tysiąc razy zbierałam się powiedzieć mu otwarcie, że w Warszawie znajdzie mnóstwo kobiét godniejszych odemnie, i więcéj zdolnych pojmować go, jak ja, ale słowa marły na moich ustach; odkładałam ciągle na późniéj, aż nareszcie *un beau matin* pan Hippolit przyjeżdża bez ceremonji domagać się mojéj ręki. Ojciec z uśmiechem odprawił go do mnie, a ja — odmówiłam mu. Biedny kochanek wziął drżącą ręką za kapelusz, i bąknął kilka słów, z których można było sądzić, że chce sobie odebrać życie. Strwożona, pobiegłam do ojca, prosząc go, aby jakimkolwiek sposobem zatrzymał desperata na brzegu przepaści.

— Bądź spokojna, rzekł starzec — niemasz nic pospolitszego w świecie nad to, że młody człowiek przyrzeka kobiécie umrzeć, że się uskarża na świat, na zdrowie lub cierpienia duszy. Jest to najprostszy sposób, którym można zrobić sobie wstęp do kobiécego serca, albowiem u was litość i miłość są to rodzone siostry, i bardzo często kobiéta przyjmuje jedno za drugie.

— Najnędzniejszy sposób! zawołałam oburzona, jest to rodzaj żebractwa, uniżającego godność człowieka, i podstęp, którego nic nie może usprawiedliwić!

Nie zważając na zdanie doświadczonego starca, byłam kilka dni w wielkiéj niespokojności, dopóki nareszcie nie zobaczyłam Hippolita zdrowego i rumianego, jak zwyczajnie. Kamień spadł z mego serca. Powiedziano mi z boku, że Hippolit istotnie chciał się zastrzelić, ale potém namyślił się, i tylko się — upił z przyjacioły.

Świat tutejszy ma szczególniejszą naturę. Czy go spotykasz w godowéj szacie, czy w żałobie, czy go szukasz, czy od niego stronisz, on zawsze wita cię z uśmiechem, a jak się odwrócisz w drugą stronę, gryzie cię za piętę.

Wszyscy się tu trzymają maxymy tego dyplomata, który powiedział, że mowa dana jest człowiekowi nie na to, ażeby wyjawiał

swoje myśli, lecz żeby je skrywał lepiéj. Jest to prawdziwa szkoła wzajemnego oszukiwania się. I wszystko to robi się tak zręcznie, z takim namysłem, z taką rachubą, jak gdyby człowiek dla tego tylko żył na świecie, żeby łudzić drugich i śmiać się z nich w duszy.

W ich przyjacielskiéj rozmowie niemasz źdźbła szczerości, ich komplementa zimniejsze od lodów, które roznoszą lokaje, a rady ich trzeba nicować na drugą stronę, żeby nie wpaść w łapkę. Łamią sobie głowy, spekulują, pocą czoła, jakby łatwiéj wykopać jamkę na cudzéj drodze, polują na dowcip i uczoność, polują na pieniądze i honory, polują na obiady, na serce biednych kobiét.... polują na wszystko!

Ten pan siada przy mnie, wyjmuje z kieszeni perjody i częstuje mnie tym towarem; ta pani biegnie do mnie z drugiego końca sali i zaczyna mi wytrząsać mnóstwo ingredjencji ze swego ridikiulu. O dobrzy ludzie! miejcież litość nademną, umiarkujcież swoję szczodrobliwość, bo nareszcie nie uniosę ciężaru waszych darów!

Dajcie mi pokój — ja się nie przydam dla was, ani wy dla mnie. Nie w mojéj mocy skrępować siebie waszą polityką i grać rolę na tym teatrze. Ja jestem wesoła lub smutna, nie podług rachuby, lecz jak Bóg da, jak się sercu uda! Są chwile, w których bez powodu napada na mnie smutek, czuję potrzebę płaczu, i gdybyście na mnie nie patrzeli, płakałabym jak dziecko; a drugi raz czuję się tak wesołą, że, jak mówi Hoffman, gotowabym wtłoczyć sobie na głowę dwa kapelusze i wybiedz na ulicę. Z takim charakterem, nic dziwnego, że mi duszno, ciasno i nudno na waszych świetnych wieczorach i rautach.

Głowy tych ludzi, zda się, powsiadały na serca, jak ułani na konie; trzymają je cuglami i ostrogą w posłuszeństwie, i harcują w salonach. Jedni prosto ćwiczą się tylko w sztuce jeżdżenia, jakby w rejtszuli, drudzy pędzą na spienionym rumaku po płaszczyznie świata, nie mając mety, zbiegając ciągle z drogi na drogę; karmią konie lada jakiém zielskiem, byle się tylko nie zatrzymywały; latają dopóty, dopóki się nie znudzą, i zniszczywszy szlachetne zwierzę, zatrzymują się z nędzną szkapą na popas u wrót małżeństwa! Kto

karku nie złamie i nie znudzi się, lub nie znajdzie wygodnego popasu, idzie wreszcie pieszo i za cugle ciągnie za sobą rosinanta. Słowem, nasze salony są podobne do hippodromu.

Wahrlich, ein Mädchen, das ein Herz hat, ist schon halb dumm, und wie gekröpft.
JEAN PAUL RICHTER.

W moim umyśle roją się plany dla rozmaitych zatrudnień, projekta i myśli migają jak błyskawice, oślepiają swém światłem, i sprawiają tak mocne na mnie wrażenie, że w téj chwili czuję się być zdolną do wszystkiego. Ale potém jak zacznę dumać, rozbierać rzecz i analizować środki, tracę wolę, stygnę, i cały mój pałac z kart obala się. Pomysł nic mnie nie kosztuje, przedsięwzięcie robię z zapałem, ale jak wspomnę, że dla przyprowadzenia go do skutku potrzeba czasu, cierpliwości i systematycznego zajęcia się... adieu! wszystko się kończy na niczém. O, iluż dzieł nie nakreśliłam sobie w głowie planu! a jednak nic dotąd nie napisałam; ileż moralnych postanowień zrobiłam! a jednak dotąd nie pozbyłam się żadnéj wady. Tak życie moje przechodzi!

Niekiedy lada drobnostka, dziecińśtwo, dziwactwo, zajmuje mnie po całéj godzinie, jakby przedmiot największéj wagi. Łamię sobie głowę, myśląc o tych banialukach, rozpatruję je z różnych stron, robię tysiąc przypuszczeń, wniosków, i ginę w chaosie kombinacji; potém nagle spostrzegam swoje głupstwo i śmieję się sama z siebie. Takim sposobem, straciłam dziś prawie cały ranek, myśląc o tém: *coby téż to było,* gdyby jakim cudem zwierzęta poubierały się we fraki i sukienki, i wmięszały się między ludzi? Wyobraziłam sobie cały salon takiego towarzystwa, widziałam, jak wielbląd tańczył z sarneczką skocznego mazura, a kozieł, muł i osieł, stojąc na tylnych łapach w kącie, grali na różnych instrumentach; zwinny kot przyjmował uprzejmie gości u wejścia do sali, kret, uczył zająca filozofji i chciał z niego zrobić stoika, wróbel wykładał geognozję, wilk, moralność i polityczną ekonomję, a nietoperz deklamował najnowszy swój romantyczny poemat, którego kaczki słuchały z zachwyceniem... *per Bacco!* czego ja nie widziałam i nie słyszałam w tém *serapjontyczném* marzeniu!...

Olla podrida próżności.

Wy macie ciepłe mieszkanie, odzienie i obówie, karety, parasole i galosze, służących, kucharzy i doktorów, a jednak chwiejecie się od niemocy, jak trzcina kołysana wiatrem! Biedni wieśniacy nic z tego nie mają, a wszakże są zdrowi i czerstwi, i dożywają do późnéj starości!

Kiedy wzrok wasz osłabnie, możecie mieć sztuczne oczy ze szkła; kiedy wam braknie zębów, dentysta wprawi drugie; kiedy twarz wasza blada, możecie ją pomalować; same nawet niedołężności ciała możecie skryć za pomocą stroju i waty... Wieśniacy nie mają tego, ale téż i nie potrzebują!

Z pustą głową umiecie grać rolę uczonych; z pustą kieszenią, bogatych; z pustém sercem, zakochanych lub przyjaciół. Jest to wielka sztuka! ale na cóż ona wam się przyda, kiedy ją prawie wszyscy posiadacie, i każdy przyjmuje i płaci tąż samą monetą?

Krzątacie się skwapliwie; zdaje wam się, że szybko biegniecie do celu; a gdybyście się obejrzeli, spostrzeglibyście, że stoicie na miejscu, kręcąc się tylko w kółko, jak Fakiry!

SZATANEK.

Was willst du böser Geist von mir?
FAUST.

Vous avez *les diables bleus*—maladie qui s'appelle en anglais *blue devils*.
STELLO.

Jest coś we mnie, czy koło mnie, co mi przeszkadza być szczęśliwą. Niekiedy serce moje napełnia się rozkoszném uczuciem, kocham wszystkich, uśmiecham się światu, wszystko mi się podoba, i chciałabym zostać w tym stanie; ale nagle, sama nie wiem zkąd, nalatują czarne myśli na mój umysł, krążą po nim, jak zgraja kruków, i wyjadają mi z mózgu najpiękniejsze moje marzenia. W podobnych chwilach zdaje mi się, że jakiś zły duch, że jakiś *szatanek* stoi przy mnie i szepce mi do ucha zdania, od których potokiem chłód strzela mi w serce. Zdarzało się to ze mną i dawniéj,

na wsi, ale wtedy byłam dzieckiem, nie znałam świata, i wszystko się kończyło na mimowolnym płaczu, którego przyczyny nie pojmowałam ani ja, ani drudzy. Dziś, zupełnie co innego. Świat rozkłada przedemną swoje mamidła. Wyciągam dłoń, żeby schwycić to, co los do mnie zbliża, i cofam ją z rozpaczą, bo głos mego tajemniczego ducha szepce mi, że to wszystko fałszywe, że te kwiaty, co mnie nęcą, zrobione z jedwabiu! Kiedy się zachwycam, on szydzi; kiedy cenię, on uniża; kiedy ufam, on nie wierzy; kiedy się do łez rozczulam, on znajduje zawsze coś śmiesznego lub płaskiego, i w każdym razie odrzuca mnie w stronę przeciwną téj, gdzie szukałam nadziei lub szczęścia. Zimny, ironiczny, podejrzliwy, nieubłagany, pastwi się nad mojém sercem, jak nad bezbronną ofiarą, i truje w niém każdą rozkosz w samym zarodku.

Z tym szatankiem wypadnie mi walczyć całe życie. Stoi przy mnie, jakby na szyldwachu, i kiedy chcę go odprawić, odpowiada, że już zapóźno!

O ileż słodkich marzeń i nadziei musiałam z jego woli rzucić marnie na drodze życia! ileż nocy bezsennych spędziłam, płacząc i słuchając z rozpaczą sarkastycznych jego rozumowań! a co najgorsza, napłakawszy się, nagniewawszy się na niego, widzę najczęściéj, że próżno się z nim sprzeczać, bo prawie zawsze ma rację!...

W mowie ludzkiéj znajduje się wiele wyrazów, których znaczenie jest zupełnie *względne;* do rzędu tych należy słowo: *szczęście*. Wyjąwszy kapłana, każdy z nas ma o niém inne pojęcie, bo każdy zakłada sobie inny cel w życiu, ma swoje osobiste chęci, gusta, i potrzeby jak fizyczne tak i moralne. Co dla jednego jest ostatecznym kresem marzeń, w zdaniu drugiego może być niedolą. Ztąd wypada, że o losie innych mamy najczęściéj błędne wyobrażenia, niesłusznie zazdrościmy jednym i bez przyczyny litujemy się nad drugimi; ztąd też wypada, że nieraz potępiamy innych, obojętnie i niesprawiedliwie, za to, że nie są zadowoleni swoim losem. Słyszymy codziennie mówiących w towarzystwie: Ta panienka sama nie wie czego chce, zdarzają się jéj najpiękniejsze partje, a ona je odrzuca, albo: Ta pani ma najlepszego męża, i ciągle smutna. O zimni rozprawiacze! wam się zdaje, że serce kobiéty nie powinno bić w jéj łonie ani prędszym, ani powolniejszym taktem, nad ten, jaki wypada z rachunków waszego egoizmu! Nikomu z was

nie przyjdzie do głowy, że można cenić człowieka, oddawać mu zupełną sprawiedliwość, a jednak go nie kochać, albo nawet mieć wstręt do niego. Mężczyzna może być przystojny, miły w towarzystwie, oświecony, dobry przyjaciel, rządny gospodarz, szlachetny obywatel, i przy tych wszystkich zaletach nie podobać się kobiécie, albo zająć ją mocno, a jednak potém być złym mężem. Najświetniejsze przymioty nie wzbudzą w naszém sercu miłości, jeśli natura jedném tchnieniem nie rozżarzy w niém ogniska tego uczucia, tak, jak Mojżesz na pustyni uderzeniem rószczki wydobył zdrój ze skały.

Encore si vous m'eussiez laissé... l'ignorance
J'aurais vécu paisible...
Mais vous avez nourri les feux de mon génie.
GILBERT.

Nazywacie mnie kokietką, kobiétą bez serca, żyjącą tylko umysłem i wyobraźnią, a to wszystko dla tego, że dotąd nie kocham nikogo. Dobrzy ludzie! mojaż to wina, że każdy z was przynosi mi swój liczman i chce go wydać za dukata? Lalki, marjonetki, dziwne zamorskie zwierzątka, tańczą w około mnie sarabandę, szczebiocą i robią grymasy, zdejmują kapelusiki i kłaniają się uniżenie.

— Weź mnie droga pani! mówi jeden, już ja miesiąc skaczę przed tobą, jestem dobry jak gołąbek, będziesz ze mnie kontenta.

— Kochaj mnie, mówi drugi, ja pląsam już rok cały, nogi mnie bolą i mam prawo odpocząć.

— Oddaj mi swoję rękę, mówi trzeci — ja będę tańczył przed tobą całe życie.

Ojcze! ojcze! poco jeszcze w dzieciństwie sprowadziłeś mnie z bitego gościńca kobiécego życia? poco tak starannie pielęgnowałeś moję głowę i nauczyłeś mnie obserwować ludzi? poco rozłożyłeś miłość na pierwiastki, i dałeś mi tak wysokie o niéj wyobrażenie, że teraz szukam jéj podług twojéj recepty, i z rozpaczą widzę, że jéj niema! Weź sobie oświecenie, weź tę zgubną receptę. Co mi po nich, jeżeli mam jak sierota błąkać się po świecie? Moje rówiennice biegną wesoło po drodze życie, słońce im mile świeci, kwiaty je bawią, słowik im śpiewa, i ledwie zrobią kilka kroków, spotykają towarzysza dla dalszéj podróży... i jabym

przeszła po téj saméj kolei, spotkałabym może ciernie, ale między nimi byłyby téż i kwiatki rozkoszy. Ojcze! poco mnie nauczyłeś chwytać się za zbyt wysokie nadzieje? Narzekam na ciebie, jak Gilbert na swoich rodziców!

Es schleichen wilde Schrecken
So ängstlich leise her,
Und tiefe Nächte decken
Die Seele zentnerschwer.

NOVALLIS.

Próżnobym chciała opisać to uczucie, które mnie niekiedy ogarnia. Sama nie wiem czego mi brakuje. Mam wszystkie wygody życia, mam książki, fortepjan, malarską gotowalnię, mam mnóstwo znajomych i mogę korzystać ze wszystkich zabaw stolicy, a jednak napada na mnie taka tęsknota, że mnie to wszystko niecieszy. Nie jestem chora, a wszystko mnie boli, źle mi w domu, a w gościach jeszcze gorzéj. Zdaje mi się, że muzyka mnie uspokoi; ale zaledwie zbudzę kilka dźwięków, bolą mnie uszy od téj brzdąkaniny i żądam znów ciszy. Tydzień już się zbieram przeczytać książkę, którą w innym czasie skończyłabym w kilka godzin. Jakaś myśl błędna, nieokreślona, padła na mnie całém brzemieniem i trzyma moję istotę w bolesnym letargu.

Domestica facta.

Ojciec mój był mocno chory i ledwie przyszedł do zdrowia. Na łożu boleści zacny starzec myślał więcéj o mnie, jak o sobie, i kiedy gorączka pozbawiła go przytomności, rozprzęgłe myśli cierpiącego kupiły się najczęściéj na tym punkcie, że w przypadku jego śmierci, ja zostanę samotną sierotą bez żadnéj podpory, wśród pustyni świata. Niekiedy wołał jakby z rozpaczą: A jeśli ja się omyliłem? a jeśli moje myśli o wychowaniu fałszywe? Boże! wtedy ukradłem jéj całą młodość, pozbawiłem ją najpiękniejszéj perły w wianku lat życia! zdarłem zasłonę omamień z jéj oczu, i rzuciłem nagle w świat, w którym teraz nic ją ani dziwi, ani zajmuje, ani przyciąga! W innych chwilach przeciwnie uspokajał siebie, mówiąc:

Nie, nie mogłem się omylić, chroniąc ją do dojrzałych lat od burzy serca i rozwijając należycie te zdolności, któremi obdarzyła ją natura. Niech się śmieją ludzie światowi, niechaj szydzą filozofowie, ja słuchałem głosu rozumu i doświadczenia.

Bądź spokojny, starcze! wezmę latarnię Diogenesa i będę szukała *człowieka*, jak tego pragniesz!...

Twój podeszły wiek i moje lata, przeznaczenie kobiét i potrzeba męzkiéj opieki w społeczności, wreszcie szyderstwo, które świat wali na barki staréj panny, wszystko to są pobudki, którym umysł mój bynajmniéj się nie opiera. Widzę dobrze, że jestem już w drugiéj epoce kobiécego wieku, że twarz moja zaczyna stopniowo przybierać wyraz dojrzałości, że może wkrótce młodzież odstąpi odemnie. Z drugiéj strony, wyobraźnia przedstawia mi najpowabniejsze obrazy szczęśliwego domowego życia, serce czuje okropną czczość w świecie i wymównym głosem domaga się odmiany w mym losie.... Były chwile, w ktorych zaczynałam sprzyjać temu lub owemu; i gdyby nieodstępny mój szatanek opuścił mnie choć na czas jakiś.... Ale dość téj spowiedzi! przyrzekłam sobie zastanowić się nad tym przedmiotem.

PIERWSZA KONSULTACJA.

Poezja i Proza.

— Miłość jest poezja serca, rzekłam sobie, i dla tego tak rzadka na ziemi, jak pieśni poetów.

— Miłość jest sen, szepnął mi szatanek. Kochać się, jest rzecz równie pospolita, jak spać. Można rozmaicie kochać i mieć rozmaite sny, można spać podług recepty i kochać podług rachuby.

— Prawda! zawołałam, miłość jest sen, ale sen czarowny, boski.... Ja ci opowiem taki sen:

Szatanek zmarszczył się, jak literat na widok książki, któréj tytuł mu się nie podoba.

SEN DZIEWICY.

L'amour! c'est le rêve d'un ange.
BERANGER.

I zwiedzili drogi mléczne,
Wszystkie słońca i księżyce,
Wszystkie sfery podsłoneczne.
JULJAN KORSAK.

Zdawało się jéj, że był jesienny wieczór, wiatr szumiał w ogrodzie, łamał ostatnie kwiaty, kołysał drzewa i zmiatał zżółkłe liście w alejach. Spojrzała na niebo: — blady księżyc to wychylał się z chmur, to w nich tonął; gwiazdy błyszczały mdłém światłem, snuły się zwolna przed jéj oczyma, jak pochodnie dalekiego pogrzebu, i gasły jedna po drugiéj; nareszcie zrobiło się ciemno. Ciemność i smutek! zawołała z westchnieniem, oprócz tego niemasz nic więcéj na świecie. Ale zaledwie domówiła tych słów, wszystko się przemieniło. Drzewa zazieleniły się świeżą majową barwą, łagodny wietrzyk igrał z listkami, tysiące cudownych kwiatów rozkwitło w kłąbach, i słowiki nóciły zachwycające piosenki, i cały błękit niebios usłany był złotemi gwiazdkami, pośród których majestatycznie płynął księżyc żadną chmurką niezakryty, z jego twarzy strzelił snop srebrnych promieni, a na tych promieniach tańczyły jakieś małe istoty, czarującéj postaci, dziwnie piękne, z oczkami jaśniejszemi od brylantów, i wdzięcznie się jéj uśmiechały, i szeptały jéj niebieskie przywitanie, wabiły i pociągały do siebie. Jakieś nowe życie zionęło w jéj duszę potokiem rozkoszy, zadrżała od szczęścia, i złożyła ręce na piersiach, jakby obawiając się, żeby łono jéj nie przepełniło się zbytkiem uczuć i nie pękło. Czuła się lekką, jak piórko, jak cień, jak myśl. Niewidoma siła unosiła ją nad ziemską płaszczyznę, i sama nie spostrzegła jak orlim lotem wzbiła się w górne obszary. Zapomniawszy o ziemi i o ludziach, leciała wyżéj i wyżéj, chyżéj i chyżéj, między słońca, między światy krążące po odwiecznych drogach, w oceanie jasności; słyszała harmonję sfer niebieskich i dalekie echo jeszcze wspanialszych głosów! O! zawołała dziewica, to zawiele szczęścia dla jednego serca! Dla czegoż tu nie ma nikogo, coby je ze mną podzielił?... Czyliż nie widzisz mnie? rzekł jéj ktoś głosem milszym nad wszystko co dotąd słyszała, wszak ja ci nieodstępnie towarzyszę, i postrzegła przy swoim boku młodzieńca pięknego jak anioł, który z uśmiechem

podał jéj rękę. Jego obecność przejęła ją niewypowiedzianém uczuciem, które ognistą ławą płynęło w serce, i poznała z zadziwieniem, że to, co przed chwilą zdawało jéj się zbytecznem, było tylko pączkiem rozwijającego się kwiatu. Dłoń w dłoni, oko w oku, zestrzeliwszy uczucia, myśli i całe życie w jedno ognisko, lecieli wyżéj i wyżéj! śmieléj i śmieléj! nad słońca, nad światy, do eterycznéj mgły, za którą zaczyna się nieziemskie życie!.... Oto sen dziewicy.

— Jakiż jego koniec? spytał obojętnie szatanek.

— Niemasz tu końca, *signor Demonio!* zawołałam oburzona, wyżéj i wyżéj! chyżéj i chyżéj! nad słońca.... nad światy....

— Stój, przerwał zimny mój towarzysz, bliższy tu koniec, jak ci się zdaje; poczekaj, ja ci go opowiem; ale po twoim niebieskim nektarze będzie ci to mniéj do smaku, jak *infusum cardui benedicti.*

DALSZY CIĄG SNU.

> Und liefert das Leben von unsern idealen Hoffnungen und Vorsätzen etwas anders als eine prosaische, unmetrische, ungereimte Uebersetzung?
>
> JEAN PAUL RICHTER.

Kiedy tak szczęśliwie lecieli nad słońca, nad światy.... nagle zdało im się, jak gdyby coś ich targnęło z dołu; spojrzeli i spostrzegli, że do nóg ich była przywiązana nitka, na którą dotąd nie zwracali uwagi, a drugim swoim końcem w dalekiéj przestrzeni dochodziła do jakiéjś kulki, maleńkiéj i czarnéj, jak ziarnko pieprzu. Ta nitka nas nie zatrzyma, rzekli oboje, ufając w swą siłę, albo pęknie, albo tę pieprzynę pociągnie za sobą; co nam na nią zważać? i znów lecieli daléj. Nitka przedłużała się nieodpowiednio wzlotowi, i nareszcie natężyła się jak strona, lecz ani rwała się, ani pieprzyny nie ciągnęła w górę. Nie mogli lecieć wyżéj, bo każde usiłowanie sprawiało im boleść; opanowała ich niemoc i niechęć; kołysali się jeszcze czas jakiś na jednéj wysokości, a potém zaczęli spadać, i ujrzeli z zadziwieniem, że ta pieprzyna, którą tak gardzili, była ziemia! Ten lot nad krańcami przyrodzenia, ten lot

bujny, wspaniały, szczytny, był nic więcéj, jak wojaż wróbla, którego żak puszcza na sznurku!.... Wypuścili dłoń z dłoni, zaczęli sprzeczać się kto był krócéj przywiązany, i kto drugiemu przeszkodził lecieć daléj, zaczęli się posądzać o zdradę, i nie patrząc gdzie spadają, spadli nieostróżnie przed okiem świata, który ich wyszydził za tę napowietrzną podróż.

— Przestań, jeśli masz litość! zawołałam. Czego nie oczerni twoja sarkastyczna filozofja? Młodość, poezja, i sama miłość, więdną, jak tylko dojdzie do nich chłodne twoje tchnienie....

— *Omne trinum perfectum!* rzekł ironicznie zimny filozof, trzy rodzone siostry! ciągną ludzi tak mocno za nos, że im się nikt oprzeć nie zdoła, i dla tego wszyscy je lubią.

DRUGA KONSULTACJA.

Koncepta.

Il y a toujours les trois quarts d'absurde dans tout ce que nous disons.

JOSEPH DELORME.

— Nienawidzę twojéj filozofji, rzekłam szatankowi, mów mi o miłości językiem świata. Na co mi się przydadzą twoje sarkazmy, twoje rozumowania i twoje dziwaczne sądzenia? ja chcę wiedzieć zdanie ludzi, z którymi żyję.

— O! z tych zdań zapewne niewiele skorzystasz, odpowiedział szatanek. Ludzie lubią wszystko tłómaczyć, a najbardziéj to, czego nie wiedzą lub nie rozumieją; w naukach przyrodzonych robią *definicje*, które nic nie *definjują*, a kiedy idzie o objaśnienie natury duszy lub serca, to łamią sobie głowę dopóty, dopóki nie wymyślą jakiego *konceptu*, i potém wydają go drugim za dobrą monetę. O kobiétach i o miłości mnóstwo podobnych konceptów chodzi w salonach, i ludzie światowi zachwycają się niemi, jak dzieci pięknością zaklętych księżniczek, o których im mówią piastunki. Tak naprzykład powiedział ktoś: Żeby się podobać mężczyznie, trzeba tylko odkryć oś, na któréj kręci się jego istota, i zręcznie pomagać, albo przynajmniéj nie przeszkadzać mu kręcić się; z uczonym postępować poważnie, z trzpiotem się trzpiotać,

gastronoma karmić, chciwemu sypać złoto i t. d.; ale żeby się podobać kobiécie, trzeba, jak Proteusz, przybierać na siebie tysiąc postaci; być wesołym i smętnym, lekkomyślnym i filozofem, otwartym i kłamcą, zalotnym i obojętnym, niewolnikiem i samowładnym. Jak ci się podoba to zdanie?

— Płaski koncept! ale może tak jest w istocie?

— Przynajmniéj dotąd tego niemasz w Polsce. Cała ta tirada pachnie wiekiem Ludwika XV, i gdyby była prawdą, to każdy komedjant mógłby z serc kobiécych ułożyć sobie nową egipską piramidę.

— Ale cóż jest miłość w zdaniu ludzi światowych?

— Najrozsądniejsi objaśniając ją, mówią, że to kwiat wiosenny na drzewie przyjaźni.

— Piękne wyrażenie, lecz tego mało dla serca! rzekłam z westchnieniem.

— A zawiele dla umysłu patrzącego na świat przez okulary doświadczenia, dodał obojętnie szatanek. Są jeszcze *paszkwile* na miłość, ale o tych zamilczę.

TRZECIA KONSULTACJA.

Historja.

Und da sucht das Aug, so Oft vergebens
Rings umher und findet alles zu.

GÖTHE.

Moi, je n'ai point encore entre eux trouvé d'ami
Parce qu'un cœur trop plein n'aime rien à demi.

LAMARTINE.

— Będzie to zapewne ostatni bal w tym roku, myślałam sobie wyjeżdżając z domu. Szatanku! nie waż się mi wchodzić ze mną do sali. Dziś chcę się bawić tak wesoło, jak inne kobiéty. I zostawiłam go na dworze, chociaż deszcz lał jak z wiadra.

Wyśmienity fortel odpędzić takim sposobem nudziarza! Kiedy weszłam do salonu, wszystko mi się podobało. Czułam w sobie chęć do zabawy, i istotnie bawiłam się wesoło. Opowiadano mi nowości warszawskie, i to mnie zajmowało; młodzież sypała mi grze-

czności światowe, i przyjmowałam je z przyjemnością; brano mnie do tańca, tańczyłam z rozkoszą; oświadczano mi się z uczuciem, i wierzyłam tym oświadczeniom.... wszystko to dla tego, że nie było przy mnie szatanka!

Po niejakim czasie, strudzona tańcem, siadłam przy oknie, i oparłszy się na konsoli, słuchałam światowéj gadaniny jednego mężczyzny, a wtém zdało mi się słyszeć szmer jakiś za szybą; spojrzałam, niestety! był to nieborak szatanek, który żałośnie błagał mnie, żeby mu pozwolić wpełznąć do swojéj komórki w mózgu. Zamyśliłam się, czy się zgodzić na to lub nie, a tymczasem mój kawaler widząc, że gładkie jego perjody giną napróżno w powietrzu, opuścił mnie pocichu. Szatanek mówił znów:

— Pozwól mi wrócić. Ten bal już cię więcéj nie będzie zajmował, tańczyć więcéj nie zechcesz, cóż więc będziesz robić bezemnie? chyba spać?

— Prawda, pomyślałam, ta pustota już mnie znudziła, spać tu nie można, ani się zająć jaką robotą.... chodź szatanku, chodź! i jeśli możesz, powiedz mi, kto tu o mnie myśli z mężczyzn?

— Mogę nie tylko ich wyliczyć, rzekł *povero diavoletto*, ale nawet opisać ich charaktery.

— Trudna to jest rzecz! zawołałam z niedowiarstwem.

— Trudna bez wątpienia, odstrzelił filozof, ale możebna. Wszak niemało lat obserwuję ludzi zbliżających się do ciebie. Z początku często sądziłem fałszywie; lecz późniéj doświadczenie, rady i zdania tych, co także czuwali nad tobą, nareszcie księgi, których tyle przeczytałem dla twego dobra, wszystko to udoskonaliło mnie do pewnego stopnia, i jeśli teraz sąd mój nie jest zupełną prawdą, to przynajmniéj znacznie się do niéj zbliża.

— Ale dla czegóż ty w każdym człowieku widzisz tylko jego niedołężności?

— W każdym? o, nie! wielu z twoich znajomych szanuję i cenię prawdziwie, i mówiłem ci nieraz, że dzisiejsze towarzystwo, przy całym swoim moralnym upadku, liczy jeszcze zbyt wiele szlachetnych i oświeconych ludzi, ażeby je można było potępić. Niepochlebne sądzenie o kilku członkach nie stosuje się wcale do społeczności. Wszak nawet o trzodzie owiec nie podobna dać ogólnego zdania, jakżebym więc mógł czernić wszystkich ludzi bez wyjątku?

— Znów się wdajesz w rozumowania!

— Nic to, już zaczynam. Widzisz tego ułana, z twarzą ogo-

rzałą od słońca, z ogromnemi wąsami i bakembardami, co stoi w marsowéj pozycji przed Julją K*** i lakonicznie odpowiada na jéj szczebiotliwą rozmowę? To rotmistrz Stępak, człowiek mało oświecony, mało utarty w towarzystwie, ale z gruntu uczciwy, szlachetny, dobry obywatel i nadewszystko doskonały oficer. Serce jego dobre i czułe w każdym razie, kiedy tylko nie idzie o służbę; lecz słowo: służba, w jego pojęciu ma bardzo obszerne znaczenie. On widzi całą społeczność pod postacią ułańskiego wojska, i dzieli ją na *starszych, równych* i *młodszych*. Znajomiąc się z kimkolwiek, pomieszcza go w jednym z tych oddziałów, i stosownie do tego obchodzi się z nim. Każda kobiéta w salonie znaczy dla niego toż samo, co półkownik przed frontem; kochanka ma stopień przynajmniéj generała; a żona, jeśli ją kiedy *wysłuży*, będzie się musiała kontentować rangą wachmistrza. Stać się jego małżonką, jest to w jego zdaniu toż samo, co mieć honor służyć w jego szwadronie. On będzie dla swéj żony dobry, przychylny, troskliwy, ale za to proszę pilnować służby i broń Boże! nie wychodzić z karbów subordynacji. Pan Stępak już się był prawie zdecydował oddać swoję bohaterską prawicę Julji K***, ale zmiarkował, że ta panienka nie przyznaje żadnéj różnicy w stopniu między mężem i żoną. Zacny rotmistrz, brzydząc się taką herezją, rejteruje się od niejakiego czasu z należytą ostrożnością i zwraca oczy na ciebie, w nadziei, że spotka w tobie więcéj dojrzałe sądzenie o stanie małżeńskim.

— Cenię zasługi rotmistrza, ale nie mam chęci służyć w jego szwadronie.

— A więc pójdziemy daléj, rzekł szatanek. Oto tam w końcu salonu rozmawia młody mężczyzna ze starą hrabiną S***. To Stanisław M***. Pan Stanisław ma 30 lat. Żeby skryć swoje nieoświecenie, drwinkuje z uczoności i uczonych, czyta rano gazety i wieczorem szeroko rozprawia o polityce i nowych wynalazkach; żeby pokazać się filozofem, deklamuje ciągle o moralności i naturze przyszłego życia; żeby skryć pustotę serca, uczy się na pamięć czułych djalogów z powieści pani de Genlis i recytuje swoje lekcje przed młodemi kobiétami. Życzyłby sobie mocno napełnić kieszeń posagiem przyszłéj żony, i w tym celu zbliżył się do hrabiny, która lubi swatać, i przyrzekła mu znaleźć przyzwoitą partję. Pan Stanisław uważa cię za sentymentalną kobiétę, i sądzi, że jedną dłonią weźmie twoję rękę, a drugą, twój posag.

— Ależ to niegodziwie, zawołałam, taką fałszywą monetą chcieć kupić życie i szczęście kobiéty!

— Oklepana historja, rzekł obojętnie sarkastyk, stara jak świat. Dziwna rzecz tylko, że są kobiéty, które dopóty nie mają pokoju, dopóki ich nie kupi jaki zimny negocjant za kilka liter swego nazwiska i tytułu.

— Młodość! niedoświadczenie! rzekłam z żalem.

— Namiętność! odpowiedział szydersko szatanek, ona jest skałą, o którą roztrącają się rozumy wszystkich kobiét, i młodych i starych, i oświeconych i prostych. Ale ten przedmiot zanadto wyczerpany, żeby się nad nim zastanawiać. Czy widzisz tego mężczyznę, co z desperacką miną stoi przy oknie? lat 27, twarz blada, rysy ostre, nos orli, brwi nachmurzone, włosy w nieładzie!

— To Aleksander D***.

— Pan Aleksander lubi silne wrażenia, pije maderę i rom, jeździ na koniu w cwał, jak upiory w balladach, stawia na kartę wszystkie pieniądze, które ma przy sobie, poluje tylko na niedźwiedzie, tańczy tylko galopadę, i szuka kobiéty, coby go kochała namiętnie, ślepo, bez granic, coby sobie pozwoliła nos oderznąć na skinienie jego ręki.... Niedawno pan Aleksander, widząc cię pierwszy raz, zdziwił się tylko, że wzrok twój zrobił na nim mocne wrażenie; dziś, uderzony znowu twojém magnetycznem spojrzeniem, nie wycierpiał dłużéj, zbliżył się do ciebie, i zaczął rozprawiać robiąc najdziwaczniejsze gesta, o ideałach, ognistych uczuciach szalonéj namiętności, obojętności kobiét i t. d., i wszystko to dla tego, żeby w téj lawie frazesów stopić twoje serce.

— To musi być warjat? spytałam.

— Wcale nie, rzekł szatanek, to młody człowiek, który bez należycie rozwiniętego rozsądku rzucił się w odmęt romantycznéj literatury. On nie czyta, lecz łapczywie połyka całe poemata i powieści. Cóż dziwnego, że ten pokarm sprawia silną fermentację w głowie nieprzygotowanéj do jego przyjęcia przyzwoitém oświeceniem? Jest to toż samo, co karmić niemowlę befstekiem. Zabawna rzecz, że wiele kobiét mają szczególniejszą predylekcję do ludzi tego rodzaju.

— Z obawy, ażeby mi nie kazał odciąć sobie nos, zapomnijmy o panu Aleksandrze, pomówmy o kim innym.

— Naprzykład o panu Buriko-Koko, podchwycił szatanek. Otóż on stoi sobie przy drugiém oknie i zlekka bębni palcami po marmurowéj konsoli; ma około 32 lat, twarz regularną, ale bez żadne-

go wyrażenia, oczy mętne, brwi cienkie, dzielące wązkie czoło prawie na dwie połowy, i głowę płaską z tyłu jak deska. Pan Buriko-Koko nie ma własnego charakteru, i dla tego codzień pożycza u drugich myśli i uczuć. Niechaj kto chwali otwartość, Buriko-Koko natychmiast zanotuje to sobie, i wraz wyspowiada się przed wszystkimi znajomymi, choćby mieli suchot dostać z nudów. Niechaj potém kto inny powie, że potrzeba skrywać swoje myśli, Buriko-Koko obleci znów wszystkich znajomych, odwoła to, co im mówił, i będzie kłamał jak najęty. W jego głowie, sercu i kieszeni jednakowy nieład; on nigdy nie wie z pewnością, co myśli, co czuje, i wiele ma pieniędzy. Żeby zgodnie żyć z takim mężem, żona powinna się zgadzać ze zdaniem *wszystkich* znajomych, od czego rozsądna kobiéta niechybnie musi zwarjować. Buriko-Koko kocha się we wszystkich kobiétach, które się innym podobają, i rozmawiając niedawno z jednym z twoich wielbicieli, pała teraz dla ciebie miłością.

— To wymyślony charakter, rzekłam, takich ludzi nie masz na świecie.

— Jest ich mnóztwo, — odpowiedział Szatanek. — Trudniéj jest mieć własny charakter jak własną wieś.

— Biedny człowiek!

— Głupi! Gdyby tylko miał cokolwiek więcéj taktu, mógłby nie siać, nie orać, a zbierać. Jest wielu, co lepiéj na tém wychodzą, jak pracowici rolnicy. Ale oto siedzi znajomy ci młodzieniec w fotelu, skrzyżował ręce na piersiach i podniósł wzrok na sufit, jak gdyby po nim liczył gwiazdy.... Czy opisywać go?

— Ach! to mój kuzyn Hilary! Mówże prędzéj! dla czegóż nie zaczynasz?

Szatanek ociągał się, ziewał, zagadywał o czém inném, słowem, przystępował do rzeczy niechętnie, jak gdyby czuł do tego przedmiotu osobliwszą odrazę. Nareszcie zaczął mówić cienkim głosem, naśladując po polsku paryzki akcent, co formowało dość zabawną kakofonję:

—P. Hilary ma 26 lat, twarzyczkę, którą myje codzień windsorskiém mydłem, rączki pulchne, delikatne od próżnowania i kosmetyków, długie, starannie utrzymane paznogcie, misterne faworyty i wysoką czupryne; przymrúża zwyczajnie jedno oko, marszczy czoło i wysuwa dolną wargę naprzód; posiada 40 par kamzelek, 60 halstuchów, 50 lasek, 100 fajek, kapelusz waterproof i inne bagatele; czyta czasem nowe powieści; niekiedy rzuca okiem na

gazetę; jeździ codzień konno; gra w wielką grę; nie nosi innych pieniędzy, oprócz bankowych biletów; przyjeżdża do teatru przed końcem sztuki i lubi kawalerską biesiadę w hotelu; kocha się codzień w innéj kobiécie, prędzéj w mężatkach, jak we wdowach, a w tych chętniéj, jak w pannach; rozprawia o politycznéj ekonomji, o cudzoziemczyznie; nie wierzy w stałą miłość i śmieje się z małżeństwa. Niedawno założył się z kolegą, że w miesiąc zawróci ci głowę, i spekuluje teraz nad tém, jakby dopiąć swego celu.

— Nieznośny fanfaron!

— Porzucam go, i zwracam twoją uwagę na tego urzędnika, co tak poważnie gra sobie tam w wiska. Jest to człowiek dość młody, dość oświecony, dość bogaty, dość ambitny, dość czuły, bardzo porządny, bardzo wyrachowany i nadzwyczajnie ostrożny. On zawsze wie dokładnie, jakie posiada środki, i z nich wnioskuje o swych siłach, do sił stosuje życzenia, do życzeń zamiary, do zamiarów postępowanie. Trzymając się nieodstępnie tego prawidła, pojmuje zawsze jak najlepiéj swoje położenie w towarzystwie, co jest rzecz bardzo rzadka. Ten pan nie lubi silnych wrażeń, unika ostateczności, idzie po wypatrzonéj drodze i rachuje kroki, ażeby w razie potrzeby mógł wrócić na ostatnie stanowisko i wybrać sobie inny trakt. Nie ma długów i nikomu nie pożycza pieniędzy; dla wszystkich uprzejmy, ale nikogo nie nazwie przyjacielem. Od trzech lat już wybiera sobie żonę, a jeszcze przed żadną kobiétą nie wspomniał o miłości....

— Stój! zawołałam, to są fantazje, to wymysł, to urojony charakter!

— Rzadki w świecie, odpowiedział szatanek, ale wzięty z natury.

— Przynajmniéj to nie polski charakter, może holenderski? może niemiecki?

— Tylko nie staro-polski.

— Daléj, *signor Demonio!*

— Niewiele mi zostaje. Ten pan wykalkulował sobie, że mu wypada starać się o twą rękę, i począł ostrożnie przystępować do téj sprawy; lecz po niejakim czasie spostrzegł, że jego naczelnik pan I*** idzie zcicha z tyłu za nim po téj saméj drodze, i ustąpił mu cię natychmiast, dla tego, że podług jego zdania, dobrą żonę można znaleźć zawsze, a przychylnego naczelnika rzadko. Pan I*** jest teraz otwarcie jego protektorem.

— Mój Boże! oba oni starali się o moją rękę, jak kupcy o to-

war na publicznym targu, jeden negocjant bierze drugiego na stronę, i prosi go żeby mu nie przeszkadzał targować się!...

— Nieinaczéj, bo ani jeden ani drugi nie myślał cię kochać, a chciał tylko nabyć: urzędnik dla tego, że twój wiek, oświecenie, charakter i majątek odpowiadały jego rachubom; naczelnik dla tego, że mając pięcioro dzieci po pierwszéj żonie, życzy sobie mieć dość oświeconą żonę, żeby mogła kierować ich wychowaniem.

— Dla czegóż nie weźmie guwernantki? spytałam.

— Dla tego, że żona może być i ochmistrzynią dzieci, i gospodynią domu, i pięknym meblem w salonie, i powierniczką jego samolubstwa, i cierpliwą ofiarą jego kaprysów. Zresztą, zamiast płacić guwernantce, lepiéj ożeniwszy się, udwoić swój majątek.

— I dla takich nędznych, błahych powodów pan I*** chce się żenić? zawołałam zdziwiona.

— Cóż tu osobliwszego? rzekł obojętnie sarkastyk. Ludzie żenią się jeszcze dziwaczniéj. Jeden jegomość zbierał się kilka lat jechać za interesami do Petersburga, lecz będąc skąpym i podejrzliwym, nie mógł znaleźć nikogo, komuby poruczyć w tym czasie dozór nad całą swoją ruchomością. Nareszcie wpadł na szczęśliwą myśl, że najpewniejszy dozorca jest własna i *rodzona* żona. Ożenił się więc ze starą panną, która słynęła z oszczędności i dobrego gospodarstwa; dał jéj instrukcję i jeden egzemplarz inwentarza, a z drugim egzemplarzem w kilka godzin po ślubie wyjechał do Petersburga. Inny, miał majątek, w środku którego leżała szczupła posiadłość jednéj sieroty. Nie chcąc mieć w swych dobrach takiéj niepodległéj wyspy, starał się ją nabyć kupnem, i dawał nawet więcéj jak była warta, lecz opiekunowie nie sprzedali. Nie dopiąwszy zamiaru, zawiązał proces z sierotą, prawował się 10 lat i przegrał sprawę. Nareszcie w podeszłym wieku przemienił jeszcze raz plan, udał baranka, podczesał czuprynę do góry, puścił się w zaloty do biednéj dziewczyny, która ledwie skończyła wychowanie, ożenił się z nią, i zniszczył niepodległość owéj wyspy, która mu nie dawała pokoju. Inny, ożenił się w pięćdziesiątym roku dla tego, żeby mieć osobę, coby go pielęgnowała w podagrze....

— Dość tych ustępów; daléj, szatanku, daléj! śpiesz się....

— Nie ma się czego śpieszyć, nikt więcéj nie myśli o tobie.

— Nikt więcéj! zawołałam z goryczą, więc między niemi nie masz ani jednego....

— Zarozumiała kobieto! przerwał szatanek, któż ci to powiedział? Jest może wielu takich, których serce czułe i szlachetne,

głowy pełne rozsądku i oświecenia, charaktery otwarte, łagodne w pożyciu, pobłażające słabościom twéj płci i umiejące cenić jéj cnoty.... jest ich może wielu, tylko nie myślą o tobie!

DALSZY CIĄG HISTORJI.

On ne se souvient pas, perdu dans le naufrage
De quel âstre inclément s'est échappé l'orage.
Qu'importe? Le malheur s'est étendu partout
Le passé n'est qu'une ombre, et l'attente un dégoût.
Me DESBORDES VALMORE.

Ostatnie słowa szatanka pozbawiły mnie prawie przytomności. Czułam, jak krew gwałtownie rzuciła się do mózgu, przed oczyma zrobiło mi się ciemno, w uszach zaczęło szumieć i dzwonić, naprzód zlekka, jak dwa srebrne dzwoneczki, potém coraz mocniéj, coraz straszniéj, jak gdyby wszystkie dzwony z całéj Warszawy zbiegły się do mnie i rozkołysały się na gwałt. Ledwie nie omdlałam od téj muzyki. Natężyłam wzrok przed sobą, chcąc dostrzedz tańczących, i przekonać się, że siedzę w salonie, a nie na belkach jakiéj dzwonnicy, lecz z początku nic nie widziałam, a potém zaczęły się pokazywać jakieś gwiazdki, przy których świetle zdało mi się widzieć, że po sali tańczą dziwaczne jakieś istoty w kurtkach i sukienkach różnego koloru, trzymają się za łapki najpocieszniejszym sposobem, robią zabawne grymasy, i wszystko to bez muzyki, bo ten okropny grzmot dzwonów formował jeden nierozdzielny ton bez żadnego taktu!

Przyszedłszy do siebie, lękałam się, czy kto nie spostrzegł méj chwilowéj słabości; ale nie, wszyscy tam byli zbyt mocno zajęci. Zabawa rozkołysała się, jak morze w pogodny dzień u rozkosznych brzegów Grecji. Dźwięk muzyki, światło lamp, blask ubiorów, zapach kosmetyków, szmer słów, westchnień, śmiechów, jednoczyły się na utworzenie téj balowéj atmosfery, któréj tak pragną kobiéce serca! Zgubna rozkosz! Znałam jedno młode serce, które weszło na bal dziecięciem, wzrosło tam, rozwinęło się, odetchnęło kilka razy szczęściem, i potém nagle zamrożone, zamknęło się na zawsze dla świata, wprzód, nim goście zaczęli się rozjeżdżać.

Nudziła mnie ta pustota. Zawołałam znów na nieodstępnego towarzysza: O! jeśli masz litość, powiedz mi co pocieszającego.

Szatanek rzekł ironicznie: —Wszystkie twoje cierpienia pochodzą ztąd, że walczysz ze mną, i wyrywasz się z pod mojéj władzy, jak dziecko, które płacze na okrucieństwo piastunki. Wszak bezemnie możebyś wpadła z deszczu pod rynnę. Słuchaj, oto powiem ci bajkę:

Pewien człowiek wyszedł z miasta na spotkanie przyjaciela; a że noc była ciemna, wziął z sobą lampę. Ale zaledwie wyszedłszy na gościniec, zaczął się gniewać sam na siebie i rzekł: — Nieznośna rzecz wędrować z lampą! trzeba iść ostrożnie, wolnym krokiem, i często poglądać na nią, żeby się nie wylał oléj, lub żeby nie zgasła od wiatru. Takim sposobem, nieprędko spotkam swego przyjaciela. — Mówiąc to, chciał rzucić lampę i biedz w ciemności, ale mu przyszło na myśl, że bez światła może przejść mimo przyjaciela i nie poznać go, albo wziąść wroga za rękę.... szedł więc daléj z lampą i narzekał na mitręgę. A drugi człowiek wyszedł także z lampą, ale że mu przeszkadzała biedz prędko, rzucił ją, mówiąc sobie: — Wielu tu ludzi idzie po téj drodze, lecz jeśli zapytam każdego o imię, znajdę przyjaciela i bez lampy; a żeby mnie nikt nie oszukał, będę każdego jeszcze brał za rękę, i nie omylę się, bo nikt nie ma rąk tak delikatnych, jak mój przyjaciel. I uczynił tak, jak mówił; lecz stało się inaczéj, jak myślał: bo napadł na człowieka, który się nazwał imieniem przyjaciela, i ręce miał delikatne, a wcale nie był ten, którego szukał. Na domiar nieszczęścia, ręce ich się zrosły, i nie mogli się rozłączyć.

— Rozumiem cię, *signor Demonio!* rzekłam z westchnieniem. Dla tego téż ja trzymam dotąd tę lampę, chociaż mi ręce drżą od chłodu grudniowéj nocy.

— Twoja deklamacja, rzekł Demon, naprowadza mnie na myśl rozklassyfikować kobiéty. Oto naprzykład w tém towarzystwie jest może kilka kobiét, które zupełnie są zadowolone swoim losem, i kilka takich, które słusznie mogą skarżyć się na los; wszystkie zaś inne albo utyskują pocichu, że jeszcze nie doszły do ołtarza, albo żałują, że się nie można zwrócić.

— O najzimniejszy z filozofów! więc i ty nawet znasz kobiéty które los niesłusznie skrzywdził....

— Niewiele, ale znam. Są to kobiéty z sercem, coby mogło mężczyznie zbudować raj na ziemi, gdyby je tylko chciał pojąć; kobiéty które węzeł małżeństwa połączył z ludźmi, co ich albo ni-

gdy nie kochali, albo kochają dziwacznie, albo po krótkim perjodzie miłości, przestali kochać. Zresztą opowiem ci historję tych, co trzymają los ich w swojém ręku, a pojmiesz mnie lepiéj. I zaczął, jak następuje:

* * *

Ten wysoki, pleczysty i otyły mężczyzna, w którego włosach przebija się siwizna, to pan Jan Dąb. Wychowany na wsi, odebrał edukację od bakałarza i księdza plebana; w młodym wieku zaczął służyć w Trybunale, i drogą praktyczną doszedł do znaczenia i majątku. Jan Dąb zawsze był rubaszny w obejściu, uprzedzony, uparty, amator do dysputy i kieliszka, popędliwy i sknera; nic więc dziwnego, że zaloty jego były bardzo źle przyjmowane od kobiét. Dożywszy bezżennym do 45 lat, zawiedziony we wszystkich spekulacjach na posag, protekcję i związki, których pragnął więcéj jak małżonki, Jan Dąb postanowił nareszcie skończyć tę nędzotę i ożenić się bez rachuby, ale za to i bez kłopotów, to jest, wziąść pierwszą lepszą pannę, byle młodą i przystojną. U nas w Polsce tyle biednych dziewcząt, i tak mocno wkorzeniony przesąd, że szlachciance wstyd uczciwie zarobić sobie na kawałek chleba, że każdy mężczyzna kiedy tylko zechce może sobie znaleźć żonę, i chwalić się jeszcze swoją wspaniałomyślnością. Jan Dąb miał wstręt do biednych panien, i mówił często: — Te kopciuszki dobre dopóty, dopóki ich nie wyciągniesz z błota. — Ale nie zważając na to, ożenił się z Karoliną W*** sierotą, która ledwie że ukończyła wychowanie na pensji. Krewni wytłómaczyli biednéj dziewczynie, że Jan Dąb najgodniejszy człowiek i robi jéj wielki honor; że straciwszy tę świetną partję, nie znajdzie nigdy podobnéj, i może umrzeć z głodu; że miłość tak dobrze wchodzi do serca przed ślubem, jak i po ślubie i t. d. Jan Dąb w pierwszych czasach swego małżeństwa znacznie się przemienił. Słodki i cichy charakter Karoliny zmiękczył jego surowe serce. Widziano go nieraz uśmiechającym się do żony, łagodnym w obejściu, usłużnym, nawet dość czułym. Mówił wszystkim znajomym: — Powiedzcie ktoby też się spodziewał, żebym tak mocno pokochał tę szlachciankę? — I dobrzy ludzie powtarzali oklepane przysłowie, że miłość robi cuda. Ale nie była to miłość; przeszła więc wkrótce, i świat nie zobaczył cudu. Jan Dąb powoli wrócił do swego charakteru; przypomina żonie codzień, że mąż *daje chléb*, a zatém trzeba go szanować; obchodzi się z nią jak z klucznicą, i żeby nie widzieć

swego nieoświecenia, natrząsa się nad jéj wychowaniem. Skąpstwo doprowadza go do szaleństwa przy każdym wydatku. Biedna Karolina w nieobecności jego lub nocą, zajmuje się robotami, i własną pracą zaspakaja większą część swoich potrzeb. Jan Dąb wie o tém od służących; nie ceni bynajmniéj tego poświęcenia, lecz obojętnie korzysta z niego, i najszczęśliwszy wtedy, kiedy mu się uda pieniędzmi żony zaspokoić jaki wydatek. Harpago Moljera mógłby brać od niego lekcje. Pewną razą Jan Dąb pojechał z żoną na wieś do jéj wuja. Bawili kilka dni, i już wybierali się wracać, wtém Karolina zasłabła. Wuj widząc, że pan Jan ani myśli posyłać po doktora, zrobił to od siebie i na swój koszt. Potrzeba było posłać po lekarstwo, i ten wydatek wuj załatwił: bo czuły mąż, jak tylko dowiedział się o przyjeździe eskulapa, położył się spać, żeby nikt nie postukał do jego kieszeni. Nareszcie doktor zażądał madery, w któréj cierpiąca miała przyjmować krople. Poczciwy wuj już był zawołał na służącego, chcąc go posłać do miasta, bo tego wina nie miał w domu — wtém Jan Dąb skwapliwie zbliżył się do niego, wziął go za rękę, i z jakimś szczególnym wyrazem na twarzy spytał:

— Posyłasz pan po maderę? panie Wincenty!

— Rozumie się, posyłam, odpowiedziano mu.

— Ach, kiedyż tak daleko do miasta! rzekł Jan Dąb, jakby mocno zafrasowany, a moja żona coś bardzo słaba. Lękam się, żeby ta mitręga nie miała złych skutków. Przytém tu trzeba doskonałéj madery, a służącemu mogą dać fałszowane wino, od którego moja biedna Karolina dostanie zapalenia kiszek! Pomyśl tylko, panie Wincenty, czy można się spuścić na służącego?...

— Cóż robić? panie Janie! rzekł wuj, czy chcesz, żebym ja sam jechał po wino?

— Bynajmniéj! bynajmniéj! zawołał Jan Dąb, ale czy nie możesz dostać gdzie bliżéj?

— Byłoby to bardzo dobrze, rzekł wuj, lecz to rzecz niepodobna. Gdzież tu znajdziesz maderę? Żeby węgrzyn, to co innego.

— Znaleźć można, szepnął Jan Dąb, tylko będzie cokolwiek drożéj kosztowało, jak w mieście.

— Mniejsza o to, panie Janie! podchwycił wuj z radością, mów prędzéj, gdzie? bo dalibóg nie pojmuję. ..

— Ja mam w karecie butelkę doskonałéj madery, rzekł Jan Dąb w półgłosu, i jeśli chcesz, to ci ją odstąpię za tę samą cenę,

za którą kupiłem w sklepie. Wyborne wino! mój łaskawco! Ledwie zaczęta butelka.

P. Wincenty otworzył oczy i gębę z zadziwienia, kiwnął głową i kupił wino, bo mu żal było siostrzenicy. Opowiedz ludziom to zdarzenie, nikt ci zapewne nie uwierzy, a jednak ono jest *prawdziwe.*

— Nieszczęśliwa kobiéta, zawołałam, cóż ona?

— Cierpi, płacze i modli się, odpowiedział szatanek: *Ultima ratio mulierum!*

* * *

Pan Alfons przystojny, rozsądny, odebrał wyśmienitą edukacyę, i żyjąc od młodości w najlepszém towarzystwie, posiada wszystkie przymioty światowego człowieka. Charakter jego przedstawia mięszaninę wielu pierwiastków, z których najwięcéj skryte: egoizm i brak odwagi, wywierają najsilniejszy wpływ na jego życie. Alfons tchórz! lecz cała jego egzystencja skierowana jest takim sposobem, ażeby nikt nie dostrzegł w nim téj słabości. W naszym wieku, osobliwie w lepszém towarzystwie, nie wyłączając nawet żony, rachują go człowiekiem, który się gotów strzelać za najmniejsze ubliżenie. Alfons do trzydziestego roku latał, jak motyl, od jednéj kobiéty do drugiéj, był dość szczęśliwy w swoich miłostkach, i zauważał w tym czasie, że jedna z najnędzniejszych kategorij dla światowego człowieka jest narazić się na pośmiewisko towarzystwa, szczególniéj zaś przez lekkomyślność żony! Uczuł jakiś nadzwyczajny wstręt do jelenich rogów: opanowało go dziwaczne przeczucie, że takie rogi mogą się rozgałęzić i na jego głowie, i zaczął się zastanawiać nad środkami uniknienia podobnego losu. Inny sądziłby, że dla tego dość ożenić się z kobiétą, któraby go kochała, ale Alfons nie wierzył w stałą miłość i nie widział w niéj dostatecznéj rękojmi. Nie chciał téż szpiegować żony, albo być zazdrośnym, bo przez to można się narazić nie tylko na pośmiewisko świata, ale nawet wplątać się w takie okoliczności, w których mąż musi bronić reputacyi swéj żony, do czego Alfons nie czuł w sobie dość odwagi. Po długim namyśle, zatrzymał się na tém zdaniu, że *strach* jest najlepszym zakładem domowéj spokojności, i stosując tę myśl do swego położenia w świecie, postanowił szukać kobiéty *lękliwéj* z natury, ażeby się bała męża; *oświeconéj*, żeby pojmowała jego epigrammy; *czułéj*, żeby ją mocno dotykały; *rozsądnéj* i *cierpliwéj*, żeby się nikomu nie skarżyła.

Oprócz tego sądził, że *delikatne zdrowie* i *słabość nerwów* znacznie mogą podwyższyć wymienione przymioty, do których gdyby się dołączyła choć niewielka doza *przywiązania*, to ogrodziwszy się temi szańcami, ustrzeże się wszelkiego niebezpieczeństwa. Przypadek zdarzył, że znalazł osobę zupełnie odpowiadającą jego rachunkom, młodą pannę, która oślepiona jego powierzchownością i świetném, światowém ukształceniem umysłu, pokochała się w nim namiętnie. Wesele ich narobiło wiele szumu w całéj Warszawie. Młode kobiéty zazdrościły szczęśliwéj Zofji, matki życzyły sobie takich zięciów, i uprzedzenie o szczęściu téj pary utrzymuje się dotąd w towarzystwie — tak dobrze Alfons gra rolę przykładnego małżonka! tak mocno Zofja go się lęka! Biedna kobiéta! w salonie wesoła, śmieje się, chwali męża, bywa nadzwyczajnie uprzejma dla podeszłych lub skrzywdzonych od natury mężczyzn, a przeciwnie sucha i obojętna dla młodzieży, słowem, gra rolę którą jéj przepisano. Alfons przy obcych jest najuniżeńszym sługą swéj małżonki, a w domowém pożyciu układny, etykietalny i światowy; żadne nieprzyzwoite słowo nie wyjdzie z jego ust; ale jeśli Zofja zrobi najmniejszą omyłkę w roli na nią nałożonéj, karci ją natychmiast francuzkiemi przycinkami, w których oziębłość, gniew i wzgarda wyglądają z pod powłoki dowcipu i kwiatków salonowego języka. Nie masz nic okropniejszego nad układne maniery wysuszonych w świecie egoistów, którzy z uśmiechem na ustach, pięknym stylem i pieszczonym głoskiem umieją żonę zmięszać z błotem! Jest to najokropniejsze cierpienie, podobne do tego, jak gdyby komu nieustannie kołatano młotkiem po głowie, albo wbijano mu w ciało jedną szpilkę po drugiéj.

— Biedna Zofja! rzekłam z westchnieniem.

— Biedniejsza od Karoliny, dodał szatanek, bo téj Jan Dąb przynajmniéj nie zmusza grać roli szczęśliwéj małżonki.

* * *

— Powiadają, że kiedyś u jednego człowieka głowa zeskoczyła z karku, ukłoniła się jak mogła i rzekła:—Bądź wacpan zdrów, ja idę na wojaż! — od drugiego dezerterowały nogi, od trzeciego umknął brzuch i t. d. Przypadkiem cały komplet takich fragmentów zszedł się w Warszawie na Koziéj ulicy, jeden przyczepił się do drugiego, połączyli się, pozrastali się, i utworzyli zacnego Rocha Piłkę, który wybiegłszy z uliczki, okazale zaprezentował się

narodowi na Krakowskiém Przedmieściu. W jego powierzchowności nie masz żadnéj symetrji: ogromna głowa i długie ręce na krótkiéj szyi i cienkich nóżkach, kolosalny nos i długie uszy w sąsiedztwie maleńkich oczu i nizkiego czoła — cóż dziwnego? wszak to wszystko zbieranina od Sasa i od lasa! Spojrzawszy w lustro, rozgniewał się Roch Piłka na naturę, i postanowił innemi przymiotami wynagrodzić sobie to, czego mu odmówiła. Na jego szczęście jakiś francuz dawał wtedy w Warszawie lekcje salonowéj maniery, i Roch Piłka w krótkim czasie wydoskonalił się w téj sztuce. Wszyscy się dziwili jego układności, grzeczności, słodyczy i uprzejmości w obejściu; wszyscy go lubili i tytułowali *dobrym człowiekiem*, a szczególnie płeć piękna, u któréj zarobił na wielką łaskę. Ale też niemało go to kosztowało! Figaro był mniéj zwinny jak Roch Piłka — biegał, kręcił się, podawał, przyjmował, podnosił, stawiał, brał na się obowiązki lokaja, kurjera, faktora, wypełniał wszystkie poruczenia, domyślał się nawet dość trafnie i przeplatał wszystkie swoje usługi niewyczerpanym zapasem komplementów. Protegowany od kobiét, Roch Piłka zyskał urząd i znaczenie w społeczności, zakochał się w Teofili L***, i różnemi podstępami dopiął nareszcie tego, że mu oddała rękę. Teraz Roch Piłka kocha swoję żonę nadzwyczajnie, siedzi przy niéj po kilka godzin z rzędu, patrzy jéj w oczy i milczy, bo Teofilę oddawna już znudziły jago dusery. W towarzystwie wychwala z zapałem jéj cnoty, talenta i piękność; ubolewa nad słabém zdrowiem, i opisuje w najmniejszych szczegółach codzienne jéj dolegliwości, pokazuje listy, które kiedyś do niego pisała; pyta drugie kobiéty w jéj obecności, wiele mają lat? i cieszy się, że jego żona młodsza lub młodszą się być wydaje; wylicza jéj klejnoty, garderobę i bieliznę; tańczy z nią od początku balu do końca; krzyczy z końca sali, żeby nie brała lodów, biegnie do niéj, odpędza lokaja z tacą, i robi jéj głośno najczulsze wyrzuty, przypominając słowa doktora, od których biedna Teofila gotowaby zakopać się w ziemię ze wstydu...

— Jednakże ona jest pewna, że ją mąż kocha! — rzekłam z westchnieniem — chociaż prawda, że ją kocha po *swojemu*.

— Nie może o tém wątpić — złośliwie odpowiedział szatanek, bo zbytek téj miłości do tego stopnia już ją znudził, że nieboraczka wpadła w suchoty.

* * *

— Ale oto jest człowiek, mówił daléj mój demon, co posiada wszystko, czego tylko może łaknąć serce kobiéty, nie ma w swéj duszy ani źdźbła fałszu, brzydzi się rachubą, patrzy na miłość, jak na doczesne niebo, i umie niewypowiedzianą rozkoszą napełnić każde łono, które się z nim spokrewnia, a jednak czy uwierzysz? ten milionowy bogacz we względzie uczuć jest złym mężem, i żonie swojéj za nieograniczoną miłość, ledwie kiedy niekiedy ciśnie grosz miedziany, jak jałmużnę! — Widzisz tego mężczyznę ze smętném okiem, z bladą twarzą i wysokiém czołem, które myśl zorała przedwcześnie? oto mąż Pauliny, poeta nasz Adolf G***.

— *Signor Demonio!* zawołałam oburzona, to kłamstwo! obmowa! podły paskwil! to być nie może! żona poety, nieszczęśliwa? to prosto niedorzeczność.

— Tak, rzekł szatanek obojętnie, istotnie jest to niedorzeczność w zdaniu młodych kobiét. Póki świat stoi, żadna jeszcze nie uwierzyła, żeby to mogło być prawdą, dla tego, kiedy się budzi w jéj sercu pierwszy sen o miłości, jest także poetą. Ona szuka wieszcza, jak dawno znajomego przyjaciela, ażeby pomieniać się z nim dumami o szczęściu; poi się jego słowy, jak mucha słodką trucizną; rzuca się w ognistą atmosferę, która go otacza, i ginie w niéj, jak wieczorne owady w płomieniu świecy. Rozwaga dla niéj niedostępna; przykłady drugich zdają się jéj wyłącznemi wypadkami; jego tylko widzi, dla niego tylko widzi, dla niego tylko żyje; szczęśliwa kochanka nie myśli o tém, że może być godną litości żoną; i kiedy nareszcie spotka ją ten los, staje biedna na drodze życia, i płacze, jak Ewa pod bramą nieba!

— Więc i Paulina nieszczęśliwa?...

— Co chcesz? nie mogło być inaczéj! Adolf widział w niéj kiedyś nie kobiétę, lecz jedną z czarownych istot swego poetycznego świata; sądził, że znalazł nareszcie ideał, którego szukał z tęsknotą, którego oczekiwał z pewnością, i na którego przyjęcie skupiła się taka massa namiętnych uczuć w jego łonie! Przez całą epokę ich miłostek nic go nie mogło wyprowadzić z omamienia, bo jego kochanka z ostatecznem naprężeniem sił młodego serca towarzyszyła mu wiernie we wszystkich wzlotach jego genjuszu, póki nareszcie zmęczona, przesycona rozkoszą, nie stanęła przy ołtarzu, spodziewając się znaleźć odpoczynek w domowém małżeńskiém życiu, ale omyliła się — poeta zwyczajnym trybem chciał bujać między niebem i ziemią, a dla niéj było to już trudno. Zdobyła się jeszcze na kilka słabych wzlotów, i upadła bez mocy na ziemię.

Została jéj tylko *dobra wola*, lecz tego mało dla poety, i skończyło się jéj szczęście. Adolf spostrzegł z bolesném zadziwieniem że towarzyszka jego jest nic więcéj, jak kobiétą; *człowiek-serce* z westchnieniem wrócił do świata marzeń; on zawsze młody, miły, buja po całéj Warszawie i szuka swego ideału; *człowiek-futerał* został przy niéj, starzeje się, zrzędzi, nic zajmuje się niczém, marnotrawi majątek i mówi o swojéj żonie: *Niczego sobie kobiéta!* Ile jest miły i uprzejmy w obejściu z innemi kobiétami, tyle suchy i porywczy z żoną. Nie dawno siedział sobie w gabinecie i ołówkiem rysował dziwolągi na kopercie od listu; Paulina zcicha otworzyła drzwi, weszła na palcach i zapytała: czy mocno zajęty?

— Cóż tam takiego? moja imość! zawołał niecierpliwie.

— Chłopi przyjechali ze zbożem, ekonom pyta się, po jakiéj cenie je sprzedać?

— Bodaj przepadł, fuknął Adolf, to zboże, to kartofle, to konie, to stroje! Zawsze się znajdzie jakaś ważna sprawa, którą mi gwałtem wpychacie do głowy! Róbcie sobie jak chcecie i co chcecie, kupujcie i sprzedawajcie, tylko dajcie mi pokój!..

Biedna Paulina odeszła z westchnieniem i ze łzą w oku. Nierząd ciągle powiększa się w domu, długi rosną, i ludzie ci chociaż bogaci, często grosza nie mają w kieszeni. Matka płacze nad dziećmi więcéj jeszcze niż żona nad sobą. Słowem, Paulina mieszka z *trupem*, w którym nie zostało żadnych śladów dawnego życia.... ona wdowa!

CZWARTA KONSULTACJA.

Filozofja.

> Das Kommt mir albern und abgeschmackt vor, was damals so reich, so gross die Brust mir schwellte.
>
> Peter Schlemihl.

— *Signor Demonio!* rzekłam, ja tych rzeczy zupełnie nie rozumiem; ale ty co jesteś tak biegły na eksperimenta, powiedz mi, czy nie możnaby zajrzeć w serce, które się do nas zbliża, obejrzeć go dobrze, zmierzyć lub zważyć wiele w niém znajduje się uczu-

cia, i wyrachować na jak długi czas ono mu wystarczy na wydatki dla żony?

— Nie powiem, żeby to było niepodobna, odpowiedział ironicznie szatanek, prawda, że ślepemu trudno mierzyć, głuchemu trudno podsłuchać pulsacje, pijanemu trudno je rachować, jednakże *wola* może przezwyciężyć wszystkie przeszkody; ale pytam się, jaki ztąd użytek? Takim sposobem poznałabyś tylko obecny stan serca, z którego nie więcéj można sądzić o przyszłym jego trybie, jak z obecnego zdrowia o liczbie lat zostających człowiekowi do przeżycia. Jeden i drugi rachunek może się ziścić, ale może téż i omylić; jedno i drugie odkrycie zgubne dla człowieka, bo wiedzieć godzinę swéj śmierci znaczy to samo, co strué sobie ostatek życia; wiedzieć, ile jest uczucia tam, gdziebyśmy żądali niezmierzonéj ilości, ruguje szczęście z naszego łona. Nie bez celu mgła tajemnicy otacza życie i miłość. Dzięki téj mgle! suchotnik w wigilję swéj śmierci układa sobie jeszcze czarowne plany na przyszłość, a serce zdradzone błogosławi zdrajcę!

— *Maladetto!* daj mi pokój z twoją filozofją! Czuję jakąś niezwyciężoną odrazę od wszystkich twoich rozumowań, jakkolwiek je podsładzasz udaną litością; jak tylko zaczniesz spekulować, robi mi się tak zimno, jak gdybyś włożył na mnie koszulę z lodu.

— A więc posłuchaj znów historji, rzekł obojętnie Szatanek i zaczął opowiadać co następuje:

Telimena, którą znasz dobrze, wyszła z woli staréj ciotki zamąż za człowieka, do którego nie czuła najmniejszego przywiązania. Domowe życie ich było bardzo niezgodne: jegomość był dziwak i straszny egoista, jejmość młoda i sentymentalna. Prosta rzecz, że takiéj parze trudno płynąć razem, nie robiąc wiele plusku. Wszystko to jednak wkrótce ucichło, bo jegomość niespodzianie utonął na Powązkach. Wystawiono mu wspaniały grobowiec, i co daleko dziwniéj, zaczęto go więcéj kochać, niż wtedy, kiedy był żywy. Ukończywszy żałobę, Telimena powoli weszła znów w świat, ale otoczyła się taką gęstwiną cyprysów, że młodzież żadnym sposobem nie mogła się do niéj zbliżyć. Z liczby jéj wielbicieli, młody Leon F***, aczkolwiek mniéj od drugich dystyngowany, najgwałtowniejszą pałał dla niéj miłością, i nie mogąc dłużéj przenieść tych cierpień, postanowił nakoniec rozstrzygnąć zagadkę swego losu. Pojechał więc pewnego dnia do Telimeny i wybąkał coś, co miało minę formalnego oświadczenia; ale widać, że dzień był feralny, bo Telimena z całą biegłością światowéj kobiéty wyśmia-

ła, wyszydziła jego szał, obeszła się z nim jak królowa, sucho i obojętnie, jak z zakochanym studentem, słowem, jawnie chciała go od siebie odstręczyć. Inny możeby machnął ręką, i wychodząc, nasadził waterproof aż na nos, ale Leonowi nie stało na to odwagi; przeciwnie, nieborak żegnając ją z rozpaczą, spytał jeszcze u drzwi, czém może zagładzić postępek, który jéj się tyle nie podobał?

— Tém, odpowiedziała Telimena, jeśli pan przynajmniéj pół roku będziesz unikał wszelkiego spotkania ze mną.

— A po tym czasie?

— Chętnie go zobaczę, rzekła Telimena, i odwróciła się z pośpiechem w drugą stronę. Leon pobiegł szczęśliwy, jak gdyby mu kto wsunął do kieszeni słońce i wszystkie jego pachołęta.

Telimena odwróciła się w drugą stronę nie bez przyczyny, bo na widok rozpaczy Leona, poczuła nagle jak łzy czwałem biegły z jéj serca do oczu, śpieszyły tuż za myślą, i za jakie pół sekundy zawisłyby już na powiekach. Telimena kochała Leona, kochała go skrycie, namiętnie, bez granic; widziała w téj miłości nadzieję jedynego szczęścia w życiu, i dla tego chciała jéj doświadczyć. Są charaktery, które znalazłszy na drodze szczęście, całują je z jednéj strony, a z drugiéj strony wydłubują jameczkę, i wpuszczają robaka, żeby je toczył. Jeśli im nic nie zostaje, oprócz zdrowia, to biorą patologję, i dopóty ją czytają, dopóki nie odkryją w sobie jaki tuzinek chorób. Do rzędu tych osób należała Telimena.

Po sześciu miesiącach Leon stawił się punktualnie, wychudły, z bladą twarzą, którą chwilowa radość pomalowała chorowitym rumieńcem. Telimena miała oddawna przeczucie téj wizyty, jednakże na widok żywego dowodu stałości swego kochanka, tyle rozkosznych uczuć wionęło w jéj duszę, że, ażeby skryć wzruszenie, biédna kobiéta rzuciła się nagle do niepomiarkowanéj ironji. Nie władnąc sobą, nie hamując humorystycznéj szczebiotliwości, zarzuciła Leona sarkazmami o pasterskiéj jego miłości; utrzymywała żartobliwie, że on z niéj szydzi, że nie masz nic zabawniejszego w naszym racjonalnym wieku, jak wybiegły platoniczny szał; wreszcie, że to wszystko komedja, w któréj ona nie życzy sobie przyjmować roli, i wybacza mu ją jedynie pod warunkiem, że znów przynajmniéj 3 miesiące zostawi ją w pokoju. Leon przeniósł wszystko cierpliwie, i wyszedł uszczęśliwiony tém, że termin był krótszy, niż pierwszą razą. Telimena padła bez sił na kanapę i płakała jak dziecko z radości i żalu nad cierpieniem tego, którego kochała bez miary. Nareszcie skończył się czas wygnania, Leon stawił się punk-

tualnie, i tą razą nie tylko go lepiéj przyjęto, ale nadto nie naznaczono mu żadnych warunków na przyszłość. Widywał Telimenę w towarzystwach i niekiedy w jéj domu; ale ulubiona jego trzymała go przy obcych w takiéj odległości od siebie, a w samotnéj rozmowie pokazywała tyle lekkomyślności, sceptycyzmu, kaprysów i uporu, że trzeba mu było mieć olbrzymią miłość w sercu, żeby to wszystko wytrzymać. Leon przeniósł te nowe egipskie plagi, i nareszcie Telimena, lękając się skutków zbyt przedłużonéj próby, porzuciła udany swój charakter, i oddawszy rękę swemu ulubionemu, zrobiła go najszczęśliwszym z ludzi.

— Przecie choć raz dobrze się kończy twoja powieść, *Signor Demonio!* Żal mi było Telimeny, że tak mizernie truła sobie najsłodsze chwile w życiu; ale za to téż jak ona musi być teraz szczęśliwa!...

— Bez wątpienia! bez wątpienia! złośliwie odrzekł szatanek. Nigdy jeszcze nie udało się kobiécemu rozumowi tak dobrze zajrzeć w mgłę przyszłości. Telimena ma sobie męża, który dogadza jéj we wszystkiém, spełnia i uprzedza jéj życzenia, nigdy się z nią nie sprzecza, zajmuje się gospodarstwem, zakupuje najlepsze trufle w całéj Warszawie, wydaje sam rozkazy kucharzowi i przy obiedzie bywa w złotym humorze; a jeśli po dobrym bankiecie kawa i aromatyczny dymek cygara doprowadzą go do brylantowego humoru, to nie masz nad niego milszego człowieka. Wtedy zwyczajnie najlepiéj przypomina sobie dawne miłostki z żoną, i tak dowcipnie umie parodjować różne z nich ustępy, że wszyscy pękają ze śmiechu. Kalambury, komiczne obrazy, koncepta, teatralne pozytury, różne grymasy, wszystko to znajdzie się u niego. Goście trzymają się za boki, tylko Telimena się nie śmieje. Jeśli to zauważa Leon, to biegnie do niéj, i pogładziwszy ją po twarzy, mówi: — Żonko! żonko! wszak te głupstwa już się dawno skończyły, dla czego nam się nie pośmiać nad szałem, który kiedyś wykręcał nam głowy na bakier?

— Biedna Telimena! zawołałam, im więcéj on wesoły, tém więcéj ją serce boli.

— Zarozumiała kobiéta! fuknął szatanek, uroiła sobie najoklepańszym fortelem odchylić zasłonę przyszłości. Śmieszna kobiéta! doświadczywszy, że kochanek cierpliwy, wniosła ztąd, że mąż będzie czuły. Prawdziwie kobiéce rozumowanie, podług którego wypadałoby sądzić, że wielbląd jest najczulsza istota w świecie.

— Widać, że Leon nie kochał jéj i w czasie próby?

— Nie rozstrzygam tego. Ale czegóż tak ubolewasz nad Telimeną? Tysiące kobiét na jéj miejscu byłyby zupełnie zadowolnione swoim losem, i nie pojmują nawet, czegoby można więcéj żądać od takiego męża, jak Leon?

— Bo nie pojmują miłości.

— A kto z nas potrafi powiedzieć, co to jest miłość? Tetragram kabalistów łatwiéj się da wytłómaczyć. Każdy człowiek ma o niéj inne pojęcie, każdy kocha po swojemu, każdemu się zdaje, że on tylko jeden umie kochać, a cudze miłostki uważa za śmieszne i płaskie, jeśli jeszcze nie gorzéj. Z wiekiem i okolicznościami każdy zmienia swoje pojęcia; słowem, miłość jest tajemnicze cacko zmiennéj postaci, za którém każdy się upędza, chwyta je z zapałem, bawi się czas jakiś, a potém zaczyna je rozpatrywać, naciągać, naginać, przerabiać, poprawiać.... Jedni nic nie mogą przemienić i narzekają; drudzy, wziąwszy się nieostrożnie lub zbyt porywczo za robotę, łamią cacko i rzucają je obojętnie w błoto; inni nareszcie uporczywie majstrują całe życie, nadając cacku coraz inne figury, i nie wiedzą sami co z niego zrobić.

PIĄTA KONSULTACJA.

Perspektywa na przyszłość.

Das Weib ist meist nur selig oder verdammt.
JEAN PAUL.

— Młodość, piękność i nadzieja miłości, bystro ulatują od ciebie, mówił mi nieodstępny mój towarzysz, zamknij serce, nikt już do niego nie postuka!

— Co? zawołałam w rozpaczy, zamknąć serce! dziś, kiedy wiek i egoizm jeszcze go nie skurczyły, przytłumić święty płomień w łonie i ziębnąć resztę dni w pustyni świata! zejść z kolei przez naturę nakreślonéj dla naszéj płci i zostać samotną wpośrodku żon i matek! nie, *maladetto!* nigdy! Lata mogą oszpecić powierzchowność, lecz najlepsze części mojéj istoty: serce i umysł, zostaną mi nazawsze.

— Głośny puff, rzekł z zimną ironją szatanek, nic więcéj jak teorja! Nie będę ci opisywał losu starych lub szpetnych panien, ale

opowiem ci historyczną *antitezę*, z której możesz sobie wydestylować dosyć prawdy dla swego własnego użytku.

* * *

— Był kiedyś człowiek z sercem pełném szlachetnych uczuć, z duszą wielką i umysłem niepospolicie oświeconym; posiadał wszystkie *moralne* przymioty, jakich tylko może żądać filozof od człowieka, społeczność od obywatela, i kobiéta od kochanka; ale nieborak spadł w młodości ze wschodów, i wyrosły mu dwa garby, jeden z tyłu a drugi z przodu. Ta nieforemność powierzchowności miała największy wpływ na całe jego życie. W szkołach urągali się żaki nad jego ułomnością; w towarzystwie był przedmiotem suchéj litości, równającéj się wzgardzie; na ulicach pokazywano na niego palcem; w służbie naczelnicy robili z jego garbów najdziwaczniejsze wnioski i odmawiali mu nagrody zasłużonéj zdolnościami i pracą. Wszyscy nazywali go skąpym, lichwiarzem, złośliwym, dla tego, że jakieś płaskie przysłowie przypisuje ułomnym ludziom te wady. Całe życie jego było nieprzerwanym wątkiem upokorzeń, zgryzot i cierpień. Kobiéty unikały go, jak trędowatego; jeśli któréj powiedział grzeczność, jeśli tylko usiadł przy niéj, płonęła ze wstydu, odpowiadała lakonicznie, gniewnie, i oziębłością dawała mu poznać, że jego attencje mogą ją wystawić na śmiech towarzystwa. Nieszczęśliwy, w rozpaczy udał się do staréj panny, jeszcze więcéj garbatéj niż on, lecz i ta odprawiła go z przekąsem. Przeżył cały wiek swój samotnie, a niecierpliwi na spadek krewni, mówili otwarcie, że taki biedny kaleka powinien prosić Boga, żeby go prędzéj wziął ze świata.

— O, wierz mi, powierzchowność, ten stępel zbyt często fałszywéj monety, daje jéj jednak zwyczajnie wartość w towarzystwie, osobliwie zaś kobiécie. Stary, niebłyszczący stępel przemienia monetę w antyk; ludzie zapominają jaką dawniéj miała cenę, nie dowiadują się wiele warta, i kiedy ją zobaczą, powiadają obojętnie, że ta moneta nie ma już kursu.

— Nie wierzę, zawołałam, twoja historja o garbatym jest paszkwil na towarzystwo. Zresztą, jeśli z wiekiem będę przymuszona wyrzec się miłości, to przy tém wychowaniu, które mi dano, przy zdolnościach, jakie odebrałam od natury, zostanie mi jeszcze literatura i sława, niebieskie siostrzyce, które płomieniem zapału ogrzeją mi osierociałe łono!...

— Literatura i sława! z przyciskiem podchwycił szatanek, literatura i sława nie ukołysały zbolałego serca Tassa, ani Bajrona, pierwszych pisarzy swojego wieku, a ty, nędzne niemowlę, pełznąc po téj drodze, spodziewasz się dogonić marę, za którą oni upędzali się napróżno!... Tylko na szczycie Parnasu widać róże i laury, a boki świętéj góry okryły ciernie, przez które przedzierając się, nakoniec stracisz ostatnie siły, i zraniona, samotna, padniesz w rozpaczy na zimną skałę! Nie dla waszéj płci ten zawód, chociaż tyle niewiast dziś go wybiera; i miał słuszność ten, kto powiedział, „że najpiękniejsze dzieło kobiéty jest syn wykarmiony jéj piersią na usługi kraju.“ W naszym czasie pisma kobiét sprawują na publiczności wrażenie tegoż samego rodzaju, jak sztuki kuglarzy: z początku wszyscy im się dziwią i klaszczą w dłonie, potém szukają w nich podstępu i szarlataństwa. Pierwsze twoje pisemko pochwalą może więcéj, jak tego będzie warte, następne zaś, choćby były więcéj wypracowane, oburzą tylko wszystkich przeciw zuchwałéj białogłowie, która się puściła na autorstwo. Jedni krzykną, że to kompilacja i kradzież, że charaktery przesadzone, myśli słabe, styl niepoprawny, słowem, że to kobiéca gadanina; drudzy, więcéj sprawiedliwi dla dzieła, niż dla autorki, powiedzą, że w pismie zawiele filozofji i zdrowych myśli na słabą kobiécą głowę, i zadecydują, że je napisał pod twojém imieniem mąż, brat, kuzyn, przyjaciel, albo w ogólności jakiś pseudonim z brodą. Wszakże nawet niewielką filozofkę, panią *Deshoulières*, posądzano kiedyś we Francji, że ukradła swoje *baranki* [1]) u pana *Coutel*, płaskiego rymokleta, którego imie z tego tylko powodu doszło do nas. Znajdą się wreszcie i tacy, co spotkawszy w twoich pismach opisy wad i zdrożności ludzkich, wyrzekną, nie znając cię wcale, że masz charakter złośliwy, satyryczny i pełen żółci. Mężczyzna może wydawać nie tylko satyry, jak Krasicki, ale nawet epigrammy z podpisem do kogo się stosują, i nikt go nie potępi; mężczyzni zawalają księgarnie fraszkami, i nikt na to nie zwraca uwagi; kobiéta wyjęta z téj tolerancji, każde pismo przez nią wydane staje się powodem wniosków o jéj sercu i umyśle.

---

1) Jedna z najlepszych sielanek Pani *Deshoulières*, pod tytułem: *Les Moutons*, w *Biographie universelle*, w artykule: *Deshoulières, Villenave* mówi: „Il est peut de femmes qui aient échappé au soupçon d'avoir eû peu de part aux

Lubię bywać w Bielanach i przesiaduję tam niekiedy większą część dnia. Patrzę na Wisłę, chodzę po lesie, zbieram dzikie kwiatki, i słucham szumu drzew, który z dziecięcych lat miał dla mnie zawsze niepojęty wdzięk. Serce moje bije swobodniéj, układa się do harmonicznéj nóty z głosem natury, i wtedy chciałabym nazawsze zostać w tym stanie cichego, samotnego szczęścia!

A kiedy mnie Warszawa zbyt mocno znudzi, albo oburzy, albo napełni boleścią, wyjeżdżam często za rogatki do *miasta umarłych*, błądzę po Powązkach, i dość mi, że wieczór pogodny, oświecony księżycem, że wietrzyk szeleści w topolach nad grobami. Serce moje uspokaja się powoli; smętne, słodkie dumy o lepszém życiu rozwijają się w méj duszy, jak nocne kwiatki na cmętarzu; łzy mimowolnie sączą mi się z oczu; klękam na pierwszéj lepszéj kobiécéj mogile, i modlę się za duszę nieznajoméj; modlę się, bo ślad kobiéty na ziemi zaciera się prędzéj, niż droga łódki na wodzie, bo oprócz mnie, może nikt już po niéj nie mówi paciorka!...

---

ouvrages qui portent leur nom!“ — Nie zważając na to, kobiéty piszą — o zaślepienie! Sic vos non nobis....!

DUSZA W SUCHOTACH.

WYCIĄG Z PAPIERÓW DOKTORA.

DUSZA W SUCHOTACH.

A toć mówię ku pożytkowi waszemu, nie abym na was sidło wrzucił.
Ś. Paweł. *List do Korynt. R. 7.*

Stali się podobni pelikanowi na puszczy i stali się jako kruki nocne w pustkach. *Psalm 101.*

Skruszenie i nieszczęście na drogach ich. A drogi pokoju nie poznali.
Psalm 13.

Gdzież mądry? gdzie Doktor? gdzie badacz świata tego? Izali nie głupią uczynił Bóg *mądrość* świata tego.
Ś. Paweł. *do Korynt. L. I. R. 1.*

Miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wycierpi.
List I. do Korynt. R. 13.

Do mojego Leonka.

Zacny doktor, z którego dziennika zrobiłam dla ciebie ten wyjątek, miał zwyczaj, krom ciała, obserwować i moralne usposobienie swoich pacjentów. Ciało nadwerężone chorobą badał z powołania, symptomata duszne śledził nie mogąc się oprzeć wrodzonéj do tego skłonności swego charakteru. Ztąd dziennik jego napełniał się uwagami interesującemi nie tylko medyków, ale każdego, kto nie patrzy na towarzystwo obojętném okiem. Wierz mi, mój miły Leonku, że charakter bohatera téj powiastki, przy całéj swojéj ekscentryczności, jest rzeczywisty. Nie ma w nim wcale tego marzycielstwa, co dziś tak często wylepia ludzi z idealnych pierwia-

stków. Mam to przekonanie nie tylko z wiary w sumienność zacnego doktora, ale jeszcze więcéj z własnego życia i doświadczenia. Na nieszczęście, widziałam kilka egzemplarzy charakteru, który się tu opisuje; egzemplarzy wprawdzie z wielą wydartemi kartkami, z innym początkiem, środkiem, końcem, albo w innéj okładce, ale składających zawsze to samo dzieło. Mówię: na nieszczęście, dla tego, że te charaktery obudzały we mnie zawsze głęboki żal nad smutnym ich losem na ziemi. Bohater téj powiastki nie jest niedowiarkiem, w tém znaczeniu, jak to słowo pojmowały zepsute umysły końca XVIII wieku, o nie! dzięki Bogu, w naszym czasie każdy rozsądny człowiek pojmuje całą niedorzeczność i nikczemność niedowiarstwa religijnego; dziś każda myśląca głowa wierzy i umie cenić dobroczynny wpływ religji na społeczność ludzką. Ale żeby być chrześcijaninem, nie dość jednéj wiary; trzeba jeszcze miłości i uczynków. Pamiętaj, moja dziecino, że jedno przekonanie rozumowe jest tylko filozofją, ale nie religją; trzeba żeby gorąca miłość Boża ogrzała to przekonanie świętym swoim płomieniem. — „Kto nie miłuje, mówi Jan Św. apostoł, nie zna Boga, gdyż Bóg jest miłością, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka a Bóg w nim.“ Na tym to niebieskim ogniu, na tém religijném czuciu w sercu, zbywało bohaterowi téj powiastki, i zbywa wielu w dzisiejszém towarzystwie. Niektórzy, przylgnąwszy do świata, nie postrzegają swéj oziębłości religijnéj, i cierpią, nie znając źródła boleści; drudzy, więcéj pojmując siebie samych, znają początek złego, dręczą się nieustanném cierpieniem, skrywają je przed okiem świata, ale tak są opieszali, że zamiast nałożyć wędzidło na swe życie, wyglądają w bezsilnéj nieczynności szczególnéj dla siebie łaski Boga, niepomni na to, że podług słów Zbawiciela: „trzeba pukać, ażeby nam otworzono.“

„Trzy są rzeczy, mówi Paweł Ś. apostoł, wiara, nadzieja, miłość, *lecz z nich większa miłość.* Ona jak rosa niebieska, ożywiała pierwszych chrześcjan i ochoczo ich wiodła przez najsroższe katusze do palmy męczeństwa; ona jedna daje pokój w ciężkiéj i ciernistéj pielgrzymce żywota; ona jest zasadą wszystkiego, bo podług słów Pawła Ś:

„Gdybym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłościbym nie miał, stałbym się jako miedź brząkająca, albo cymbał brzmiący. I chociażbym miał proroctwo, i widziałbym wszystkie tajemnice i wszystkie nauki, i miałbym wszystką wiarę, tak, iżbym góry przenosił, a miłościbym nie miał, niczém nie jest. I choćbym

wszystkie majętności moje rozdał na żywność ubogich, i choćbym wydał ciało moje, tak, iżbym był spalon, a miłościbym nie miał, nic nie pomoże.

Pamiętaj, mój Leonku, że kto nie miłuje Boga, nie ma nic stałego w ziemskich swoich uczuciach, nie znajdzie ani *pokoju*, któregoby sobie nie *zatruł*, ani żadnego *szczęścia*, coby wkrótce nie *zwiędło*, ani *myśli* wysokiéj, coby nie *spospoliciała* w moralnym chłodzie jego istoty, i *tém więcéj będzie cierpiał, im silniejsze są władze jego rozumu*. Zresztą rozwinąć ten przedmiot jest celem niniejszéj powiastki. Nie zapominaj, że ten jedynie cel mam na widoku; inaczéj mógłbyś przewrotnie pojąć tę powiastkę. A teraz wejdźmy do cichego gabinetu naszego doktora. Otóż on bierze pióro i pisze wrażenia ostatniego dnia — czytaj:

I.

Znużony całodzienną jazdą, siedziałem wieczorem przy kominku, wpatrując się w fantastyczne kształty, które przybierał płomień palących się drewek, i machinalnie zgrzebując rozpierzchłe węgle do ogniska. Na dworze świszczał wiatr jesienny i turkotały powozy jadące do teatru; w pokoju cisza, jak przy łóżku śpiącego chorego; cisza solenna; ani głosu żony, ani szczebiotania dzieci, ani nawet psa, coby przerwał milczenie; kiedy niekiedy słychać było tylko trzask głowni i głuchy szum od ciągu powietrza w kominie. Byłem smutny; w tym dniu umarło mi dziecko, które leczyłem, i młoda panienka, któréj zostawało dwa dni do ślubu; dzieciątko od szkarlatyny, panienka od lodów po gwałtownym tańcu; słowem, dwoje dzieci.

Dziwna rzecz! myślałem sobie, dla czego podobne wypadki do dziś dnia zawsze mnie mocno dotykają, psują mi humor i budzą jakby rodzaj zgryzoty w sercu? Wszak nie moja w tém wola, lecz Boska. Któż potrafi zatrzymać duszę na ziemi, jeśli ją Bóg powołał do siebie? Czegóż się więc smucę jak chłopię, które latało za wróblem i nie mogło go złapać?

Potém zacząłem sobie przypominać, wielu to ja z moich pacjentów wyprowadziłem z ciężkich chorób, wiele niedołężności cielesnych udało mi się sprostować, wiele razy oświadczono mi wdzię-

czność ustnie i w gazetach, nareszcie i sławę doskonałego medyka, którą oddawna miałem w Warszawie, i wszystko to nie pocieszyło mnie, byłem smutny.

Umysł mój mimowolnie rzucił się w drugą stronę, szukając uspokojenia. Po 14 latach doktorskiéj praktyki, pomyślałem sobie, cokolwiek śmiesznie rozczulać się. Wszakże codzień widzę sceny cierpień i boleści, i nie trują mi pokoju duszy; dla czegóżby ostatnia scena, kończąca burzliwy dramat życia nadzieją cichéj wieczności, miała mnie więcéj dotykać niż inne?... Serce i ten argument puściło płazem, i jeszcze silniéj ogrzało wspomnienie tych dwojga dzieci, których trupy dawno już ostygły....

— Cóż to jest? rzekłem nakoniec. — Doktorze! nie bądź dzieckiem. W ciągu 15-letniéj praktyki czyliż nie widziałeś, jak prędko się zaciera na ziemi ślad człowieka? Kto tak, jak ty, widział matki w kilka tygodni po stracie ulubionego dziecięcia uśmiechające się i tańczące na balu; kochanków po najgwałtowniejszéj rozpaczy spokojnie budujących rusztowania nowéj miłości; wdowców i wdowy zawierających powtórne związki wprzód, nim ziemia świeżéj mogiły porośnie trawą.... o! ten powinien leczyć ludzi tak obojętnie, jak zegarmistrz naprawia zepsute zegary. Smutna to jest prawda, ale zawsze prawda, bo każdy żak to widział na swojéj pamięci.

Serce mimowolnie zamilkło; uspkoiłem się nieco, ale zły humor mnie nie opuszczał; mizantropiczne myśli zaczęły się wichrzyć w méj głowie; uczułem w sobie jakiś niewstrzymany popęd do tworzenia szyderczych syllogizmów o życiu ludzkiém, i odjechawszy z krzesłem cokolwiek daléj od ognia, wysnułem w umyśle następujący wątek rozumowania:

Człowiek jest nędzna istota, istota nędzniejsza od zająca, od dudka, od kreta, od komara, od każdego stworzenia: bo każde stworzenie, doszedłszy do dojrzałości, już się wstecz nie cofa, a człowiek tylko rośnie, grubieje, krzepnie, ale nigdy nie dojrzewa; on całe życie dziecko, i do tego głupie, lekkomyślne, zarozumiałe dziecko; lęka się straszliwie śmierci, a codzień dobrowolnie nadweręża machinkę swego ciała; zdrów, szydzi z doktora; zasłabnie, płaszczy się przed nim, jak przed bożkiem; nieszczęśliwy, płacze; w szczęściu nudzi się. Gdzież tu rozum? pawiedzcie mi, na miłość Boga!

Te usterki w działalności duszy, są to choroby moralne. I jakżeby dusza nie miała być podległą chorobom, kiedy w niéj, w całym ciągu życia, pasują się z sobą dwa jakieś nieprzyjazne pier-

wiastki? Zresztą, alboż to nie są *choroby* te nienaturalne, lub zgubne stany umysłu, serca i całéj duszy, które na każdym kroku spotykamy w towarzystwie? Wszakci człowiek zarażony niemi, zawsze cierpi, a zatém jest chory. Czyliż sprawiedliwie nie należy nazwać chorobami i niedołężnościami umysłu: roztargnienie, lekkomyślność, junactwo, poeto-manję, pedantyzm, dziwactwo, excentryczność, spleen, warjację, głupotę i t. d.? alboż smętność, miłość niedorzeczna, śmieszna, szalona lub brudna, kokieterja, zazdrość, oziębłość, zatwardziałość i t. d. nie są choroby serca? Nakoniec wszakci pantoflowstwo, tchórzowstwo, skąpstwo, egoizm, podłość, rozpacz, zemsta, bezbożność i t. d. paraliżują mniéj więcéj całą duszę i rozwijają w niéj cierpienia moralne. Takim sposobem powstaje nowa zupełnie patologja psychologiczna, i gdyby ona z czasem stała się popularną, dosyć byłoby powiedzieć: ten człowiek ma febrę, gorączkę, astmę lub suchoty w duszy, ażeby dać wyobrażenie o jego moralnym stanie.

Kiedy są choroby, muszą być i lekarstwa: bo Bóg zostawił nam pomoc i pociechę dla każdéj boleści. Każdy z nas ma sumienie, może nabyć rozumu, i z niemowlęctwa staje się chrześcijaninem. Czyliż tego nie dosyć? O! toby nam zapewniło czerstwość moralną i zbawienie, gdybyśmy tylko umieli trzymać w karbach powinności naszę miłość własną. Sama przez się nie jest ona zgubną, i będąc zamkniętą w przyzwoitych granicach, może się nawet stać dzielnym bodźcem do pracy, wynalazków, sławy, częstokroć do cnoty, może być dla ducha tém, czém krew jest dla ciała lub ogień dla materji. Wszakże kiedy się rozigra, kiedy zrzuciwszy hamulec, wyrwie się na wolę, stokroć trudniéj ją pohamować, niżeli pożar albo gorączkę. Dziś, o! jak wzburzone, jak palące potoki samolubstwa nękają nasze dusze!... w tym gorączkowym stanie bijemy i tłuczemy się na twardéj drodze żywota, jakby w konwulsjach choroby ś. Walentego.

Byłbym jeszcze daléj rozwijał tę czarną patologję, ale mi przeszkodzono; służący podał mi listek. Schwyciłem go z mimowolną radością, jak gdyby ten kawałek papieru był żyjącą istotą, która przyszła przerwać cierpkie moje dumy słowem pociechy.

II.

Biorąc bilecik do ręki, sądziłem, że pewnie kto z moich chorych pod wieczór ciężéj zapadł i potrzebuje prędkiéj pomocy.

Jeszcze nie wyswobodziwszy się od wpływu chłodnych moich dum o patologji psychologicznéj, uczułem w sobie naturalną reakcję silnie pobudzającą mnie do jakiego dobrego uczynku. Pragnąłem ogrzać się litością, bezinteresowną pieczołowitością, nawet łzą skrycie zronioną na poduszkę cierpiącego. Patrzę na podpis listu.... wytrzeszczam oczy, żeby lepiéj uwierzyć.... o, tak! to ręka Karola, mego przyrodniego brata.... Dziesięć lat nie miałem od niego żadnéj wiadomości; nareszcie! nareszcie! Dzięki ci, Karolu, choć za ten późny upominek braterskiéj miłości. Zrywam co prędzéj pieczątkę i czytam: „*Mości doktorze i przyrodni mój bracie Ksawery!*“ Osłupiałem! serce ścisnęło mi się w łonie! Boże! Boże! tegoż to ja się spodziewałem? tak że to przemawia do mnie ten, który miał ze mną jednego ojca? którym opiekowałem się jak rodzic, kiedy był niedojrzałém dzieckiem, na którego po śmierci rodziców pracowałem dnie i noce, ażeby mu dać wychowanie i opędzić jego potrzeby? człowiek, który mi wszystko winien? którego kochałem nie jak brata, ale jak syna, i kiedy dorósł, jak przyjaciela? O, to okropnie! Nie umiem wypowiedzieć, jak boleśnie mnie to dotknęło! Kiedyś po wyjściu z uniwersytetu, pisywał do mnie, jak się wodzi w rodzeństwie: Kochany bracie! potém: Mój Ksawery! potém prosto: Bracie! potém przestał pisywać. Był w tém wszystkiém bystry upadek czucia, bystry do tego stopnia, że sądziłem skończoném to *decrescendo*, a oto pokazuje się, że brat mój nie spuścił się jeszcze do ostatniego szczebla. Pisze do mnie: *Mości doktorze!* Co za gorzki sarkazm pod piórem najbliższego i jedynego krewnego, którego mam na ziemi! ale nie dosyć tego, dodaje jeszcze: *i przyrodni mój bracie!* Jakaż w tém matematycznie dokładna oziębłość określać stopień powinowactwa, jak chemicy albo aptekarze sole i niedokwasy! Widać, nie życzy sobie, żebym pomyślał o nim, jak o rodzonym bracie!... a ja, na nieszczęście, nigdy inaczéj o nim nie myślałem...

Pamiętam, kiedy zaciągał się do artyllerji, i przyszło mu wyjeżdżać z Warszawy, jak czule żegnał się ze mną! jak gorąco przyrzekaliśmy sobie dozgonną przyjaźń! Dwaj bracia, dwie sieroty odrębnie rzucone na świat, zdaje się mogły mieć nadzieję, że ten związek będzie trwałym; jednakże stało się inaczéj! Bóg wie dla czego? ja tego dotąd zupełnie nie pojmuję. Z początku odbierałem od Karola listy częste, długie, pełne czucia i poezji; potém pisma coraz krótsze, bez żadnych poetyckich wzlotów, prosto szpargaliki węzłowatéj prozy, od któréj chłodu można było zębami

dzwonić. Spytałem go o przyczynę téj przemiany, nie odpowiedział mi i przestał pisywać. Po tym czasie tylko od obcych ludzi wiem, że się dosłużył stopnia, był żonaty, owdowiał, wygrał na loterji 900,000 złotych, wziął dymisję i gdzieś przepadł. Mówiono mi, że kilka razy był w Warszawie, wiedział gdzie mieszkam, ale nigdy mnie nie odwiedził. Moje zajęcia doktorskie przeszkodziły mi spotkać go w towarzystwie; zresztą, zrobiwszy się panem, bywał tylko w pierwszych salonach Warszawy, które ja odwiedzałem jedynie w czasach strapienia, to jest, wtenczas, kiedy do nich nikt nie przychodził. Chciałem go jednak widzieć, i poświęcając wszystkie drobnostkowe słabości obrażonego serca, zameldowałem się u jego drzwi, i cóż? lokaj powiedział mi, że pan nie zdrów. Sarkazm dobrany umyślnie do kroju doktorskiéj sukni!... Stał się dla mnie tak obojętnym, że kiedy w pewnym salonie obok niego siędzący gość mówił o mnie, nie odwrócił do niego twarzy, ażeby zapytać przynajmniéj o to, co grzeczność każe robić dla ludzi raz w życiu widzianych: czy zdrów? jak mu się powodzi?

A wszyscy o tym człowieku mówią z szacunkiem! Cóż to za dziwna zagadka? Ha! zobaczmy, co téż on pisze w tym bileciku?

Mości doktorze i przyrodni mój bracie Ksawery!

Gdybym był o całe dziesięć lat młodszy, niż jestem na nieszczęście zacząłbym ten list od przepraszań za długą przerwę korrespodencji, i dla usprawiedliwienia siebie, zwaliłbym winę niezawodnie na los i okoliczności. Dziś, nie czując w sobie żadnéj ochoty do tak płaskiego kłamstwa przed samym sobą, wolę raczéj narazić się w oczach wpana na złą opinję o moim charakterze, (bo i sam zresztą nie myślę o nim pochlebnie), jak pozwolić sobie innéj wymówki, nad tę, że korrespondecja nasza przestała mnie zajmować, i dla tego jéj zaniechałem. Jeśli to zły postępek, to przynajmniéj szczere wyznanie, co dziś jest rzeczą dość rzadką. Teraz przystępuję do interesu. Od roku jestem mocno chory; trzy miesiące leczę się już w stolicy. Doktorowie ukrywają przedemną prawdziwe nazwisko choroby, ale wiem i bez nich, że mam suchoty, suchoty tak daleko posunięte, że tylko jedną nogą stoję jeszcze na Bożym świecie, a drugą już w mogile. *Oh! cette position est désagréable* nawet dla najlepszego tancmistrza, i dla tego życzyłbym sobie prędzéj mieć obie nogi w kupie albo na ziemi, albo pod ziemią. Koledzy wpana jednego nie mogli dopiąć, a dru-

giego nie chcieli. Mówią, że wpan jesteś doskonałym w swojéj sztuce; udaję się więc do niego z prośbą, ażebyś mnie odwiedził co rychléj i powiedział bez ogródek, co możesz dla mnie uczynić? Zamawiam sobie jednak, ażebyś mnie pan raczył spotkać tak łaskawie, jak każdego innego pacjenta; bez wyrzutów, bo na te nowy pacjent nie zasługuje, a ja z mojéj strony od nikogo ich nigdy nie przyjmowałem; bez całowań i ściskań, bo tego się nie czyni dla pacjenta; tego ja nigdy nie lubiłem, a teraz w chorobie byłyby one dla mnie zbyt uciążliwe; nakoniec bez westchnień, kiwań głową i t. d., bo to wszystko w dość już nudnym stanie mojéj duszy mogłoby mnie jeszcze znudzić. Co do honorarji, pókim żywy, będę akuratnym, a po śmierci prawem braterstwa wszystko się dostanie panu Ksaweremu, od którego obecnie mam honor czekać wizyty albo wyraźnego odmówienia mi pomocy. Mieszkam w hotelu angielskim. *Karol L.*

— Okropny! lodowaty człowiek! zawołałem z goryczą, doczytawszy do końca to martwe pismo, dziwak! splinnik! szalony!— Dreszcz przeleciał po mojém ciele od głowy do pięt; wzdrygnąłem się z oburzenia, i chciałem od tejże chwili zapomnieć, że mam brata; przyrzekałem sobie nie postawić nigdy méj nogi na jego progu; obarczałem go najcięższemi wyrzutami; biegałem po pokoju, złorzecząc całemu rodzajowi ludzkiemu; wszystkie muskuły drżały mi w twarzy od wzruszenia; powietrze dusiło mnie; straciłem siły, padłem na sofę i zapłakałem jak dziecko. W téj okropnéj chwili pojąłem cenę łez. Łza, nie jest to woda, jak mówią ludzie zepsutego serca, ani płyn ułatwiający poruszenia oka, nakształt sadła pomagającego obrotom kół powozu, ani chemiczna kombinacja wody, soli morskiéj, wapna i t. d., ani wreszcie prosta litera moralnego alfabetu, o, nie! jest to pożegnalny upominek dany pierwszym naszym rodzicom w chwili strapienia przez Archanioła, który zaparł za niemi wrota edeńskie, jest to kropla zdroju niebieskiego. Całe ciało człowieka jest podłe, skazitelne, ziemskie; jedna tylko łza szczerego uczucia jest czysta, bo ma początek z nieba. Ledwie zapłakałem, wszystkie moje myśli zmieniły się. Zamiast złorzeczyć bratu, zacząłem się nad nim litować i usprawiedliwiać go żarliwie. Wszak człowiek oziębły w sercu, mówiłem sobie, jest najnieszczęśliwszą istotą na świecie. Zresztą czyliż fenomen moralny może być bez przyczyny? nie. Jeśli czucie do tego stopnia wyziębło w Karolu, to kto wie, czy nie dla tego, że przeszedł ciężką kolej doświadczenia? Może wielu czerpało z tego serca, a nikt

go nie napełniał wzajemnością, i źródło uczuć wyschło! Biedny Karol! jak on się musiał pasować z sępami wątpienia, podejrzliwości i chłodu moralnego, póki mu nie pożarły serca! Zamyśliłem się głęboko. Ha! zawołałem po chwili, kiedy skwar gwałtowny wysuszy źródło, wszakże to samo słońce topi śniegi na szczycie bliskich gór, a niebo zsyła deszcze, ażeby nowe wody naciekły do źródła i żeby nie było suchém łożyskiem. Czyliż religja nie jest dla strapionego serca także promieniem słońca i rosą niebieską, które żywią i podsycają w niem źródło uczuć w cierniach żywota? Miał więc środek, miał oręż do walki, nie powinien był upaść. I znów pogrążyłem się w dumy. Przypominałem sobie dziecięce lata Karola. Miał matkę dobrą, ale lekkomyślną, wietrzną, światową kobiétę, która sama będąc mało bogobojną, niewiele też zwracała uwagi na syna. Piastunki uczyły go pacierza; matka słuchała z próżnością, jak go recytował, ale nigdy nie złożyła mu dziecięcych dłoni do modlitwy. Ztąd pierwszy początek obojętności religijnéj, zaniedbanie modlitwy i obrządków kościelnych, w tym wieku, kiedy ziarno ewangeliczne najskuteczniéj bywa posiane na owoc miłości Bożéj. W szkołach, wśród pustoty młodzieńczéj, bez bacznego oka matki, obojętność religijna jeszcze więcéj się powiększyła. Nakoniec w następnych latach, kiedy dojrzalszy rozum i w części moje uwagi naprowadziły go na drogę, że religja jest jedyną rękojmią szczęścia na ziemi, jedynym punktem oporu w życiu, pociechą w cierpieniu i nadzieją za grobem, Karol z zapałem porwał się do teologji, oznajomił się z wiarą i utwierdził się w niéj; ale z opieszałości nie poszedł daléj i tylko wyrzekał często, że nie może w sobie wzbudzić miłości. Pohamuj ciało, mówiłem mu, zniszcz w sobie stopniowo jedną wadę po drugiéj, pełnij ściśle obowiązki kościelne, i ufaj w Bogu, a dopomoże ci. *Oczy Pańskie nad sprawiedliwemi, a uszy Jego ku prośbie ich,* mówi Piotr ś. Karol sto razy zaczynał i sto razy porzucał. O! teraz pojmuję wszystko, rozumiem jego lodowatą oziębłość, dziwactwo, zgryzotę. Ten człowiek ma religję tylko w głowie, ma przekonanie, ale mu schodzi na miłości, to jest, na religji w sercu, bez któréj, podług słów ś. Pawła, człowiek jest *jako miedź brzękająca.* Objąłem myślą wszystkie cierpienia takiego stanu duszy i uczułem w sobie niewypowiedzianą żałość nad jego położeniem moralném. Zapomniałem mojéj urazy, 10 lat milczenia, ostatniego listu, zapomniałem wszystkiego, i czując się w siłach przenieść co tylko może być najbole-

śniejszego, postanowiłem poświęcić mu się zupełnie, pragnąc ulżyć cierpieniom jego ciała i pocieszyć zbolałą duszę. Wyjechałem natychmiast do hotelu, gdzie mieszkał.

III.

Przyjeżdżam, wpadam na wschody, dzwonię, i cały zdyszany, z progu już krzyczę na lokaja:

— Powiedz prędzéj bratu, że ja przyjechałem.

— A zkąd pan przyjechał? zapytał lokaj roztargniony?

— Z domu, z mojéj kwatery, z Podwala, odpowiedziałem niecierpliwie. Sługus wytrzeszczył na mnie oczy: snać nie wierzył, żeby dopiero po trzech miesiącach stawiał się brat do brata z pierwszą wizytą; wszakże kiwnąwszy głową, zwolna popłynął przez salę do sypialnego pokoju.

Chodzę, chodzę, chodzę po sali, niecierpliwie mnę kapelusz w ręku, chciałbym minuty ścisnąć w jakiéj parowéj prassie, żeby z nich zrobić sekundy, nareszcie wraca lokaj i rzecze:

— Pan prosi pana *doktora*.

Nie zauważałem tego nowego ostrzeżenia, i wchodząc do chorego, biegłem rzucić mu się prosto na szyję i uścisnąć go po bratersku; lecz Karol dostrzegł mego zamiaru, i wprzód nim zrobiłem kilka kroków, zawołał głuchym, ochrypłym głosem:

— *Doktorze!...*

To fatalne słowo dotknęło mnie boleśniéj, jak gdyby mi kto nóż wcisnął w piersi. Zatrzymałem się na miejscu, jak wryty, wytrzeszczyłem na niego oczy, i chciałem mu wypowiedzieć, ile mnie oburzało tak dziwaczne ze mną postępowanie; ale spojrzawszy na postać tego nieszczęśliwego, ochłonąłem natychmiast z gniewu. Biedny Karol, obłożony poduszkami, siedział w wolterowskiém krześle blady, wyschły jak skielet, z wpadłemi oczyma, w których grało jakieś martwe światło, z kośćmi sterczącemi na zwiędłych jagodach, i znamieniem śmierci we wszystkich rysach twarzy. O! mógłżem być tak zatwardziałym, żeby prawie konającemu bratu robić wyrzuty?... nie, niema człowieka, coby się zdobył na taki bezecny uczynek! Stałem porażony tym okropnym widokiem, i sam nie wiedziałem co począć daléj.

Karol kika minut trzymał na mnie ostry, badawczy wzrok, i

snać dostrzegł głębokie wzruszenie w méj twarzy, widać znalazł mnie lepszym, jak się spodziewał, bo jakiś boleśnie sarkastyczny uśmiech ożywił jego fizjognomję; wyciągnął do mnie suchą rękę, i rzekł:

— Jak się masz? bracie! Ha! poco tu pytać? Tyś zdrów, czerstwy, opasły jak mecenas; widać, że głowa nie pożera ci brzucha, mając dość innych pokarmów. Co ja, to mam się bardzo źle, sam widzisz; mógłbym, jak Ziska, przeznaczyć moję skórę na bęben. Opatrzże mnie suchotnika, i powiedz otwarcie, czego się mogę spodziewać?

— Oto braterskie przywitanie po 12 latach niewidzenia się! pomyślałem sobie. Litość walczyła w mém sercu z oburzeniem, ale to trwało niedługo, i w sercu zostały czyste, braterskie i chrześcijańskie uczucia. Opatrzyłem bacznie Karola, wypytywałem go o wszystkie okoliczności tyczące się choroby, zamyśliłem się i rzekłem:

— Karolu! istotnie masz suchoty. Stan twój wymaga heroicznych środków, na które ja sam jeden nie chciałbym się decydować. Pozwól mi poprosić kilku medyków na *consilium*.

— Nie ma po co, odpowiedział Karol obojętnie. Ci panowie mieli mnie już wszyscy w swoich rękach i nic nie zrobili pojedyńczo, a zatém i razem zebrawszy się, nie wiele więcéj uradzą. Powiedz, jak długo wypadnie mi jeszcze cierpieć? powiedz otwarcie, jak ci się zdaje?

Milczałem. Brakowało mi odwagi powiedzieć mu, że śmierć stoi już u wezgłowia jego łóżka. Uratować tego człowieka było rzeczą zupełnie niepodobną. Miesiąc, może półtora, więcéj mu nie zostawało do życia; cały organizm rozprzęgał się, zwyczajnie jak w ostatnim perjodzie suchot płucowych.

Tymczasem Karol wlepił we mnie badawczy wzrok, śledził myśl w odcieniach twarzy, wyczytał ją i rzekł stłumionym głosem:

— Rozumiem to milczenie, i dziękuję ci, Ksawery, że nie kłamiesz przedemną. Twoi kolledzy umieją tak mówić, że z ich gadaniny nigdy nie mogłem się domyślić, do jakiego stopnia doszła moja choroba. Zatrzymał się chwilę, potém dodał: A więc prędko wszystko się skończy..... śmierć!.... w 30-tym roku życia!.... i szeptał jeszcze coś zcicha, czego nie mogłem dosłyszeć. Wkrótce opanowała go niemoc, zakrztusił się, zadzwonił na służącego, i powiedziawszy mi: — Przyjdź jutro rano, Ksawery, tylko bez towarzyszów — położył się do łóżka.

Zgnębiony żalem i tą tajemniczą, tą dręczącą obawą, która burzy nam pokój duszy, kiedy przeczuwamy śmierć drogiéj dla nas osoby, wyszedłem wolnym krokiem od Karola. Ta myśl, że po długiéj rozłące spotkałem brata jedynie dla tego, żeby mu przygotować mogiłę, padła jak kamień na moje serce. Czułem tém większą boleść, że Karol, co mi zawsze był drogim mimo wszelkich dziwactw jego postępowania, mógł umrzeć z tą oziębłością dla mnie, na którą nie zasłużyłem i któréj nie pojmowałem wcale. Pragnąłem z całéj duszy przekonać go o mojém przywiązaniu.

— Czy odwiedza kto twego pana? spytałem służącego w sali.

— Nikt, oprócz doktorów, i wczoraj był ksiądz, odpowiedział służący.

— To samotnictwo zdziwiło i wzruszyło mnie razem. Wiedziałem, że miał mnóztwo znajomych w Warszawie. Każde wyłączenie się człowieka myślącego ze społeczności ma w sobie cóś solennego i rodzi w nas silne współczucie, a cóż jeśli krom tego dobrowolny samotnik pasuje się jeszcze z cierpieniem! Jest to rodzaj męczeństwa, o którém nie można pomyśleć obojętnie. Łzy pociekły mi po twarzy. Siadłem na kanapie i powiedziałem służącemu, że będę nocował u brata.

— Ach to dobrze, zawołał mocno ucieszony Maciéj, bo prawdziwie żal mi mego biednego pana, ale nie wiem sam, co z nim począć. Od dawnego już czasu nie może spać w nocy, robi mu się bardzo markotno, i wtedy zwyczajnie każe mi co opowiadać. Czémże ja prostak potrafię go zająć? Ledwo gębę otworzę, znudzi się moją gadaniną i bierze książkę jedną po drugiéj do czytania; a snać musiał wszystkie już po kilka razy przeczytać, albo może książki niewiele warte, bo żadna go nie zajmuje, i rzuca je z niechęcią. Często też pisze cóś tam na papierkach, siedzi nad tém z uwagą, a wypisawszy się, rzuca papierki obojętnie pod stół, i znów woła na mnie i każe mi bajać co przyjdzie do głowy. No, proszę pana doktora, co to za życie cierpieć nie tylko we dnie, ale i w nocy? nie pokrzepić się snem, jak inni ludzie? I zawsze taki markotny, że aż serce boli patrzeć na niego, tém więcéj, że to takie dobre panisko!

— Czy dawno służysz u mego brata?

— Trzy miesiące z górą.

— Dla czegóż odprawił tego, co był przed tobą?

— Dla czego? a Bóg to wie! Powiadają, że pan nie lubi trzymać długo jednego służącego, choćby był najlepszy. Widać, że go

to nudzi. Jeśli wyzdrowieje, to i mnie wkrótce odprawi. A ludzie jakoś na swoję biedę duchem się do niego przywiązują. Ten, co był przedemną, płakał jak dziecko, i prosił pana, żeby go nie odprawiał. I mnie nie łatwo będzie odejść, ale cóż robić? Widać, że u pana już tak zaprowadzono.

IV.

O północy Karol zadzwonił. Pobiegłem do niego. Spojrzał na mnie z niejakiém zadziwieniem, przeciągnął ręką po czole, ziewnął i rzekł obojętnie:

— Macieja wołałem, ale kiedyś tak dobry, że nocujesz u mnie, to siądźże. Nie mogę spać.... Co to za okropna męczarnia bezsenność!... Opowiedz mi, Ksawery, co też się działo z tobą od czasu naszéj rozłąki?...

Opowiedziałem mu w kilku słowach całą moję historję. Życie moje było tak ubogie w wypadki, tak ciche i spokojne, chociaż nie bez mozołu i cierni, że prawdziwie nie miałem o czém długo mówić! Karol zamyślił się; potém rzekł: — Jak widzę, dusza twoja była zawsze tak zdrowa, jak i ciało. Ze mną działo się zupełnie inaczéj.

Prosiłem go, żeby mi opowiedział swoje życie.

— Po co rozgrzebywać ten popiół? odpowiedział Karol smętnym głosem. W każdéj powieści, a nawet w dziejach, wypadki tyle mają ceny, o ile prowadzą do jakich ważnych wniosków. Na co ci wiedzieć gdzie byłem? co robiłem? kogo znałem? i t. d. Musiałbyś te rzeczy kombinować i roztrząsać, żeby dojść do tego, co ci mogę powiedzieć w kilku słowach. Łaknąłem nieustannie spokojności ducha, i nie znajdowałem jéj; siliłem się załatać jakąś dziurę w sercu, przez którą wyciekało mi szczęście, i nie mogłem tego dokazać; dręczyłem się niepojętemi dla mnie żądzami; oczekiwałem czegóś z dnia na dzień i szukałem na wszystkich drogach, nie doczekałem i nie znalazłem!... słowem, życie moje przedstawiało jakby symptomata jakiejś moralnéj choroby.... Doktorze! to twoja rzecz znaleźć dla niéj nazwisko.

— O mój Karolu! rzekłem z westchnieniem, znam tę chorobę, spotykałem ją nieraz w towarzystwie, w silniejszym lub słabszym

stopniu. Jest to na nieszczęście dość pospolita w naszym czasie choroba, to są *suchoty serca*.

— Ha! dość trafnie! jednak niezupełnie. Moje cierpienie było większe, bo i umysł pasował się z boleścią. *Suchoty duszy* byłoby dokładniéj. No, panie doktorze, a jakież przepisujesz lekarstwo od tych suchot?

— Jest tylko jedno, ale pewne, religja; to jest: przekonanie w umyśle, miłość w sercu, i wylanie obojga w uczynkach. Człowiek, który z pokorą i ufnością w Bogu używa tego lekarstwa, uważa życie ziemskie za czasową pielgrzymkę, i chociażby była najboleśniejszą, nie traci nigdy pokoju ducha. „W miłości nie ma bojaźni, mówi Jan Św. apostoł, gdyż bojaźń ma utrapienia; a kto się boi, nie jest doskonałym w miłości.“

— Szukałem tego lekarstwa.... rzekł Karol, ale byłem zanadto oddany światu, żeby je znaleźć. Czułem jednak, że błądzę; o! głęboko to czułem, i nieraz, kiedy przesyt albo niespokojność dręczyły mą duszę, wołałem do Boga z rozpaczą o promień łaski niebieskiéj, coby mi ogrzał serce miłością, lecz wołałem jak próżniak, który nie chcąc pracować, żebrze, i dla tego niebo nie wysłuchało mego głosu. A bez tego, czémże było moje życie? Błądziłem ciągle po manowcach, sam nie wiedząc gdzie biegnę? i czego szukam? podobny do okrętu, który straciwszy igłę magnesową, krzyżuje ocean w różnych kierunkach po woli fal i wiatrów, pasuje się z burzami, i nigdy nie wie, gdzie go zaniosą. Rozum i honor zachowały mnie od zmazy; imię moje było zawsze otoczone szacunkiem towarzystwa, w którém mnie los postawił; ale w duszy ileż to razy nazwałem siebie fałszywym, podłym, okrutnym, nikczemnym człowiekiem! Padałem z błędu w błąd, ze słabości w słabość, z męczarni w męczarnię; szukałem ciągle nowych wrażeń, żeby odurzyć tęsknotę serca. Chęci i żądze moje ciągle się zmieniały. Ani przyjaciel, ani kochanka nie mogli mnie długo zajmować. Serce moje było w pewnym rodzaju zimnéj egzaltacji, któréj wybuchy dawały drugim tak fałszywe o mnie pojęcie, że uważali mnie za człowieka czułego i przywiązali się do mnie. Ja sam łudziłem się często, upędzając się za marami miłości, przyjaźni i sławy, ale wkrótce spostrzegałem z rozpaczą, że mniemana czułość była nic więcéj, jak drażliwość nerwów, albo szał gorączkowy, chorowite wzruszenie serca, bez stałéj osnowy, a zatém fałszywe i nietrwałe.

Żal mi tych ludzi, co zbliżali się do mnie. Ja byłem jak że-

lazny piecyk, co chwilę grzeje mocno, a potém mrozi rękę, która się do niego dotknie. Nikt nie przeniknął do głębi méj duszy, nikt mnie nie znał!

Choroba moja przeszła wkrótce i do umysłu. Myśl zaczęła szukać także coraz nowego pokarmu, i przeżuwszy go, rzucała z niechęcią. Przechodziłem od jednéj nauki do drugiéj, zgłębiłem jedne więcéj, drugie mniéj. Każda z nich zajmowała mnie mocno, póki nie doszedłem do stałych o niéj pojęć, póki nie wyczerpałem przedmiotu lub ciekawości; a potém każde przeczytane dzieło stawało się dla mnie obojętném: — *Laplace* tak samo jak *Byron*, *Cuvier* jak *Tacyt* i *Kant* jak *Rabelais*. I nie mogło być inaczéj. Wszak książki, są to ludzie z papierowém ciałem, i każdy postępuje z niemi tak samo, jak ze zwyczajnymi ludźmi. Znudziło mnie wszystko; straciłem bodziec do pracy, wpadłem w rozumne lenistwo, najgorsze ze wszystkich rodzajów próżniactwa, i zostałem zupełnie bez obrony przeciw temu robakowi, który mi toczył serce.

Nie lubię w ogólności długich dyssertacji w przedmiotach moralnych. Świat jest tak dziwnie stworzony, że w materji jest więcéj niż materja, jest mądrość. Dla tego używam często porównań: to krócéj i dobitniéj. Oto naprzykład: wracając do mojéj biografji, widzę, że mógłbym był porównaniem dać ci dokładne o mém życiu pojęcie. Jak w suchotach piersiowych powietrze wciągane w chorowite płuca, zamiast ożywiać organizm ciała, coraz więcéj go niszczy, tak w suchotach duszy wrażenia życiowe, padając w głąb schorzałego ducha, wytępiają w nim pierwiastek niebieski i niszczą życie moralne.

Skończywszy, zamilkł.

— O Karolu! zawołał, dla czegożeś?....

— Wiem co chcesz mówić, przerwał Karol niecierpliwie, będziesz deklamował o mojéj oziębłości dla ciebie, o przerwie listowania, dla czego nie szukałem pociechy i rad u brata? i t. d. Daj pokój! nie mam ci na to co odpowiedzieć. Oziębłem, no, cóż robić? stało się, a kiedy się stało, to nie chciałem udawać z grzeczności, że się nie przemieniłem, bo widzisz, mój Ksawery, po kilku latach życia zrobiłem sobie postanowienie, wyjąwszy obowiązków społecznych, nigdy nie czynić tego, co mnie nudziło, ani marzyć o tém, co wiedziałem, że nie jest prawdą.

— Ja myślę, rzekłem uśmiechając się, że każdy ma ten zwyczaj.

— Gdzie tam! Widać, że mało obserwowałeś ludzi. Bóg stwo-

rzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, a człowiek w naszych czasach zrobił z siebie małpę. Większa część czynności ludzkich pochodzi z małpiarstwa. Człowiek, nie zdając sobie rachunku, naśladuje drugich, zwodzi samego siebie, smuci się i egzaltuje na cudzy manier.

— To mogą czynić tylko dzieci.

— Mylisz się. Dla dzieci małpiarstwo w ogólności pożyteczne, bo inaczéj jakżeby się nauczyły jeść, pić, chodzić i mówić? Ale w ludziach dojrzałych ta wada jest płaska, i często zgubna. Przejdź myślą swoich znajomych, czyliż to jeden z nich z małpiarstwa osobom żyjącym, a nawet bohaterom powieściowym, nagina swoje życie na ich ład? pozbywa się samobytności, wspomina uczucia, których nigdy nie czuł, poetyzuje to, co go w istocie nudziło i śmiesznie kłamie przed swoją własną personą? Nie jeden, spędziwszy najprozaiczniéj dziecinne lata, przeszedłszy przez nudne miłostki, przeczytawszy drzémiąc jaki poemat, który mu zachwalono, albo wycierpiawszy nędzę obojętnie jak osieł, marzy potém, idealizuje te płaskości, i powiada drugim o błogich chwilach młodego wieku, o głębokiéj miłości, o cudnéj poezji i strasznych cierpieniach, których kiedyś doświadczał? Z małpiarstwa ludzie często chcą być kochani jak drudzy i zawiązują romanse bez wewnętrznego uczucia, chcą mieć tęgą głowę i piją, chcą uchodzić za nieustraszonych i pojedynkują się i t. d. Sądzę więc, że to jest niezła rzecz, kiedy człowiek dobrze się rachuje sam z sobą i nie robi tych niedorzeczności.

— O jakże zimna twoja filozofja, mój Karolu! Wolałbym, żebyś był za przykładem drugich, nie zrywał związków z bratem, chociaż się stał dla ciebie obojętnym.

— Może to być doktorze! ale do czegóż nas doprowadzi ta pusta rozmowa? Wróćmy lepiéj do małpiarstwa. Kiedyś, będąc na wsi, zrobiłem ciekawe doświadczenie nad owcami. Kiedy otworzono owczarnię, podstawiłem we drzwiach pierwszéj owcy kij przed nogi, i gdy przez niego przeskoczyła, odszedłem. Cóż powiesz na to? wszystkie owce, ile ich tylko było, skakały wylatując z wrót, jak gdybym trzymał im kij, i czyniły to rozumie się nie z potrzeby, ale dla tego, że pierwsza owca podskoczyła na tém miejscu. Otóż towarzystwo jest taką samą owczarnią. A teraz bądź zdrów. Spróbuję, czy mi się nie uda zasnąć?

V.

Nazajutrz rano, Karol całą godzinę rozmawiał z księdzem, potém modlił się gorąco. Gwałtowny i bolesny kaszel przerwał mu modlitwę. Kiedy wszedłem do niego, przywitał mnie łagodnie, rozmawiał o religji, o życiu przyszłém i próżności wszystkiego na świecie. Obrok duchowny jeszcze ogrzewał jego serce, i bijąc promieniami niebieskiego światła, rozjaśniał, podwyższał i barwił myśli, które umysł wyrabiał w téj chwili. Widziałem wyraźnie, że ta potężna głowa zgięła się z pokorą przed uczuciem prostego kapłana, i żal mi się zrobiło mądrości ludzkiéj. Ognisko duszy jest niezawodnie w sercu! Cały dzień był dość spokojny i przypominał sobie jasne dni życia, co nas wciągnęło w długą rozmowę o domu rodzicielskim i czasie naszéj młodości.

W nocy lodowaty jego Demon znów wziął nad nim górę. Wpadł w zwyczajny swój humor, zrobił się obojętny, niespokojny, zgryźliwy, nudny. Rozmowa jego nie zatrzymywała się długo na żadnym przedmiocie; mięszał wszystko, zaczynał i nie kończył; zamiast rozumowania, po większéj części drwinkował, rzucając sarkazmy, tchnące jakąś odrętwiałością, chłodem, zgnilizną uczuciową. Wypisuję tu z jego zdań te, które bez wyraźnéj przykrości, mogłem sobie przypomnieć.

Jeżeli życie człowieka jest podróż od kolebki do grobu, to wyznać należy, że nikt jéj nie odbywa w prostéj linji, sumiennie i bez straty czasu. Naśladujemy żaków, którzy idąc do szkoły, wybierają najkrętsze drogi, zatrzymują się wszędzie, gdzie się można pogapić, biegną w stronę za motylem, żeby go przypiąć na czapce, i jako ozdobę, nosić na głowie, robią psoty żydkom, słowem, myślą o wszystkiem, wyjąwszy o tém, że im trzeba iść do szkoły. Takim sposobem żaki i ludzie robią dziwaczne zygzaki, i często strudzeni bieganiną, żałując niedokończonéj pustoty, niespodziewanie stają u mety.

Śledźcie naturę, a zobaczycie ścisłą sprawiedliwość. Jeśli ta matka skrzywdzi człeka w jednym względzie, to wynagradza mu krzywdę w drugim. Tak naprzykład, ślepy lepiéj słyszy albo czuje palcami, głupi bywa zdrów, jak nosorożec. Kto często choruje, to za to bez niebezpieczeństwa; kto rzadko, to ciężko; kto ma

wielką pamięć, to mniéj innych zdolności umysłowych i t. d. Wszystko to powinnoby nas naprowadzić na tę myśl, że sprawiedliwość wcale nie jest pojęcie względne, ale zakon zasadniczy, bez któregoby świat się nie ostał.

Nieraz pewno widziałeś, jak pies, zwyczajnie młody szczeniak, kręci się na miejscu w kółko, usiłując uchwycić zębami koniec własnego ogona? i mówisz mimowolnie: głupia bestja! a wszakże pies w innych przypadkach bywa mądry.

Umysł większéj części młodych ludzi karmi się prozą; serce wyrywa się do poezji, i tym biedakom zdaje się, że te dwie połówki zlepione razem mogą uformować coś lepszego, jak nędzną ramotę! sądzą, że to to samo, co uzbroić nogi kaloszami i wejść do salonu z miną człowieka, który przyjechał w karecie! Biedni spekulanci! wszakci wychodząc, musicie zabrać z sobą swoje zbłocone kalosze i wędrować piechotą.

Oprócz pospolitego *ryczałtowego* kłamstwa, które każdy uważa za wadę i cechę dusz bezsilnych lub zepsutych, jest jeszcze drugi rodzaj łgania, który można uważać za ekstrakt subtelny z pierwszego. Ten ekstrakt łgarstwa destyluje się nieustannie z człowieka dla zadowolenia sekretnego głosu miłości własnéj, dla durzenia najbliższych znajomych, przyjaciół, żon, czytającéj publiczności, i wreszcie dla poetyzowania płaskich wspomnień własnego życia. Jest on tak subtelny, że go często nie dostrzega sam nawet destyllator.

W niektórych miejscach używają psów do obracania pieczeni na rożnie. To biedne stworzenie patrzy całą godzinę na wyborną sztukę mięsa, i wie, że jéj nie liźnie, a jednak, wróciwszy do swéj budy, nie narzeka na ludzi, nie pisze rozpaczających elegij i nie odejmuje sobie życia. Zdaje się, że ten fakt zasługuje na uwagę.

VI.

Na drugi dzień, Karol całe rano był nadzwyczaj roztargniony. Widać było, że jakaś myśl zajmowała go wyłącznie; w rozmowie, w gestach jakaś niespokojność, niecierpliwość i zły humor. Co chwila spoglądał na zegarek i krzywił się.

— Czy oczekujesz kogo? Karolu! spytałem.

— Widzisz, że czekam, odpowiedział niechętnie, czekam księdza. Miał być o ósmej, a oto już dziesiąta, a nie ma go.

— Pewnie mu co przeszkodziło.

— Pócóż mi tłómaczysz? Dziecko się może domyśleć takich rzeczy. Rozumiem bardzo dobrze, że kiedy nie przyszedł, to pewnie zdarzyła się jaka przeszkoda, a jednak mnie to gniewa.

— Jeśli chcesz, to ja pojadę po niego.

— At, co tam! nie potrzeba. Gdybyś mógł dmuchnąć tak sztucznie, żeby natychmiast stanął przed nami, byłbym ci wdzięczny.

Uśmiechnąłem się mimowolnie na to dziwactwo.

— Śmiéj się, doktorze! rzekł Karol. I jabym się śmiał, gdybym był na twojém miejscu. Ja mam mnóztwo takich dziecinnych niedołężności w swoim charakterze. Jest to dziwnie pojmować rozumem niedorzeczność takich przywar, a jednak być całe życie pod ich wpływem, cierpieć przez nie, skrywać je przed światem, gardzić samym sobą i nie mieć nigdy dość woli, żeby się ich pozbyć.... Widzisz, doktorze, ja jestem człowiek z niecierpliwą żądzą, osobliwie kiedy wiem, że mogę czegoś żądać bez wyrzutu sumienia. Każda chwila zwłoki, lub oczekiwania, staje się dla mnie męczarnią. Cały przeciąg czasu od powzięcia zamiaru, choćby szło o dzieciństwo, o bagatelę, jest dla mnie okropną katuszą. Jeśli chcę co wiedzieć, poznać, kupić, muszę to natychmiast wykonać; bo dopóki nie wykonam, nie mogę o czém inném myśleć, jestem niespokojny, roztargniony, gniewam się, i tém więcéj cierpię, że w tym samym czasie oburzam się na siebie za to głupstwo. Ileż to razy wtenczas, kiedy jeszcze nie miałem zbywających pieniędzy, kiedy żona i dziecko ich potrzebowały, traciłem ostatni grosz na fraszki, których mi się nagle zachciało! Ileż razy ta pustota zawracała mi głowę, kiedy byłem zajęty obowiązkiem, kiedy czytałem jakie ważne dzieło, albo kiedy rozmawiałem z osobą do mnie przywiązaną! i czy uwierzysz? rzucałem książkę, człowieka, kobietę, nie słuchałem co mi mówili, i marzyłem tylko o owéj pustocie! Gdyby ta porywczość do drobnostek sprawiała mi przynajmniéj trwałą przyjemność, tobym sobie jeszcze wybaczył; ale byłem podobny do dziecka, które dobija się igraszki, a jak weźmie w rękę, to rzuca obojętnie. Czy pojmujesz takie dziwactwo?

— Każde dziwactwo jest niepojęte, inaczéj nie byłoby dziwactwem.

— Powiem ci drugie. Mam z łaski Boga dość dobrą głowę. Śmiałem się całe życie z zabobonów, wróżbiarstwa i guseł; mógł-

bym był napisać filozoficzny traktat o tym przedmiocie, a sam byłem zawsze pod wpływem tych niedorzeczności. Kiedy mi się śniły dzieci, kiedy spotykałem babę wychodząc z domu, kiedy mi dzwoniło w uchu i t. d., czułem mimowolnie jakąś obawę, i oczekując na pewno jakiéjś nieprzyjemności, rozumie się zawsze cóś takiego znajdowałem. Czy to nie śmiesznie?

— Wierzę, że w chorowitéj duszy mogą być podobne symptomata.

— Słuchajże daléj. Te dwie niedołężności, które ci powiedziałem wszakże dowodzą jakiegoś nieładu w duszy, powiedzże mi, jakim sposobem wiązała się z niemi jakaś manja porządku i systematu we wszystkich drobnostkach codziennego życia? W moim pokoju wszystko musiało leżeć na pewném miejscu i w pewnéj symetrji; prowadziłem zawsze regestra i inwentarze; płaciłem pieniądze jak najregularniéj; nie miałem nigdy długu; nieraz wolałbym darować, jak pożyczyć; robiłem nieustannie plany dla systematycznego zajęcia się, wyznaczając na każdy przedmiot stałe godziny, ale prawie nigdy nie doprowadzałem ich do skutku, dla tego, że bez pokoju duszy, systematyczna praca jest niepodobna. No doktorze, powiedzże mi, że byłem całe życie półgłówkiem.

— Żal mi ciebie, Karolu! Te drobiazgowe niedołężności są tém dla duszy, czém robactwo dla ciała.

— Niezłe porównanie. Masz słuszność. To robactwo, od którego nie umiałem się opędzić, zupełnie odejmowało mi pokój. Dziś chęć do tego, jutro do czego innego; żadnéj stałéj żądzy; ciągła jesienność, posępność, drażliwość, obawa, podobna do strachu dziecka w ciemnym pokoju; zupełne rozprzężenie ducha, który tylko w chwilach wysiłku wchodził w karby posłuszeństwa rozumowi.

— Odkrywasz mi szczegóły, o których nie miałem pojęcia....

— Alboż to wszystko? przerwał Karol. poczekaj, panie doktorze! ty jesteś filozof, dobrze ci wiedzieć dziwactwa ludzkie, a ja właśnie czuję w téj chwili szczególniejszą wenę do wywnętrzania się. Chciałbym wszystkie swoje brudy wyrzucić z pamięci.

Zamyślił się nieco i tak mówił daléj:

— Ogień z wodą, poezja z płaską prozą, żadnym sposobem się nie jednoczą, a u mnie w duszy wszystko to było razem. Nieraz w najnudniejszym splinie chwytałem za pióro, i na papier wylewały się gorące, miłosne wierszyki, albo dziwnie komiczne i wesołe sceny. Inną razą przeciwnie; w ciągu najczulszéj rozmowy, kiedy słowa młodéj kobiéty burzyły mi krew, w głowie mojéj zja-

wiały się wspomnienia prac naukowych, jakieś matematyczne formuły, albo sarkastyczne koncepta, albo fantastyczne obrazy dziwolągów.

Całe życie marzyłem o tém, co jest najpiękniejszego na ziemi; chciałem być filozofem, poetą, bohaterem, lecz najwięcéj, najmocniéj pragnąłem kochać, kochać przyjaźnią i miłością; ale kiedy serce moje upędzało się za temi ideałami, wieszże jakie miałem przekonanie umysłowe? Oto, powtarzałem sobie, że sława jest chwilowa błyskotka, a zatém nie warta zabiegów; że interes kojarzy i zrywa przyjazne związki; że prawdziwa miłość, miłość taka, o jakiéj marzyłem, nie egzystuje na ziemi. Tym sposobem serce zawsze pociągało mnie do ludzi, a głowa mnie od nich odstręczała. Nudziłem się bez towarzystwa, i nudziłem się w dobrze znajomém towarzystwie, przeto też najwięcéj szukałem tych okoliczności, które mi dozwalały widzieć liczne zgromadzenie, obserwować fizjognomje, słyszeć rozmowy, ale nie zbliżać się do nikogo. Pragnąłem kochać, nie mogłem obojętnie spojrzeć na żadną młodą kobiétę, i natychmiast myślałem sobie: ach! gdyby ona mnie kochała. Zazdrościłem wszystkim, którzy kochali lub byli kochani. Stroniłem od kochanek i żon, i prawie czułem do nich nienawiść za to, że nie mnie kochały, lecz kogo innego. Zdało mi się, że każda z nich jest moją nieprzyjaciołką. Podeszłe kobiéty nie miały żadnéj ceny w moich oczach. I przy tym gwałtownym pociągu do kobiét, długo byłem nieśmiałym, a potém bez żadnego szacunku dla całéj płci, która mi się zdała przepełniona śmiesznością i niedołężnościami.

W przyjaźni, w miłości, kilką wzlotami wznosiłem się wyżéj jak inni w długim czasie, ale prędko stygłem, nudziłem się, stawałem się obojętnym, gniewałem się na tych, których przed chwilą kochałem, jak gdyby mnie zdradzili; i jeśli obrazy ich trzymały się w mojéj pamięci, to były to nieprzyjazne dla mnie widma. Czułem do nich niechęć i wstręt tém większy, im silniéj ich przedtém kochałem. Oto jest okropny stan, któregom nigdy nie pojmował.

— Zwyczajnie jak w suchotach moralnych, rzekłem Karolowi. Inaczéj być nie może, kiedy człowiek żyje wyobraźnią, bo ze wszystkich ziemskich rzeczy wyobraźnia najprędzéj się zapala, ale najprędzéj też ziębnie. I kobiéty cię kochały?...

— O, to mi przepowiedziano jeszcze w młodości! Ciebie już

wtedy w domu nie było. Pewna wdówka znajoma z kokieterji, zapatrzywszy się raz na mnie, rzekła do mojéj matki: — Ten chłopiec ma tak dziwne oczy, jakich jeszcze nie widziałam! Kiedy dorośnie, pewna jestem, że będzie miał wielką władzę nad kobiétami. — Zdanie wdówki w tym przedmiocie miało pewną wagę; zostało mi dotąd w pamięci, dla tego, że istotnie w części sprawdziło się. Ale ta rozmowa ciągnie się zbyt długo, znudziłem się. Pogadajmy o czém inném.

Potém mówił o rzeczach naukowych, zaciekał się w badania; o sobie ani słowa.

VII.

Nie ma żadnego ratunku, ten człowiek musi wkrótce umrzeć!

Ale jakież to męczarnie moralne poprzedzają zgon człowieka, nie mającego w sercu religijnego czucia!... włada zupełnie rozsądkiem, wierzy w Boga, nieśmiertelność duszy, pewny jest tego, że za mogiłą zaczyna się drugie życie, i lęka się tego życia, i szuka w sobie pociechy, i z rozpaczą nie znajduje żadnéj!... Jeśli smutném było jego życie, koniec egzystencji jest jeszcze okropniejszym.

W nocy dręczony bezsennością, Karol zawołał mnie i rzekł słabym głosem: — Chciałbym pogawędzić z tobą, ale mnie to męczy.

Ofiarowałem się czytać mu jaką książkę.

— Co tam książki! — zawołał natężając głos, który głuchém echem brzęczał w schorzałéj piersi, co czytanie! to rozmowa z trupem! W całém życiu przekładałem mowę żywego człeka nad najmędrsze książki. Upodobanie do gawędy z dzieciństwa nigdy mnie nie opuszczało, i mam uprzedzenie, że to nie kompletny człowiek, kto gawędzić nie lubi. Ale ot, bieda, nie wiem sam o czém mówić; widać, że jestem mocno słaby. Lampa ciemno się pali, podkręć knot do góry.... No, cóż? alboż to tak trudno znaleźć przedmiot do rozmowy? Będziemy mówili o lampach, o gazie, o świecach.... Między rozumnymi ludźmi każda drobnostka prowadzi do ważnych uwag. — I patrzał na mnie ironicznie, czekając pierwszego słowa.

— Zaczynaj sam mówić, Karolu! rzekłem uśmiechając się, dla mnie w lampie jest tylko oléj, nic więcéj.

— Doktor jesteś systematyk, dla tego nic więcéj nie widzisz. A dla mnie światło lampy, gazu, albo świecy, jest rodzaj szczęścia. Najmilsze moje dumania, najprzyjemniejsze chwile samotnictwa, najzdrowsze myśli, znachodziłem zawsze wieczorem, przy świetle. Częstokroć po całodziennéj nudzie lub przykrościach, kiedy służący wniesie światło do pokoju, wszystko przychodzi do porządku i rozjaśnia się w méj duszy. Rzęsisto oświecony salon zawsze czynił na mnie przyjemne wrażenie, a przeciwnie blask słońca, gwiazd i księżyca podobał mi się tylko w wyobraźni, a w naturze słońca nie lubiłem, jutrzenki nigdy nie widziałem, gwiazdy i księżyc były dla mnie zupełnie obojętne. Cóż to znaczy?

— Zawsze toż samo, brak czucia.

— Śmieszny z ciebie człowiek! wszystkie drobnostki podciągasz pod szubienicę swojego systematu.

— Wybacz Karolu, niektóre drobnostki w pewnych okolicznościach mogą mieć wielką wagę. Znałem niegdyś człowieka, który nie lubił patrzéć na kobiéty zamężne w tym czasie, kiedy postać ich staje się nieforemną, i dziwił się, dla czego one wtedy pokazują się w towarzystwie? Była to drobnostka, a jednak powziąłem z niéj przeczucie, że ów człowiek będzie złym mężem, i istotnie nie omyliłem się — był dla żony twardy jak kamień.

Karol ugryzł się w wargę, snać ubodła go ta uwaga.

— Wróćmy do słońca, rzekł po chwili. Dla czegóż masz mi za złe, że mu się nie kłaniałem, jak Gwebr? zkąd widzisz w tém brak czucia?

— Mój Karolu! rzekłem, przypatrz się prostaczkowi, człowiekowi z czuciem, wreszcie dziecku, wszak wszyscy lubią to słonko, które oświeca i grzeje świat Boży. Smutna to niedziela, smutniejsze święto, jeśli słonko nie świeci. Zimową porą, kiedy Bóg da światły dzionek, nawet skrzywione serca mieszkańców stolicy radują się, i na ulicach widać mnóztwo spacerujących. Kto ze starców przy schyłku spokojnego życia nie wspomina majowego słońca swojéj młodości? kto z kochających patrzy obojętnie na księżyc i niebo usiane gwiazdami? O, wierz mi, Karolu, że upodobanie w naturze wcale nie jest uczuciem przypadkowém, jest to znak czystego serca i iskierka téj miłości, którą człowiek wielbi Stwórcę.

— Natura była dla mnie tylko niepojętą zagadką, zawołał Karol. Zaciekałem się w tajniki jéj życia, dziwnie doskonale krążącego w miljonach rozmaitych kanałów. Newton i wszyscy uczeni objaśnili nam tylko najprostsze zagadki przyrodzenia. W jednym list-

ku trawki, w małym pajączku, jest więcéj niepojętego, jak w całym systemacie grawitacji.

— Mówisz jak człowiek myślący, rzekłem z westchnieniem.— Gdybyś miał prawdziwe czucie, powiedziałbyś, że tajemnice listka, trawki, lub małego owadku, mogą w nas wzbudzić tyleż głębokich wzruszeń i kornego poddania się woli Bożéj, ile cała mechanika niebieska odgadnięta przez astronomów.

Karol zamyślił się w milczeniu, potém rzekł:

— Słuchaj doktorze! opowiem ci jedno z moich doświadczeń nad pająkami.

Wiesz, że pająki nie chodzą po wodzie. Otóż raz nalałem wody w miednicę, zrobiłem krążek drewniany z pręcikiem przymocowanym prostopadle do jego płaszczyzny, i puściłem na środek wody jak czółenko z masztem; na wierzch tego masztu, posadziłem pająka, i zacząłem obserwować, co téż zrobi w tym przypadku? Pająk zszedł naprzód na dół po pręciku; lecz zobaczywszy wodę, wrócił nazad, kręcił się długo we wszystkie strony na szczycie masztu, jak gdyby wypatrywał drogę ratunku, nareszcie zaczął snuć z siebie pajęczynę, uformował z niéj maleńki kłębek, rzucił go łapkami na brzeg miednicy, i po téj nitce co tchu uciekł. Czy wierzysz temu?

— Zupełnie wierzę. Wszak często można widzieć pająki w sitowiu nad wodą. Musi być tym samym sposobem przechodzą z jednéj rószczki na drugą.

— Otóż widzisz, doktorze, ten pająk był mędrszy odemnie, bo on potrafił uniknąć zimnéj wody i wyratował się własnemi siłami, a ja przy całym moim rozumie nie umiałem wysnuć sobie z serca nitki pokoju i zbawienia.

— Mój Karolu! rzekłem z westchnieniem, powinieneś dziękować Bogu, że przy takim braku czucia nie stałeś się złym i występnym człowiekiem.

Zdrowy rozum pomógł niewiele, rzekł Karol, uczucie honoru także. Ustrzegłem się występków, ale bez zasadniczego czucia nawet dobre moje uczynki nie miały w mojém przekonaniu żadnéj ceny. Bo widzisz, naprzykład kiedy spotykałem ubogiego, nie odmawiałem mu wprawdzie jałmużny, ale dawałem pieniądz obojętnie, jak zapłatę robotnikowi, myśląc tylko o tém, żeby się jak najprędzéj odemnie odczepił; zrobiłem nie jednemu przysługę, ale mnie to zawsze nudziło; pożyczałem pieniędzy bez kwitu, mniéj dla tego, żeby dopomódz, jak żeby doświadczyć uczciwości ludz-

kiéj; litowałem się nieraz nad nędzą, płakałem nawet, ale tak samo, jak nad czułą książką, to jest, chwilowo, z drażliwości nerwów, a nie z czucia. W kwandrans po łzach mogłem się śmiać do rozpuku.

Milczałem, rozmowa się ucięła.

— Ty się nudzisz, rzekł Karol po chwili, a ja czuję w sobie dziwny popęd do gawędki. Powiedz mi, jaki przedmiot najwięcéj cię może zająć?

— Twoja historja, rzekłem, wszak ja nie wiem wcale, co się z tobą działo od 12 lat.

— Moja historja! Czyliż cię jeszcze nie znudziłem wywnętrzaniem się? Wiesz najważniejszą część mojéj biografji, to jest, moralną fizjognomię życia; pocóż ci przepatrywać łachmany działalności, które czas nakładał na mnie? Gdybyś chciał napisać o mnie powieść, grosza nie byłaby warta. Temi czasy, dręczony po nocach bezsennością, spisywałem z nudów niektóre wspomnienia mego życia. Tu, pod stołem, w tym koszu, między śmieciami, leży moja ramota. Jeśli cię bierze ciekawość, możesz sobie jutro wygrzebać te szpargały i przeczytać.

Ta okoliczność do szczętu zniszczyła gawędę, do któréj mieliśmy przystąpić. Karol przypomniawszy sobie nocne pisanie, a tém samém i życie, utonął w dumaniach. Czoło jego układało się stopniowo w fałdy, rysy twarzy skrzywiły się i oczy stanęły nieporuszone w orbitach. Widać było, że pamięć wywoływała w duszy widma przeszłości i na przekorę woli stawiała je przed sąd rozumu. Zapomniał zupełnie o gawędzie. Ja zaś, myśląc że się nareszcie oznajomię z historją brata, nie miałem żadnéj chęci odnawiać rozmowy. Tak upłynęło dość czasu w zobopólném milczeniu; nareszcie Karol przerwał je, zawoławszy na mnie: — Weź prędzéj te śmiecie, bo je każę spalić.

Kiedy wziąłem kosz z papierami, dodał: Znajdziesz bez wątpienia zbyt otwarte wyznanie. Tylko samotne dumy umierającego bywają tak nielitościwie szczere. Póki człowiek daleko od grobu, to zawsze albo się zanadto chwali, albo zbyt się gani, co zresztą na to samo wychodzi, tylko jedno jest napisane białemi literami na czarnym papierze, a drugie czarnemi na białym.

SZPARGAŁY KAROLA.

1. Kozienice.

Ktoby chciał mieć pojęcie o Kozienicach, niechaj sobie wyobrazi ogromny plac niebrukowany i błotnisty. To jest rynek i forum sławnego miasteczka, na którym komercja i wymowa równie doskonale się produkują. Trzy strony tego placu ostawione są rzędem nędznych chałup, zdaje się dla tego tylko, żeby w lecie nie było widać żyta rosnącego za miastem. Na rogu ostatniéj strony, w kącie, stoi napół zbutwiały drewniany kościołek w cudownéj prostocie pierwszych wieków chrześcijaństwa. Obok niego, dobrzy ludzie, podług staropolskiego zwyczaju, wybudowali karczmę, która ma wcale niezłą minę. Nareszcie pozostałe miejsce zajmuje stary pałac, niegdyś, jak mówią, królewski, a dziś Panteon całego powiatu kozienickiego, i mieszkanie pana naddzierżawcy. Na środku rynku kurdygarda, a za domami, za stodołami, we dwóch różnych kierunkach dwie muzykalne kolonje: poczta na Staréj Wsi i hamernia za kierkutem — trąbka i kociel. Cóż więcéj powiedzieć o sławném mieście? chyba to, że ma piękne *campo vaccino*, nieustępujące rzymskiemu, i że arystokracja kozienicka nosi kalosze równo ośm miesięcy w roku, rachując i zimę. Kto nie ma funduszu, może zbankrutować albo oszaleć od kataru.

Ilu też to sławnych mężów mieszkało w tém mieście za moich czasów! Jeśli pamięć ich zaginie w potomności, to chyba dla tego tylko, że nie znajdą dla siebie jakiego Plutarcha. Cóż to za majestatyczną figurę miał p. naddzierżawca, kiedy w święto ustroił się w bóty z ostrogami! A pan burmistrz, stary ułan w municypalnym mundurze? a pan podsędek, o egzystencji którego tyle tylko wiedziano, że pojął w małżeństwo panią podsędkowę? a pan sekretarz? a pan pisarz? a pan kassjer o którym mówili żydzi: — Hersztu! uf! u tege jegimości pod ciapkiem dwa rozumy! — a nareszcie pocztmistrz, oryginał na cały powiat! Tego poczciwca gołębie zrobiły półgłówkiem. Zakochał się tak mocno w tém ptastwie, że mu do 50 lat nie zostało ani chwili wolnéj dla wybrania sobie żony, i wystarczyło mu to, że go kochały gołębie. Sekretarz odprawiał i przyjmował pocztę, domem rządziły dwie siostrzenice, Katarzyna i Tekla, a pocztmistrz cały dzień siedział z gołębiami, albo marzył o nich. Niemłody już wiek i silna namiętność spowo-

dowały go wyprowadzić ulubione swoje istoty z gołębnika, do którego trudno było włazić, i który z czasem stał się zbyt ciasnym dla mieszkańców. Pocztmistrz zostawił sobie jeden pokoik, siostrzenicom trzy, przejeżdżającym dwa, a zostające trzy pokoje przemienił w gołębnik. W tych pokojach ponastawiał mnóztwo klatek z rozmaitego rodzaju krajowemi i zagranicznemi gołąbkami, z których każdy miał nazwisko wzięte zwyczajnie ze starożytnéj historji. I wtedy zaczęło się jego szczęście. Gołębie wprawdzie nie tak dobrze się hodowały, jak w gołębniku, ale za to pocztmistrz miał wszystkie drogie istoty blizko siebie. Ognisko jego życia i życia całego domu, bo za jego przykładem wszyscy się zgołębili, było w tych pokojach. Dla większego porządku pocztmistrz karmił swoje gołębie w pewne godziny. Codzień rano, ledwo przetarłszy oczy, szedł do nich, za nim z tyłu panna Katarzyna z woreczkiem i panna Tekla ze świeżą wodą. Trzy stare baby, specjalnie przeznaczone do hodowania gołębi i nierozdzielne ich towarzyszki, spotykały go na progu, szczebiocząc ostatniéj nocy nowiny: — Jegomość! wiesz jegomość co się stało? a dyć Kleopatra zniosła jajko o pół do pierwszéj. — Jegomość! Fabjusz gruchał całą noc tak żałośnie, że aż mi łzy ciekły z oczu. — Jegomość! Minerwa musi mieć niestrawność żołądka, i t. d. Pocztmistrz zapisywał sobie ciekawsze nowiny. Siostrzenice biegły powitać faworytów, fukały na baby za nieporządek, odświeżały wodę i pokarm, i nakoniec wszyscy wychodzili. To samo powtarzało się w południe i wieczorem. Zresztą pocztmistrz był dobry, gościnny człowiek, i przyjaciel każdego, kto lubił gołębie. Panna Katarzyna była już niemłoda i szpetna; Tekla miała około 18 lat, czerstwa dziewczyna, rumiana, tłusta, niezgrabna, miała czerwone ręce, i zamiast nóżek, stępory. Obie naiwne, proste, szczebiotliwe parafjanki. Kiedy chciały zrobić wielki effekt, zaczynały mówić o zagranicznych gołębiach. Każdy młody podporucznik, przybywszy do baterji kwaterującéj w Kozienicach, uczył się na poczcie abecadła romansowego, zabierał wiadomości o wszystkich pannach w okolicy, a potém nielitościwie porzucał swoje nauczycielki. Poznajomiłem się z pocztmistrzem i jego siostrzenicami; słuchałem cierpliwie wszystkich wiadomości o gołębiach, bywałem w gołębich pokojach, i przypadłem do gustu wszystkim, a szczególniéj pannie Tekli. Nie podobało się to cokolwiek Katarzynie, może dla tego, że mój affekt uważała z pochlebnéj strony i chciała go mieć dla siebie, a może dla tego tylko, że jeszcze nie byłem oficerem, a zatém nie mogłem ofiarować

ręki jéj siostrze. Tekla była pewną, że mnie nie miną szlify, i nie widziała żadnéj przeszkody dla swéj miłości. Co do mnie, to po samotniczém uniwersyteckiém życiu, nie mając żadnéj śmiałości do kobiét lepszego wychowania, byłem niezmiernie szczęśliwy z tego, że mi się udało znaleźć pannę, co mnie kochała. Prawda, że trzeba było mieć tak gorącą wyobraźnię, jak moja, żeby się niezrazić pospolitą postacią Tekli, a szczególniéj jéj nieoświeceniem. Zresztą rumiane i czerstwe lica téj parafjanki nie były bez powabu, a nieoświecenie darzyło mnie taką szczerością wyznań, takiemi pasterskiemi sentymentami i naturalném obejściem, jakich późniéj nigdy już nie spotykałem. Inne panny kozienickie patrzyły na mnie z ukosa, rachując w myśli, wiele lat mi zostawało do podporucznika, traktowały mnie cóś nakształt studenta, co okropnie obrażało moję miłość własną, i tyle miały nademną towarzyskiéj wyższości, że nie śmiałem do żadnéj z nich przystąpić. Cóż to za szczęście w takiém położeniu mieć osobę, która nas kocha, nie umie skryć tego przed światem, kompromituje się na każdym kroku, rumieni się i znów strzela tą samą kulą! Kiedy dostrzegałem tego w towarzystwie, serce mocniéj mi kołatało w piersiach, byłem szczęśliwy, spoglądałem dumnie na wszystkie młode kobiéty, jak gdybym im chciał powiedzieć:—Patrzcie! oto jest jedna z waszéj płci, co mnie kocha. Na nieszczęście, ten tryumf nigdy nie trwał długo, bo Tekla, jakby ją zły duch kusił, zaczynała prawić o jajku Kleopatry, albo o melodyjném gruchaniu Junony, albo śmieszyła wszystkich parafjańskiemi konceptami. Mówiłem jéj często o potrzebie ukształcenia umysłu. Biedna dziewczyna wytrzeszczała na to oczy, nie pojmując, czegoby jéj brakowało. Czytałem jéj powiastki, sądząc, że się w niéj obudzi uczucie o przyzwoitym tonie — gdzie tam! nie mogła ich nigdy zrozumieć, i skarżyła się, że jéj głowę mącę. Czytałem jéj wiersze, w nadziei, że pojmie poezję i podniesie się cokolwiek z płaszczyzny — próżna rzecz! moja płomienna deklamacja w dzień doprowadzała ją do ziewoty, a wieczorem do snu; a kiedy jéj wyrzucałem oziębłość, płakała i mówiła mi, że jéj nie kocham. Słowem, wszystkie moje usiłowania, żeby okrzesać tę dziewczynę, upoetyzować, ociosać z grubej kory i zrobić podobną do idealnéj mojéj kochanki, zostały bez najmniejszego skutku. Rozpacz mnie brała, nudziłem się heroicznie, lecz nie opuszczałem Tekli, bo ona reprezentowała mi w owéj chwili całą płeć kobiécą, bo pomimo nieokrzesania téj ołowianéj istoty, mogłem sobie powiedzieć codzień, że jest na świecie kobiéta, która mnie kocha

z całéj siły swego serca. Zostać bez takiéj osoby zdało mi się stokroć okropniejszém, jak widzieć jéj niedołężności. Nie mogąc kochać, chciałem przynajmniéj być kochanym. To było dla mnie ważniejszém nad wszystko. Jakkolwiek bądź, długo nie można było wytrwać w takiém fałszywém położeniu względem samego siebie; prędzéj lub później trzeba było spodziewać się albo zupełnéj we mnie oziębłości, albo tak silnego przyzwyczajenia, żeby mi się mogło wydać uczuciem. Tak też się stało.

Raz pod wieczór w jesieni opanowały mnie na kwaterze okropne nudy. Książki nie mogły mnie zająć, do pisania nie miałem ochoty, fajka wydawała mi się nad miarę gorzką — co tu robić z sobą? — pójdę na pocztę, pomyślałem sobie, nie dla tego, żebym się spodziewał znaleźć wesołość na poczcie, ale tak prosto, z fantazji. Wyjrzałem przez okno — deszcz, szaruga na dworze, błoto okropne na rynku, nawet w kaloszach niepodobna było przebrnąć na Starą Wieś. — Trzeba zostać w domu, — rzekłem sobie z rezygnacją, ale jakiś zły duch, naprzekor rozumowi, ciągle mi szeptał, że na świecie nie ma nic niepodobnego, dręczył mnie bez ustanku i wypędzał z kwatery. Wynajdowałem sobie tysiąc argumentów przeciw własnéj chęci, lecz chęć była tak dziwacznie uporczywa, że obalała wszystkie argumenta. Nareszcie, nie mogąc dłużéj wytrzymać, wziąłem gospodarską szkapę i oklep na niéj pojechałem przez plac prosto na pocztę. Pocztmistrz i panna Katarzyna niemało zdziwili się nad moją wizytą, w taką pogodę, kiedy, jak się mówi, i psa kijem nie wypędzisz na ulicę. Panna Tekla była niezmiernie uszczęśliwiona; zdało jéj się, że to był najpotężniejszy dowód prawdziwéj miłości. Spostrzegłem nieumiarkowaną radość w jéj oczach, i to mnie rozgniewało.— Ona sobie wyobraża, żem ja dla niéj zrobił takie szalone głupstwo, pomyślałem oburzony i dodałem w duchu: — byłoby też dla kogo! — Od téj chwili wpadłem w zły humor. Wszystkie przymilenia się Tekli nie trafiały do mego smaku. Zacząłem analizować jéj rozumek, serduszko i postać, i odkryłem wszędzie miljony płaskich niedołężności. Całe rusztowanie romansu, któreśmy wspólnie stawiali przez kilka miesięcy, upadło pocichu w jednéj sekundzie, i to dla tego, że mi przyszła fantazja w szarugę i słotę przebrnąć na szkapie przez kozienicki rynek!... Cały wieczór ziewałem straszliwie; nie poszedłem z familją do gołębi i nie odpowiadałem na pytania Tekli. Biedna dziewczyna nie mogła pojąć, co się ze mną stało, i nic dziwnego – ja sam tego nie rozumiałem!

Od tego czasu byłem dla niéj coraz więcéj obojętny, coraz zimniejszy; wizyty moje stawały się coraz rzadsze i krótsze; nakoniec przestałem bywać. W miasteczku każda drobnostka rozchodzi się za pomocą plotek i mocno wszystkich zajmuje. Z początku mówiono o tém między sobą, potém zaczęto robić domysły, nareszcie znajomi dawali mi tajemnicze pytania, badali i naprowadzali na to żeby się dowiedzieć, dla czego porzuciłem Teklę? Spostrzegłem, że reputacja dziewczyny może na tém wiele ucierpieć; sumienie wyrzucało mi moje dziwaczne postępowanie; wpadłem w egzaltację zadość uczynienia, i w téj chwili gotów byłem ożenić się z Teklą. Przepędziłem kilka dni w jakiémś drażliwém marzycielstwie, płakałem, przypominałem sobie w czarujących kolorach obrazy naszych miłostek, i nareszcie wybrałem się na pocztę. Biegnąc, myślałem o tém, że Tekla spotka mnie wyrzutami, będzie się gniewała, płakała.... i już chciałem wrócić do domu z obawy nudnéj sceny, wtém spotkałem pocztmistrza. Był smutny, zmieszany, mówił nie do rzeczy, i co mnie najwięcéj zdziwiło ani wspomniał o gołębiach.

— Co to znaczy? rzekłem mu, że pan jesteś jakoś nie w swoim humorze?

— A cóż to ma znaczyć, odpowiedział mi, smutek, zgryzota, nic więcéj. Moja Teklusia mocno słaba. Gdybym mniéj znał wpana, sądziłbym, że jéj powiedziałeś jaką niegrzeczność, bo w gorączce kilka razy skarżyła się na ciebie. Adieu! idę po doktora.

Ta nowina o niebezpiecznéj chorobie Tekli, zamiast smutku i litości, wzbudziła we mnie niewypowiedzianą radość. Byłem szczęśliwy, niezmiernie szczęśliwy! myślałem tylko o tém, jak mocno mnie kochała Tekla. — Choruje z miłości, mówiłem sobie, bredzi w gorączce, może umrze? o nie, nie umrze! ja ją wyleczę.

Tegoż samego wieczora napisałem do niéj długi miłosny list, na zimno wyjęty z głowy, ale pełen ognistych wyrażeń namiętnego czucia. Oddałem go służącéj, ażeby wręczyła ten talizman choréj, jak tylko gorączka cokolwiek ustanie.

Za tydzień Tekla już była tak zdrowa, że ją mogłem odwiedzić. Nikt nie pojął tego dziwu, a doktor zyskał kolosalną reputację w całym powiecie.

Romans nasz zaczął się nanowo, ale niestety! co nie wychodzi z serca, nie może się długo sercu podobać. Odświeżone miłostki podobne są do odgrzanych potraw. Pieszczoty Tekli, które przedtém nudziły mnie, teraz stały się dla mnie nieznośnemi. Ta dziew-

czyna obmierzła mi zupełnie. W każdém jéj słowie widziałem niedorzeczność, w każdém poruszeniu niezgrabność, w każdém wywnętrzeniu płaskie uczucie, lub parafjaństwo. Starałem się wszelkiemi sposobami odstręczyć ją od siebie, byłem niegrzeczny, zimny, szydziłem z niéj i uniżałem, wszystko to było bezskuteczne! Widziałem nieraz łzy w jéj oczach, ale nie mogłem się doczekać najmniejszego wyrzutu, któryby mógł posłużyć za przyczepkę do formalnego rozerwania naszego związku. Mogłem wprawdzie przestać bywać w domu, ale nie chciałem robić tego stanowczego kroku, pragnąc, żeby Tekla sama wszystko stargała. Próżno! ta dziewczyna miała kamienną cierpliwość! Żeby mnie kochać, dość jéj było widzieć mnie kiedy niekiedy przy sobie i słyszeć mój głos, chociażby z ust moich wychodziły sarkazmy. Nie wiedziałem co począć z sobą i jak wszystko zakończyć. Okoliczności wybawiły z kłopotu. W najkrytyczniejszym czasie, kiedy Tekla kochała mnie bez miary, a pocztmistrz zaczynał zlekka napomykać o małżeństwie, przeznaczono mnie do drugiéj baterji, trzeba było wyjechać z Kozienic.

Nie posiadałem się z radości. Jedna tylko myśl naprowadzała małą chmurkę na mój umysł: trzeba było czule pożegnać się z Teklą, bo z tysiąca powodów, a chociażby tylko z litości, wypadało mi pokazać jéj żal, nawet rozpacz; wypadało udawać, a każde udawanie było dla mnie obrzydliwą operacją.

Poszedłem na to fatalne pożegnanie. Wieczór był pogodny, Tekla siedziała smutna w ogrodzie. Wszystko w naturze zdawało się sprzyjać solenności téj rozłąki. Zachodzące słońce za gęstwiną drzew cudownie iskrzyło się złotem i purpurą, powietrze tchnęło wonią kwiatów, ptaszęta świegotały wieczorną piosenkę, i blady księżyc zwolna wstępował na niebo, jak anioł zwiastujący pokój. Widziałem to wszystko, byłem zdolny napisać poetyczny obraz tego wieczora i pożegnanie z kochanką, ale w sercu nie czułem żadnego wzruszenia. Przywitawszy się dość obojętnie z Teklą, zacząłem spacerować po ogrodzie, mówiąc o fraszkach, a myśląc nieustannie o tém, jakby jéj przyzwoicie powiedzieć ostatnie „bądź zdrowa!“ Biedna dziewczyna prowadziła mnie od jednego kwiatka do drugiego, i wszędzie zostawiła łzę na pamięć naszéj rozłąki. Wymogła na mnie przyrzeczenie, że będę do niéj pisywał długie, długie listy. Musiałem jéj sto razy powtórzyć, że będę stałym, że się jeszcze zobaczémy i t. d., jak to zwyczajnie bywa przy każdém pożegnaniu kochanków, prawdziwych, a szczególniéj tych, co

siebie oszukują. Nareszcie pocztmistrz i panna Katarzyna przyłączyli się do nas. Ton rozmowy spadł na kilka oktaw niżéj. Pożegnaliśmy się, wylewając łzy z oczu, a natomiast lejąc wino do gęby. I wyjechałem, i zapomniałem o wszystkiém.

Po przyjeździe do nowéj baterji, doszło mnie przez rozmaite okazje kilka listów od Tekli. Nie wiem co tam pisała, bo żadnego z nich nie czytałem. Nakoniec we dwa lata po naszéj rozłące powiedziano mi, że Tekla, wypłakawszy sobie oczy, straciwszy wzrok i zdrowie, wstąpiła do klasztoru.

Z całéj téj historji robię dziś tylko dwa wnioski: naprzód, że siła miłości wcale nie zależy od oświecenia i towarzyskiego poloru, i powtóre, że wzajemność nie koniecznie potrzebna dla tego, żeby kochać.

A! przepraszam! jeszcze można dodać jednę uwagę: że kochanek Tekli był nikczemny i niegodziwy człowiek!

Świetlikowa Wola.

Przykro, o, boleśnie suchotnikowi przypominać sobie w nocnych dumach i tęsknotach czasy młodzieńczych zapałów, chwile energiczne, wyłączne w życiu! Widać, że tylko zdrowi ludzie mogą z przyjemnością rozpamiętywać majową cząstkę swojéj przeszłości, i bawić się tém wspomnieniem, i płakać z rozkoszy, i ożywiać łzami skrzepłe serce. Biada suchotnikowi! wszystko go nudzi, dręczy, boli; nie potrafi zebrać wianka z najpiękniejszych cząstek swego istnienia, bo jedne kwiatki chłód dawno zwarzył, drugie skwar spalił na popiół, inne wicher zerwał ze szczebla i rozrzucił w różne strony. Gdybym miał przyjaciela, nie odważyłbym się opowiedzieć mu najpoetyczniejszéj mojéj miłości, bo-by może zasnął pod końcem powiastki.

A wszakże kochałem Marję! widać, żem ją kochał niezmiernie, bo dziś, kiedy wszystkie inne kobiéty stoją mi w wyobraźni, jak drewniane bałwanki, jéj obraz miga mi się w duszy, jak anioł na chwilę wywołany z raju dla pociechy nędzarza. Natura wylała tę kobiétę w jakąś odrębną formę. Nie była to piękność, ale jedna z tych kobiét tak delikatnéj budowy ciała, tak lekkiéj i strojnéj postaci, z takiém słodkiém, a razem smętném wyrażeniem twarzy, że pierwszy raz spojrzawszy na nią, człowiek nie zwraca uwagi na żaden szczegół, lecz, uderzony całością obrazu, wpada w rodzaj zdumienia, i gotówby ją przyjąć za istotę nieziemską, nadpowietrzną,

widzianą we śnie. Tylko baczniéj przypatrzywszy się Marji, można było zauważać czarne sploty włosów, dziwnie ocieniające piękne, bielutkie czoło i niebieskie oczy; można było spotrzedz rzymski profil twarzy, śliczne usta, podobne do róży rzuconéj na śniegu, szyję łabędzią, rączkę, nóżkę!... ale co to gryzmolić? na to trzeba pędzla! Nie ma nic zimniejszego, nad opisanie kobiéty. Śmieszna rzecz! jak téż to nikomu nie przyjdzie do głowy, że opisywać można tylko machiny, domy, sadło i węgiel kamienny. Szkoda czasu, kiedy kto chce piórem dać pojęcie o żyjącéj istocie.

W parę tygodni po moim przyjeździe, dowódzca i kolledzy wybierali się do *Świetlikowéj Woli* na imieniny pani prezesowéj. Nie byłem jeszcze znajomy z tym domem, ale półkownik bez ceremonji wziął mnie z sobą, jakkolwiek mu się wymawiałem, że mi nie wypadało z pierwszą wizytą jechać na fetę familijną; zresztą, w skutek staroplskiéj gościnności i siana, które baterja kupowała corocznie u pana prezesa, przyjęto mnie jak najlepiéj. Prezes ścisnął mi rękę, jak gdyby chciał kość w niéj złamać, a pani prezesowa, zrobiwszy najmilszy grymas, na jaki mogła się zdobyć w starości, rzekła mi przez nos *en guise de compliment:* Taki młody i już oficer!

Kiedy mnie nareszcie puszczono, rzuciłem wzrok na salę godową. Było mnóztwo gości, z których nie znałem ani jednéj duszy. Młodzież stała na warcie koło panien; podeszłe kobiéty siedziały z gospodynią, nadęte jak kokosze, i ukradkiem spoglądały na swoje kurczątka; mężczyzni, rozdzieliwszy się na kółka, dysputowali *ad libitum* o różnych przedmiotach. Serce ciągnęło mnie do panien, ale wrodzona nieśmiałość szeptała mi do ucha, żeby przystąpić do tego aktu ostrożnie i stopniowo; poszedłem więc szukać wprzód dla siebie rozmowy między kółkami rozprawiaczy. Minąłem żyto, propinację, ciężkie czasy, gazety, karty, wino i t. d., nareszcie słucham, aż tu w ostatniéj gruppie prezes rej wiedzie i rozmawia o polowaniu. Ha! pomyślałem sobie, trzeba się przyłączyć do myśliwych. Wprawdzie niewielki ze mnie był myśliwiec, bo mi się nigdy nie udało nawet wróbla zabić z flinty, ale dzięki Bogu czytałem kilka naszych historycznych powieści, (a wiadomo, że u nas główne pierwiastki tych powieści są: łowy i pijatyka; jak tylko te są, to i powieść niezawodnie narodowa, historyczna, a bez tego nie ma ani histrji ani narodowości); mogłem więc rozprawiać o o polowaniu, i rozprawiałem tak doskonale, że pan prezes odstąpił mi prawo prezesowania między myśliwymi, i zamówił sobie to-

warzystwo moje w lesie. Brawo! pomyślałem sobie, widać, że nasze historyczne powieści mogą się jednak na cóś przydać. Prezes tak był zachwycony moją gadaniną, że mnie porwał za rękę, i przyprowadziwszy do żony, rekomendował jako myśliwca pierwszéj klassy. Zacna kobiéta nałożyła na nos okulary, żeby mnie lepiéj rozpatrzyć, i znów rzekła z zadziwieniem: Taki młody! Wszystkie matrony patrzały na mnie miłemi oczyma, i to mnie już zaczynało nudzić; w tém pani prezesowa, odwróciwszy się nieco w stronę, mrugnęła lewém okiem; natychmiast z grona dziewcząt podbiegła młoda panienka, z uszanowaniem nadstawiła uszko dla odebrania rozkazu, wysłuchała co jéj mówiono, zarumieniła się spojrzawszy na mnie, i odeszła. To była Marja.

Kiedy sobie teraz przypomnę tę niemą, chwilową scenę, rozpacz mnie porywa. Gdzie się podziało to czucie, które wtenczas paliło mi serce? Miałem go w owéj chwili zanadto, a dziś nic mi nie zostało, jak szulerowi, który się zgrał do grosza. Pamiętam, kiedy Marja odeszła, stałem kilka minut jak wryty; jakieś dziwne wzruszenie, rodzaj rozkosznéj wibracji nerwów lub omdlenia, wychodząc z serca, przejmowało całą moję istotę: potoki ognia płynęły przez wszystkie arterje, burząc krew i pędząc gwałtownie do mózgu; zrobiło mi się ciemno przed oczyma; lica moje gorzały; miljon myśli wichrzyło się w umyśle, a nie miałem żadnego pojęcia, byłem jak pijany, jak gorączkowy marzyciel, któremu się zdaje, że śmierć owiała go swém skrzydłem i bramy raju rozwarły się dla niego. Pani prezesowa spytała mnie o cóś, odpowiedziałem nie do rzeczy; wszyscy się rozśmieli, i to mnie przyprowadziło do przytomności. Przy obiedzie dostało mi się miejsce naprzeciw Marji. Ówczesna nieśmiałość moja do kobiét nie dałaby mi zapewne wiele skorzystać z tego trafu; ale sąsiad mój tak gorliwie dolewał mi wina, że nareszcie znalazłem śmiałość na dnie kieliszka. Nie przebrawszy miary, stałem się tylko gadatliwym; a ponieważ chciałem się podobać, więc mowa moja była zaprawiona dowcipem i ożywiona poezją. Po twarzy Marji widziałem, że słowa moje nie padały na opokę.

Wieczorem, kiedy zabrzmiała muzyka, stanąłem już śmiało przy Marji i po każdym tańcu wraz zamawiałem na następny. Było to nieprzyzwoicie, po studencku, przyczepić się tak do panienki z pierwszego razu, ale nie mogłem postąpić inaczéj. Taki to już mój charakter. Gdybym był drugi raz w tym samym przypadku, zrobiłbym toż samo. Nie zważałem nawet na to, że, chociaż Marja

z grzeczności nie odmawiała mi żadnego tańca, ale ją to widocznie kosztowało wiele wysilenia. Wkrótce sama prezesowa dostrzegła niezwykłe utrudzenie na jéj twarzy, podeszła do mnie i rzekła łagodnie: Pozwól pan odpocząć mojéj córce. Ona takiego delikatnego zdrowia, że ciągły taniec mocno jéj szkodzi. Słowa te zmięszały mnie zupełnie, i nie wiem jakbym był wyszedł z krytycznego położenia, w które wpadłem przez swoję zapamiętałość, gdyby Marja nie rzekła matce spokojnym głosem, że bynajmniéj nie jest zmęczona tańcem. To mnie ośmieliło. Zacząłem żartować. Prezesowa odeszła dość smutna. Wtedy zacząłem się usprawiedliwiać przed Marją, ale nie dała mi o tém mówić i natychmiast przemieniła dyskurs. Nad rankiem rozstaliśmy się. Miałem dokładne pojęcie o granicach, do których doszły nowe moje stosunki; wiedziałem, że kocham i jestem kochany, chociaż o tém nie mówiliśmy wcale z Marją. Nasze serca powiedziały to sobie wtedy, kiedy milczały usta.

Gdyby ten szpargał wpadł w ręce kogo z tych, co słyną jako ludzie rozumni, uśmiechnąłby się ironicznie i pomyślałby sobie: Ot, tak to każdy młody chłopiec, pierwszy raz widząc pannę, wyobraża sobie z jakiejś tajemnéj rozmowy serca, że ona go niezawodnie kocha. Istotnie warto się śmiać z téj zarozumiałości młodych ludzi, ale téż wyznać należy, że kiedy się zejdą dwie dusze proste, nieskrzywione jeszcze zepsuciem świata, niewypalone jego sztucznemi ogniami, to słowa są im najmniéj potrzebne dla pojęcia tego, o co im najwięcéj chodzi.

Z wielkim moim żalem nad ranem trzeba było iść spać, bo ja chciałbym był, żeby te imieniny ciągnęły się sto lat bez przerwy. Dla młodzieży przygotowano spoczynek w officynach, po kawalersku, to jest, na słomie. Spać natychmiast nikt nie myślał, bo po zabawie młodzi ludzie mają zwyczajnie obfity przedmiot do gawędy, chodziliśmy więc po stancji z fajkami, plotąc cudne rzeczy o dziewczętach. Żartowano ze mnie, żem się po uszy zakochał.... Śmiałem się z tego tak naturalnie, że nie tylko uwierzono temu, ale niektórzy zaczęli mi przedstawiać nieprzyzwoitość bałamucenia panien. Jest coś takiego w mojéj naturze, że w każdéj chwili mogę twarz i rozmowę nakręcić tak, jak mi się podoba, i dla tego nikt jeszcze nie zbadał prawdziwych moich uczuć w tym czasie, kiedy z nim rozmawiałem.

Nareszcie wszedł służący rozbierać nas, i podał nam nowy przedmiot do wesołości. Wypytywaliśmy go o pannach; powiedział

nam, że jeszcze nie śpią, i że w ich pokoju daleko większy harmider, niż u nas. Ztąd zawiązała się gawęda, z której pamiętam tylko tyle, że służący mówił o Marji z jakimś szczególnym szacunkiem, przedstawił nam ją jako anioła dobroci, jako główną pocieszycielkę i opiekunkę wszystkich biednych we wsi. Nie było to dla mnie nic nowego, bo najmniéj doświadczone oko mogło z jéj twarzy wyczytać niewyczerpaną dobroć serca.

Około południa, kiedyśmy wstali, ten służący wszedł smutny, i powiedział nam, że Marja po zabawie zasłabła do tego stopnia, że pani prezesowa ani na chwilę nie opuszczała jéj łóżka, lecz w końcu zrobiło się lepiéj. Uczułem po czasie swoję nieroztropność; ale kolledzy moi byli w dobrym humorze, więc wkrótce rozweseliłem się, i poszliśmy do pani prezesowéj, która dała mi naprzód delikatną reprymandę, a potém kawy. Marja, nad spodziewanie moje, weszła do pokoju, blada, z widocznemi ślady cierpienia na twarzy. Zrobiło mi się niezmiernie smutno, widząc, że miłość moja z pierwszéj znajomości doprowadziła ją do choroby; przebąknąłem kilka słów przeproszenia, lecz nie dała mi dokończyć, zapewniając z lekkim uśmiechem, że nie taniec, lecz nieostrożne przejście przez chłodny korytarz było przyczyną jéj słabości. Wszystkie wspomnienia ubiegłego dnia odświeżyły się w méj duszy. Stałem na miejscu pogrążony w dumach i napawałem się obrazem Marji. I w téj chwili widzę ją przed sobą: cicha, łagodna, jak anioł; na czole lekki obłoczek tęsknoty, jak gdyby myśl niebieska pasowała się z ziemskiém niecstwem; nieśmiała, nieograniczenie uległa rodzicom, pełna prostoty ducha i dobroci, ale nie słabego charakteru, bo rezygnowana i pokładająca wszystkie swoje nadzieje w Bogu. To uczucie, które wznieciła we mnie, było tak czyste, jak miłość brata dla siostry, tylko podwyższona w swojéj sile do najdalszych granic potęgi serca. Ale cóż ja robię szalony? gęsiém że to piórem, na jakimś wyrobie z gałganów, można się wywnętrzyć z podobnych wspomnień?... Żal mi tego, co nagryzmoliłem... jednakże jest jakaś słodycz zbierać rozpierzchłe pamiątki dawnych.....

Kaszel przerwał mi pisanie. Otóż to co znaczy być nędznym, jak ja, suchotnikiem! Nie mogę spokojnie wysnuć z pamięci i wypisać tego, coby mi mogło ożywić zmartwiałą duszę; nie mogę napełnić bez przerwy małego szpargalika papieru swemi wspomnieniami!... Nitka się zerwała, natchnienie, jakie było, ostygło.

I cóż daléj? mówię sobie, i gniewam się, że dalszy ciąg

będę pisał na zimno, z głowy, bo ten niegodziwy kaszel wydmuchał mi wszystko, co się przed chwilą zebrało w sercu. Będę pisał krótko, węzłowato, jak rachunek z dłużnikiem.

Od tego czasu bywałem w Świetlikowéj Woli coraz częściéj, nareszcie stałem się prawie codziennym gościem. Obejście się moje z Marją nigdy nie doszło do zupełnéj poufałości. Rozmowy nasze bywały krótkie, i to o drobnostkach lub literaturze, nigdy o naszych stosunkach, naprzód dla tego, że prezesowa miała na swą córkę baczne oko i często nam przeszkadzała, potém z powodu zobopólnéj naszéj nieśmiałości, i wreszcie dla tego, że dosyć nam było widzieć się, żeby być szczęśliwymi. Dziś, oziębły suchotnik, nie wierzyłbym nigdy, żeby tego rodzaju zaloty mogły nie znudzić kochanków po tygodniu romansu! Raz tylko w życiu doświadczyłem takiéj platonicznéj, żadną ziemską myślą nieskalanéj miłości; ale wszakci i tego razu dosyć, ażebym nie wątpił o rzeczywistości uczucia, które wszyscy wyśmiewają. I ja dziś szydzę z młodych zapaleńców... szydzę bez miłosierdzia, bo mi żal, że już nie jestem zdolny do tych uczuć.

Miłość jest matką wynalazków. Nie mogąc rozmawiać otwarcie, znalazłem wkrótce sposób oddawać Marji bileciki i odbierać odpowiedzi. To listowanie miało w mych oczach tém więcéj wdzięku, że Marja mimowolnie folgowała moim życzeniom, i chociaż treść bileciков była zupełnie niewinna, jednak serce to proste nie mogło bez wahania się zrobić żadnego kroku skrytego przed rodzicami.

Tak bez żadnych szczególnych wypadków, bez zawichrzeń i przygód romansowych, miłość nasza trwała kilka miesięcy, rosnąc i krzepiąc się pod cieniem tajemnicy. Kolledzy, z częstych moich wycieczek do Świetlikowéj Woli domyślając się pobudki, żartowali ze mnie, i niekiedy pytali po przyjacielsku: co téż odkryłem osobliwszego *w téj bladéj dziewczynce?* Śmieszni ludzie! zdało im się, że panienka siedząca ze spuszczoném okiem, niewielomówna i nietrzpiotka, musi być koniecznie parafjanka!... Nie poznali jéj! bo żeby poznać tę anielską duszę, trzeba było również w milczeniu i prostocie ducha ją zgłębiać! To oko błyszczało jasnym promieniem, kiedy się spotykały nasze spojrzenia, albo kiedy słowa moje budziły w jéj duszy myśl wysoką, szlachetną, lub piękną; tę bladą twarz rumienił ogień zapału, kiedy mówiła o cnocie, religji, życiu przyszłém i nadziejach swoich na miłosierdzie Ojca niebieskiego. Myśl o lepszém życiu za mogiłą była ulubionym przedmiotem jéj

rozmowy. Pochodziło to częścią z jéj smętnego charakteru i słabowitéj organizacji, a częścią z cierpień moralnych, bo i ta czysta dusza nie była wolna od cierni żywota. Despotyczne obchodzenie się z nią matki, słabość ojca do kieliszka i jego nieoświecenie, nędza krewnych, którym rodzice nic dopomagali... a wreszcie sama nasza miłość, pozbawiona wszelkiéj nadziei, bo matka nigdyby jéj była nie wydała za biednego podporucznika, wszystko to boleśnie padało w czułe serce Marji.

Pewnego dnia zastałem ją nadzwyczaj smutną. Na wszystkie moje zapytania odpowiadała tajemniczo: później się pan dowiesz... Szczęście jest sen, i t. d. Rodzice jéj byli także zamyśleni i w złym humorze. Widziałem wyraźnie, że coś ważnego zdarzyło się w domu. Każde spojrzenie, rzucone na Marję, napełniało mnie trwogą, jakiémś błędném, nieokreśloném przeczuciem, że to są ostatnie chwile naszego związku, i że jakaś nieprzełamana siła oderwie ją odemnie. Wierzyłem ślepo w to przeczucie. Są przedmioty tak drogie dla nas, że bojaźń stracenia ich odkrywa nowe siły w duszy i odsłania nam cząstkę przyszłości. Przed samym wyjazdem odebrałem od Marji bilecik, pod warunkiem, ażeby go przeczytać dopiero w drodze. Oto jego treść:

„Chciałam zataić swoje troski, ale widzę, że przed tobą nie zdołam się na to zdobyć. Cierpię okropnie, chociaż to jest tylko początek téj męczarni, która mnie czeka. Gorzki kielich pić będę całe życie! Osoby, którym winnam dozgonny szacunek i posłuszeństwo, zmuszają mnie do kroku niszczącego jedyną nadzieję, jaką miałam na ziemskie szczęście. Wola ich święta dla mnie, dałam słowo. Łańcuch naszéj miłości pęka... chyba w niebie spoi go Ojciec nasz miłosierny! Bądź zdrów! mój miły! drogi! jedyny! Chciałabym cię osypać pieszczotami.... O! bądź szczęśliwy!... miéj litość nademną i nie przyjeżdżaj więcéj, bo jedno twoje spojrzenie mogłoby zniweczyć całą rezygnację, na którą się zdobyłam. Nie dawaj mi pochopu do nowéj walki, bo umrę pasując się sama z sobą.“

Rozpacz mnie ogarnęła. Chciałem się wrócić, prosić o rękę Marji, i gdyby mi jéj odmówiono, strzelać się z ojcem, zrobić tysiąc wyrzutów matce, zabić narzeczonego Marji. Bóg wie co mi przychodziło do głowy; wszystko burzyło się we mnie; byłem jak warjat!

Przyjechawszy do domu, padłem na łóżko, płakałem, rzucałem się jak szalony, przeklinałem mego rywala, prezesa, prezesowę,

całą noc oka nie mogłem zamknąć. Rano wybiegłem z domu, żeby się orzeźwić świeżém powietrzem, i trafunkiem spotkałem doktora.

— Cóż to jesteś tak niewyspany, blady jak trup? zapytał mnie.

— Daj mi opium, zmiłuj się! zawołałem, cierpię okropną bezsenność!

Doktor, po długim djalogu o szkodliwości opium, zapisał mi wreszcie pigułki dla używania co wieczór po jednéj.

Jak tylko mi je przyniesiono z apteki, połknąłem 15 od razu.

Sen, sen, straszny sen opanował mnie od tego niegodziwego zielska! tém straszliwszy, że mi została część przytomności. Pierwsze symptomata zastały mnie siedzącego na kanapie, i tak nagle odjęły mi władzę ruchu, że nie mogłem wstać i położyć się na łóżko, albo przynajmniéj obalić się na kanapę. Siedziałem więc nieruchomy jak bałwan, między snem i czuwaniem, z oczyma wpół otwartemi, które nie widziały tego, co było przedemną, a przeciwnie dostrzegały jakieś mary, wylęgające się bez przerwy w mózgu. Najobrzydliwsze potwory snuły się processjonalnie przedemną; całe piekło zbiegło się, żeby mnie dręczyć; szkielety przychodziły do mnie i dziwacznie wykrzywiając się, kłóciły się z sobą, kto z nich jest największym moim przyjacielem? jakieś larwy umizgały się do mnie i ciągnęły mnie do ślubu; trupie głowy i golenie leżały przedemną stosami i ruszały się jak mrówki w mrowisku; słowem, wszystko, co sobie można tylko przedstawić najokropniejszego, wszystko to wymarzyłem pod wpływem tych przeklętych pigułek. Ale dziwna rzecz! w tym wątku cierpień, najprostsza fantazja sprawiła na mnie najokropniejsze wrażenie; tak to wszędzie, nawet w snach szalonego pijaka, opium, prostota, sprawuje największy effekt! Zdało mi się nic więcéj, jak tylko, żem spadał głową na dół w jakiéjś przestrzeni, która nie miała granic z żadnéj strony; lecę w dół... lecę, nie widzę gdzie mam upaść, bo przestrzeń, w któréj spadam, nie ma końca, nie ma dna; czas płynie, długo, długo, ja lecę, jak kamień rzucony w bezdenną przepaść.., a w około mnie nie ma żadnego przedmiotu, nie ma dna, tak, jak patrząc na niebo, nie widać wierzchu... a ja lecę jak strzała, jak kula armatnia, i głową na dół, okropnie!.. W całym poemacie Danta niemasz nic, coby można porównać z tém cierpieniem!.....

Chorowałem potém kilka tygodni. Jeszcze w czasie choroby powiedziano mi, że prezesowie wyjechali z córką do Warszawy skupować wyprawę.

Kiedy przyszedłem do zdrowia, dano mi komenderówkę. Poruczenie które odebrałem, utrzymywało mnie kilka miesięcy w ciągłym ruchu. W podróży, kłopotach i życiu czynném, uspokoiłem się nieco. Kiedy wróciłem do baterji, Marja była już za mężem!...

Widziałem ją raz w towarzystwie. Nie chciałem się zbliżyć do niéj, żeby nie zapłakać; lękałem się wdać w rozmowę z rodzicami, żeby gniew nie podszepnął mi gorzkich sarkazmów. Jedno jéj spojrzenie zatrzymało całą burzę, która zaczynała się zbierać w mém łonie.

Tę władzę jéj nademną rachuję za największy dowód prawdziwości mego przywiązania. Patrząc na tę młodą, słabą i cierpieniem znękaną kobiétę, która z taką rezygnacją poddawała się wyrokom Opatrzności, tłumiłem w sobie burzliwe popędy, i dziwiłem się, widząc siebie słabszym od Marji. Wkrótce potém przeniesiono mnie do innéj baterji. Człowiek jest tak nędzny, że nic długo nie pamięta, w żadném uczuciu długo nie wytrwa. Szczęście i niedola prędzéj lub późniéj ulatniają się z serca, zostawiając pustotę, którą życie codzienne czém innem napełnia. I ja powoli zapomniałem o Marji, a biedna Marja pamiętała o mnie do grobu! Powiedziano mi, że w czasie wojny, czytała codziennie gazety, i znalazłszy raz moje imię w spisie ranionych, upadła z krzesła i zemdlała....

Rachuję to za szczęście, że jéj potém nigdy nie widziałem; bo gdybym zobaczył, możebym się był z nią znudził i stracił to marzycielskie wspomnienie, na którém nieraz zatrzymywałem się z rozkoszą, które dotąd lubię odświeżać w duszy.

Kilka wspomnień.

Gdybym mógł sobie powiedzieć, że nie cały umieram, gdybym zostawiał jakiś trwały ślad po sobie, ta myśl mogłaby mnie nieco pocieszyć w męczarniach suchotnictwa; ale cóż po mnie zostanie?... nic, nic zgoła! Opuszczę ziemię, jak włoski lazzarone to miejsce, na którém leżał w łachmanach i grzał się na słońcu. Za chwilę po jego odejściu kto pozna, że na tém miejscu leżał włóczęga?...

Kiedy umiera nawet taki lazzarone, zostają po nim wdowa i dzieci, albo przyjaciel, albo towarzysz szubrawiec, jak i on, i ktokolwiek z tych biedaków pazurami wygrzebie mu mogilę gdzie bądź na brzegu morza, i przychylną dłonią rzuci mu garść piasku

na oczy, westchnie, może zapłacze, i pomodli się za grzeszną duszę; a mnie i to nie zostaje. Ja umrę, i śmierć moja nikogo nie zasmuci. Oprócz urzędu municypalnego, który mnie każe pogrześć, nikt o tém wiedzieć nie będzie.

Gdyby jaki Filistyn z koterji literatów marzycieli dowiedział się, że ta myśl mnie trapi, rzekłby mi zapewne: Ach! mój łaskawco! wszakci wszystkie gazety warszawskie żałośnie doniosą publiczności o zgonie tak znakomitego pisarza, jak wpan, i zostanie po tobie sława, zostaną utwory, które, jak nieśmiertelne córy Epaminonda, zachowają twe imię od zapomnienia. — Cha, cha, cha! prawda, mój Filistynie, istotnie zostanie po mnie jakaś tam drukowana ramota, dopóki jéj szczury nie zjedzą. Będą jeszcze parę lat egzystowały wierszyki na zimno sporządzone w mózgu, a które dla wielu z moich krytyków wydawały się tak gorącemi, że radzili szanownéj publiczności ogrzewać niemi swoje serduszka. Zostaną też powiastki, dziecinna zabawka nudnych chwil mego życia, pisane ziewając, słabe, nędzne w oczach majstra, który nad niemi majstrował, ale dzieci fortuny! bo się dosłużyły od prassy drukarskiéj walnych panegiryków!... Dziś nawet na wskróś już przesiąkły nudą, nudzę się jednak jeszcze na samo wspomnienie tych pochwał, które mi sypali godni moi recenzenci. Skąd im się wzięła ta admiracja?... nie z braku intellekcji, to pewna, bo wielu z nich byli ludzie z dobrą głową, ale.... a Bóg że ich wie zkąd?

Był czas, kiedy autorstwo miało postać tak poważną, że wszyscy patrzeli z uszanowaniem na drukowaną książkę. Zdawało się, że to jacyś nadzwyczajni ludzie ci, co umieją tak mądrze mówić; byli nawet tacy, co uważali autorów za rodzaj półbogów, którzy, żyjąc na ziemi, nie jedzą, nie piją, nie mają dzieci, a tylko książki drukują. Dziś namnożyło się tylu piszących, a szczególniéj tylu bazgraczy, że autorstwo nie tylko straciło swoję tajemniczą powagę, ale co gorsza, stanęło na równi z rzemiosłami. Nie długo okaże się zapewne potrzeba utworzenia cechu literackiego.

Jedyny sposób uszlachetnienia tego zawodu zostaje na rękach krytyki. Wszakci żeby rosła kapusta, trzeba z wiosny pleć w ogrodzie — czyniciż toż samo na niwie umysłowéj. Ale krytyka dzisiejsza, jest sobie dobra, ślepowata staruszka, która chodzi po ogrodzie, zatrzymuje się nad pokrzywą, i nie schyliwszy się dla opatrzenia jéj, mówi: — rośnij, rośnij ziółko! będzie z ciebie śliczny melon! — idzie daléj i polewa blekot, ciesząc się, że jéj rosną winne grona. Ta staruszka zatrzymywała się też kilka razy nad

mojemi ziółkami, ale zwyczajnie jak podeszła kobiéta, nie chciało jéj się schylić, nie spostrzegła, co w nich było dobrego, a co złego, i mruknęła tylko pod nosem: — Śliczna trawka.

* * *

Człowiek światowy utrzymuje, że żonę trzeba wybierać stosownie do swego położenia w towarzystwie; filozof każe wprzód zaglądać w serce i umysł dziewczyny, a potém decydować się na małżeństwo. Oba oni rachują. Prostaczek nie potrafi rachować, i dla tego nie robi zabiegów, żeby sobie znaleźć żonę, będąc przekonanym, że go nie minie ta, co mu jest przeznaczona. To zdanie, po części fatalistyczne, sprawdziło się na mnie. Raz w Warszawie kolega, z którym stałem na jednéj kwaterze, idąc na wieczór do swoich znajomych, Bóg wie zkąd zaproponował mi, żebym mu towarzyszył.

Nudziłem się wprawdzie na kwaterze, ale w owéj chwili zdało mi się jeszcze nudniejszém iść do obcego domu z pierwszą wizytą. Powiedziałem mu, że nie pójdę. Kolega przeciw swemu zwyczajowi, nastawał natarczywie, i nareszcie zabrał mnie z sobą. Ledwie weszliśmy do salonu, ledwie zarekomendował mnie, aż tu z bokowego pokoju ukazała się młoda panienka, i gospodyni przedstawiła ją nam jako swoję kuzynkę tylko co przybyłą z prowincji. Ta panienka, była to Emilja ś. p. moja żona.

Emilja miała miłą i regularną twarzyczkę, spojrzenie łagodne, kształtną kibić; rozmowa jéj pokazywała przyzwoite wychowanie, dobroć serca i skromność; grała, śpiewała, tańczyła z gustem i wdziękiem. Wszystko to zauważałem z pierwszych wizyt, i wszystko mi się podobało, ale ani mi do głowy przychodziło żenić się z nią. Bywałem często w tym domu. Przywiązanie do Emilji rosło pomału, bez silnych wstrząśnień, bez egzaltacji, lecz powiększało się ciągle; wreszcie przemieniło się ono w rodzaj jakiegoś fundamentalnego uczucia, które nie burzyło mi serca, nie odejmowało pokoju, ale bez którego brakowałoby mi czegóś nieodzownego w egzystencji. Nie zdając sobie rachunku, uważałem ją za drugą połowę mojéj istoty, lecz myśl o małżeństwie nigdy nie przedstawiała się méj wyobraźni. Kiedy Emilja wyjechała z Warszawy do rodziców, pożegnałem ją z żalem, ale bez żadnych przyrzeczeń, ani nadziei na przyszłość. Listowałem z nią potém cały rok, jéj pism oczekiwałem niecierpliwie, czytałem je z rozkoszą, odpowiadałem

z uczuciem, lecz bez uniesienia. Po roku spotkałem ją drugi raz w Warszawie, powitałem z nieudaną radością i pożegnałem ze łzami, ale spokojnie.

W kilka tygodni po jéj wyjezdzie, wieczorem, napadła mnie dziwna jakaś tęsknota. Wyszedłem do ogrodu, i całą noc przespacerowałem pogrążony w marzeniach. Noc była jasna; lekkie obłoczki płynęły gruppami po niebie, na którém ledwie widać było blady krążek księżyca i kilka drobnych gwiazdek; wiatr szumiał głucho między topolami; kiedy niekiedy spadał mi pod nogi żółty liść z drzewa. Spoglądałem na jazdę obłoków, i wyobrażałem sobie bohaterów Ossiana siedzących na chmurach z dzidami i puklerzami; powtórzyłem sobie w pamięci ostatnią pieśń kaledońskiego barda, i te żałosne wspomnienia życia tak czynnego i sławnego smętném echem odbiły się w méj duszy. Bo cała młodość moja upłynęła bezpłodnie, i ziarno życia odebrane od natury zmarniało w marzeniach i dziwactwach, które mi tylko kłóciły pokój duszy.

— Szaleńcze! rzekłem sobie z goryczą, patrz! oto tylu ludzi wkoło ciebie spokojnie idą po drodze żywota, patrząc tylko przed sobą, ciesząc się z każdéj łaski Boga, smucąc się krótko w przeciwności, i znajdując zawsze pociechę w téj prostéj prawdzie, że wszystko prędzéj lub późniéj się kończy. — Przebiegłem w myśli swoich znajomych, każdego z nich widziałem nieraz mocno wesołym i prawdziwie szczęśliwym, każdy z nich radował się albo we własnym domku, albo z przyjacioły, albo nad pracą, albo na zabawach, a ja? ja zawsze byłem niespokojny, zgryźliwy, styrany własnemi dumami i przygnębiony nudą. — Męczarnia i głupstwo takie życie! zawołałem, oburzając się sam na siebie, i myśl moja bystro leciała szukając drogi zbawienia.

Wkrótce obraz Emilji dobréj, łagodnéj, kochającéj mnie istoty, żywo wykształcił się w méj wyobraźni; jakiś głos tajemniczy szepnął mi: — Oto twój anioł.

Któż lepiéj potrafi ukoić cierpienia chorowitéj duszy, kto zdolniejszy ułagodzić szorstki mój charakter, jak dobra żona? — pomyślałem sobie — Wszak Bóg na to stworzył kobiéty, żeby z *mężczyzn* robiły *ludzi;* i czyliż to mało przykładów, że dobra żona z pijaka, łotra, szulera, podłego, zrobi uczciwego człowieka? Dla czegóżby taka kochająca, łagodna żona, jéj pieszczoty, troskliwość, poświęcenie się i wreszcie samo ciche domowe życie, miały dla mnie zostać bez skutku?... A do tego będę miał jedno serce zupełnie dla mnie wylane, jedną duszę, z którą będę mógł otwarcie

mówić o swych cierpieniach.... o! dla czegóż dotąd o tém nie pomyślałem!

Na drugi dzień napisałem list do rodziców Emilji, prosząc o jéj rękę. W miesiąc potém byłem żonaty.

Nadzieje, albo raczéj marzenia moje, nie sprawdziły się. Stan mój zrobił się jeszcze boleśniejszym, dla tego, że do dawnych cierpień dołączyła się zgryzota i wyrzuty sumienia, które i dziś mnie gnębią, kiedy tylko pomyślę o biednéj Emilji. Dziwaczny mój charakter z pierwszych chwil małżeństwa podkopał jéj szczęście. Byłem złym mężem. Utworzywszy sobie jakieś idealne pojęcie o pożyciu z żoną, oczekując od niéj niewyczerpanego szczęścia, rozumie się, musiałem z każdą chwilą tracić kwiatek po kwiatku z moich marzeń. Tracąc, obwiniałem w duszy nie swoje marzycielstwo, lecz tę osobę, na którą nałożyłem takie mnóztwo obowiązków i do któréj przywiązałem tyle nadziei. Zdało mi się, że ta kobiéta oszukała, zdradziła mnie najokropniejszym sposobem. Patrzałem na nią z tém uprzedzeniem, i wszystko wydawało mi się w najczarniejszych kolorach. Jéj cichość i małomówność uważałem za słabość umysłu i obojętność; cierpliwość była w mych oczach brakiem energji; dowody przywiązania i pieszczoty wydawały mi się zimne i płaskie; każde jéj zdanie gniewało mnie, kiedy było samodzielne, i niecierpliwiło, kiedy było echem mojego własnego sądzenia; słowem, Emilja stała się dla mnie najprozaiczniejszą istotą, nieskończenie daleką od téj idealnéj, poetycznéj małżonki, któréj szukałem. Każda cudza żona zdała mi się być lepsza dla swego męża, jak moja dla mnie. Zazdrościłem żonatym ich żon i kawalerom ich bezżeństwa. Obejście się moje z Emilją skrzywiło się i oziębło nadzwyczajnie.

Emilja dostrzegła tego, martwiła się i płakała, nie pojmując przyczyny tak nagłéj zmiany i nie wiedząc co począć. Łzy i smutek jéj nie podobały mi się; były to w mych oczach wyrzuty, kaprysy i sentymentalność. Zabroniłem jéj wszelkich szlochań. Emilja z rezygnacją wysłuchała tego barbarzyńskiego rozkazu, i odtąd starała się być spokojną, uśmiechającą się, wesołą. Po niejakim czasie, znów ta spokojność nie przypadła mi do smaku. Zdało mi się, że to jest obojętność, i uchwyciwszy ten urojony domysł, wysnułem z niego cały wątek okropności.

W chwili szaleństwa wypowiedziałem jéj to wszystko cierpkiemi, gorzkiemi słowy. Emilja osłupiała z zadziwienia i boleści.—Zabij mnie, Karolu! zawołała z rozpaczą, już teraz nie wiem żadnego

środka dla odzyskania twojéj miłości, albo raczéj wiem, że ją straciłam na wieki. — Zalała się łzami, i padła bez przytomności.

Ta scena przeraziła mnie, — upamiętałem się. Na kolanach, ze łzami wyprosiłem przebaczenie Emilji, i nazajutrz znów wróciłem do swego nieszczęśliwego charakteru. W takim okropnym stanie upłynął prawie rok, w końcu którego Bóg dał mi dziécię. Powziąłem nadzieję, że uczucie ojcowskie uczyni mnie szczęśliwym, lecz i w tém przeszedłem taką samą koléj, jak w miłości: z początku egzaltacja, potém oziębłość, a nareszcie niecierpliwość. Dziecko strapionéj matki nie mogło być ani zdrowe, ani wesołe; płakało ciągle.... i ten płacz mnie gniewał.... O, jakaż ze mnie nędzna, kamienna istota!... nie mogę pisać daléj tych okropności! brzydzę się sobą! chciałbym zapłakać....

Emiljo! biedna męczenniczko nikczemnego mego charakteru! i ty mały aniołku, coś w krótkiém swojém życiu nie znalazł miłości u rodzonego ojca! przebaczcie mi! pomódlcie się za mną do Boga, żeby mi darował moję nieczułość! O, wierzcie mi, że trapiąc was, ja sam niemniéj cierpiałem w duszy, i jaką miarą wam mierzyłem, taką samą sumienie mi oddawało!... Cóż to jest rozum? widać, że to mniéj, jak nic — próżne urojenie! kiedy rozumny człowiek mógł tak nikczemnie postępować. Szczęśliwy, kto ma rozum w sercu! tym rozumem można być zawsze w zgodzie z sobą samym i z drugiemi; ale ja miałem głupie serce!...

Małżeństwo sprawiło wielką odmianę w moich pojęciach o płci niewieściéj. Będąc bezżennym, przy zapaloném mojém marzycielstwie, patrzałem na każdą młodą kobiétę jak na boginię, zbliżałem się do niéj z jakąś niepojętą trwogą, czciłem i wielbiłem instynktownie. Po kilku miesiącach małżeństwa, nie przez wady méj żony, ale stopniowo, bez żadnéj przyczyny, oziębłem okropnie dla kobiét, zdało mi się, że jakaś zasłona spadła z mych oczu. Patrzałem na kobiéty bez żadnego marzycielskiego uczucia, obojętnie; obchodziłem się z niemi śmiało, sucho; rozmawiałem prosto i bez żadnego uniesienia. Z czasem poznałem w nich mnóztwo niedołężności, i wydały mi się tak płaskiemi i prozaicznemi istotami, jak wprzód były niebiankami. Kiedyś miałem przekonanie, że kobiéty egzystują dla naszéj pociechy; potém rozważając, ile nieszczęść i cierpień od nich pochodzi, uformowałem sobie zdanie, że kobiéty żyją na świecie jedynie dla naszéj męczarni. Po tym czasie stosunki moje z kobiétami nie zasługują już na nazwisko miłości; by-

ły to tylko romanse, w których nie chodzi o to, żeby być szczęśliwym, a tylko, żeby się nie nudzić.

* * *

Po stracie żony i dziecka, zostawszy znów samotnym, pozbawiony tego łudzącego uroku, który mnie dawniéj pociągał do kobiét, oziębły już w sercu dla poezji, znudzony naukami, nie widząc przed sobą nic, coby mnie przywiązywało do życia, wpadłem w najokropniejszą melancholję. Dobrzy ludzie przypisywali to żałobie po ukochanych istotach. Nie wyprowadzałem ich z błędu; ale ta pochlebna opinja, którą mieli o mojéj czułości, a na którą bynajmniéj nie zasługiwałem, zatruła mi nie jednę chwilę. Nie żyłem, wegetowałem tylko w tym czasie, jak podłe zielsko. Jakaś omartwiałość opasała mnie żelaznemi pętami, które mi odjęły wszelką samodzielną wolę, i zatrzymałem się, jak bałwan, na drodze żywota. Wojna wyprowadziła mnie z tego okropnego stanu.

Wojna, jakkolwiek jest plagą Boską dla narodów, ma jednak z pewnego względu dobroczynny, moralny wpływ na niektórych ludzi. Ja przynajmniéj uważałem, że przy biwakowych ogniach i w niebezpieczeństwach codziennych, ludzie pozbywają się jeśli nie zdrożności, to przynajmniéj wielu drobnostkowych moralnych brudów, mniéj kłamią, mniéj są egoistami, mniéj się obrażają, więcéj są uczynni, gotowi na poświęcenia i t. d.

Na nieszczęście, wprzód nim zagłuchnie echo ostatniego wystrzału, *„szatan powraca do swego domu,* i jak mówi Pismo Św. *nalazłszy go umiecionym i ochędożonym, bierze z sobą siedmiu innych duchów, gorszych nad się, a wszedłszy, mieszkają tam, i stawają się pośledniejsze rzeczy człowieka onego gorsze, niż pierwsze.“*

Kampanja ożywiła moję duszę. Podobały mi się te hazardowne stawki życia na jednę kartę i nowość téj odrębnéj drogi w mojéj egzystencji. Litość mnie bierze nad tymi płaskimi samochwalcami, którzy z uśmiechem opowiadają salonowym kobiétom, jak oni tam sobie kiedyś żartowali ze śmierci na polu bitwy. Być obojętnym na śmierć, jest rzecz nie ludzka, bo dla każdego człeka życie cóś jednak znaczy; a gdyby nic nie znaczyło wcale, to taka obojętność bynajmniéj nie byłaby odwagą, bo odwaga jest poświęcenie się, ofiara własnéj indywidualności, tryumf duszy w walce z sobą, ale nie zimna krew cielęcia w szlachtuzie.

Dziwna rzecz! stojąc przy armacie, byłem zawsze panem siebie samego, spełniałem obowiązek, i więcéj nad to, czego wymagał honor i służba; lecz wieczorem przy biwakowym ogniu, marząc samotnie o skończonéj bitwie, czułem przeloty dreszczu po całém ciele; strach wstrzymany rozumem w czasie akcji, oddziaływał w ciszy, i kilką godzinami późniéj płaciłem dług naturze.

Drugie dziwactwo zasługuje także na uwagę: na ludzi zabitych i rannych patrzyłem bez wzruszenia, instynktownie myśląc sobie: — wszakci dla tego tu przyszli! w naturze rzeczy, żeby cząstka poświęcała się dla całości; ale konie ranne, wlokące się za oddziałem na trzech nogach, albo bez połowy brzucha, broczące krwią swoją pole, budziły we mnie mimowolną żałość.

Dwa wspomnienia z owego czasu cisną mi się do głowy, i oba mnie dręczą:

Miałem służącego Romana, litwina, którego mi dano *in crudo* prawie przed samém wystąpieniem na kampanję. Dobre to było człowieczysko, poczciwy, trzeźwy, pracowity, ale prosty, głupi, niezgrabny, więcéj jak się godzi, i do tego bełkotał takim językiem, że mi się rzadko udawało zrozumieć, co chciał powiedzieć. Roman chodził z memi rzeczami przy bagażach, które w czasie marszu zostawały w znacznéj odległości z tyłu za armią. Widywałem go ledwie raz w tydzień, czasami i rzadziéj. Rachując na jego gorliwość, dawałem mu zawsze pieniądze, żeby skupował po drodze wszelkie wiktuały, jakie tylko znajdzie, i oddawał mi przy zobaczeniu się. Owóż raz, kiedy bagaże podjechały bliżéj, mój litwin przybiega do mnie tak blady i nędzny, że mi się zdało, jakoby tylko co otrzeźwił się z pijaństwa. Fuknąłem na niego i spytałem, dla czego tak źle wygląda?

— Panuszku! odpowiedział biedak żałośnym głosem, dwa dni nie jadłem.

— Jak to nie jadłeś? przerwałem zdziwiony, wszak na tobie widzę pełną torbę żywności.

— A to dla ciebie panuszku! odrzekł litwin z iskrzącémi się od radości oczyma, i oddał mi torbę z wiktuałami, na którą dwa dni patrzał, będąc głodny, i nie ruszył niczego. Uczynił to nie z bojaźni, bo go nigdy nie kontrolowałem, nie z poczciwości, bo w takich wypadkach głód przekonywa poczciwość — z żadnéj innéj pobudki, jak tylko z przywiązania do mnie!... Osłupiałem, patrząc na dowód tak wysokiego affektu! Późniéj, kiedy ciężko raniony leżałem w szpitalu, Roman dnie i noce stał przy mojém łóż-

ku z wlepionem w moję twarz okiem, w smutku, w rozpaczy, jakby u śmiertelnego łoża rodzonéj matki. Słowem, ten człowiek był do mnie ślepo, bez granic przywiązany.

Po wojnie, pewnego wieczora, kiedy mnie nudy dręczyły, Roman wrócił do domu podchmielony. Było to pierwsze jego wykroczenie. Widziałem nadto, że w tym dniu spotkał litwina ze swego sioła, dawnego towarzysza, z którym kilka lat się nie widział. Ztém wszystkiém, postępek jego nie podobał mi się—nazajutrz oddaliłem go od siebie. Łzy, żal i rozpacz, nic nie pomogły. Jego przywiązanie, sam nie pojmuję dla czego, oddawna już mnie nudziło. Po kilku dniach słysząc, że Roman wpadł w rodzaj pomięszania, chciałem go znów wziąść do siebie, ale jakiś głupi wstyd wstrzymał mnie, i wkrótce zapomniałem o tym człowieku.

Drugie wspomnienie z czasów téj wojny ciężko mi także leży na duszy. W krótkiém mojém życiu spotykałem wielu ludzi, którzy dziwnie się do mnie przywiązywali. Każden z tych związków zaczynał się z mojéj strony silném uczuciem, skwapliwością coraz częstszego widywania się i zupełném wyczerpaniem pierwiastku przyjaźni, a po tém bystrém *crescendo,* następowała jeszcze chyżéj wsteczna koléj, w końcu któréj znajdowałem się zawsze zupełnie obojętnym dla człowieka, co mnie tak mocno zajmował. Jeden z podobnych związków sformował się w pochodach kampanji. Sympatja czysta i wolna od wszelkiego egoizmu, interesu i fałszu, bo kręcąc się w sferze niebezpieczeństw, i ja i Walery nie wiedzieliśmy dziś, czy jutro będziemy żyli na świecie. Walery sam przez się miał nadto zalet, żeby można było lekko ważyć jego przyjaźń. Nakoniec los dostarczył mu okoliczność zobowiązać mnie wielką przysługą, albo raczéj poświęceniem się. W czasie furażowania, Walery w pewnéj wsi wybawił mnie od tłumu rozjuszonych wieśniaków, i ocalił mi życie z narażeniem swego własnego. Zbliżyliśmy się do tego stopnia, że kiedy skończyła się kampanja, zdało nam się niepodobném mieszkać inaczéj, jak na jednéj kwaterze, bo każdy z nas czuł potrzebę zupełnéj nierozdzielności. Ta nierozdzielność zgubiła wszystko.

Jest to dziwny a razem nieszczęśliwy fatalizm w mojém życiu, że osoby które się do mnie zbliżały, były zawsze intellektualnie słabsze, niżeli ja. Walery, stopniowo poddając się mojéj wyższości, ulegał mi nareszcie we wszystkiém, nie z miękkości charakteru, bo miał może więcéj odemnie energji, ale przez jakąś siłę fascynacji, którą wywierałem na niego.

Czas niejaki nie było w tém nic złego, owszem żyliśmy bardzo zgodnie, i jakiś niepojęty wdzięk uprzyjemniał nam wszystkie chwile domowego towarzystwa, ale potém zły duch mnie podburzył, stałem się wymagającym, dziwakiem, nudnym, wyczerpałem jego cierpliwość, i ciągłe rozterki, których powodem bywały najczęściéj nędzne drobnostki, rozerwały naszę przyjaźń. Oddaję tu zupełną sprawiedliwość Waleremu, cała wina była z mojéj strony; nadużyłem wpływu nad jego umysłem, i straciłem to, com tak drogo powinien był cenić. Nie zerwaliśmy zupełnie — o nie! tego byłoby zawiele! przestaliśmy tylko mieszkać pod jednym dachem. Pierwsze dni pobytu mego na nowéj kwaterze były dla mnie bolesne. Wyrzucałem sobie mój niegodziwy charakter, dręczyłem się, chciałem iść do Walerego i nie mogłem się na to zebrać. Walery, szlachetniejszy odemnie, chcąc mi oszczędzić przykrości zrobienia pierwszego kroku, sam pierwszy mnie odwiedził na nowéj kwaterze, nie pokazując żadnéj urazy.

Wszystko powoli wycieka z mojego serca. Jeśli mi nie przybywa uczucia, to ono niezawodnie musi się umniejszać. Co do trybu moich uczuć, jestem podobny do łódki płynącéj przeciw wody. Łódka ta albo wciąż musi się posuwać naprzód, albo bieg wody unosi ją nazad. Wkrótce i Walery stał mi się obojętnym. Widząc że pomimo mojéj oziębłości, mój kolega nie przemienił się w obejściu, gniewałem się. Ostatnie, jeszcze niestargane ogniwka dawnéj przyjaźni, były mi nieznośne. Kto wie, do czegoby mnie dziwactwo było doprowadziło, gdyby przypadkowa okoliczność nie zakończyła wszystkiego. Wygrałem na loterji 900,000 złotych, wziąłem dymissję i zapomniałem o Walerym. Co téż ten poczciwy, dobry człowiek o mnie teraz myśli? Czuję, że niegodziwie z nim postąpiłem, a jednak gdybym go teraz ujrzał przed sobą, zdaje mi się, że przywitałbym się z nim zimno i sucho — bo ja umiem tylko dobić się przywiązania i zepsuć je, ale naprawić nie potrafię!...

Romans na zimno.

Hrabina Aurora słynęła w salonach warszawskich potęgą swoich wdzięków i świetnością tych powabnych błyskotek, które składają poetyczność światowéj kobiéty. *C'était une lionne!* I komuż

łatwiéj było zasłużyć na to zaszczytne nazwanie, jak 24-letniéj wdówce po starym mężu, urodziwéj, oświeconéj, bogatéj, która przed pójściem zamąż miała cały tuzinek przygotowanych romansów rozmaitéj barwy, która potém zbadała całą taktykę małżeńską, i nakoniec, wolna od wszelkiego przymusu, z ogromnemi siłami stanęła na arenie. W pierwszych dniach po moim przyjeździe do Warszawy, spotkałem ją na Nowym Świecie, w amazońskim stroju, czwałującą na dzielnym rumaku i otoczoną licznym orszakiem młodzieży najlepszego tonu. Widziałem ją potém w teatrze, w magazynach na Miodowéj ulicy, w kościele, w Saskim ogrodzie, i zawsze ze świtą. Nareszcie, spotkałem ją i w salonach moich znajomych. Śliczna kobiéta! piękna twarz, zgrabna, wysmukła kibić i cudowny ubiór. Wszystkie drobnostki składały w niéj doskonałą harmonję kobiécości: włosy czarne, jedwabniste, i uśmiech uroczy, zlekka ironiczny; nóżka zefirowa i nadzwyczajna cienkość w stanie; czoło wysokie i rzymski profil nosa; a oczy jéj, oczy! to prawdziwy fenomen! kolor ich był tak dziwny, tak zmienny, tak, jak się zdawało, zależący od jéj woli, że co chwila wydawał mi się innym. Nigdy nie widziałem takich oczu, ani kobiéty, któraby tak sztucznie niemi władała. Przenikliwy wzrok jéj wpijał się w głąb tego na kogo padał, i wywierał na niego jakby magnetyczną siłę; dla tego téż rzadko kto mógł go wytrzymać. Widać było, że Aurora znała potęgę swego spojrzenia; bo kiedy słowa nie sprawiały zamierzonego effektu, używała wzroku, jako ostatniego i najpewniejszego środka. Wszystko w niéj odznaczało się oryginalnością, w poruszeniach jakaś męzka energja, zmiękczona wdzięczną kobiécą układnością; w głosie tysiąc nagłych przemian tonu; w rozmowie więcéj rozumu jak czucia, więcéj sarkazmu jak dowcipu, a nadewszystko nieprzymuszone wyrzucanie zdań nowych, dziwiących każdego, oprócz niéj tylko, śmiałych i ekscentrycznych, które właśnie z tego powodu przemieniały się w aforyzmy, których słuchano z ciekawością, które pocichu wyszydzano, ale powtarzano we wszystkich salonach. Ogólny zapał mężczyzn otaczał ją w towarzystwie — była bożyszczem téj epoki. Nakoniec wypadek sam przez się smutny, rozgłoszony w salonach, zrobił z niéj jakąś istotę powieściową, coś podobnego do Fedory Balzaka. Jeden z jéj pokłonników, młody chłopiec, zrażony obojętnością, w gorączkowym szale zastrzelił się. Aurora właśnie ubierała się na bal, kiedy jéj powiedziano tę nowinę. Nie czując się winną, przyjęła tę wiadomość bez żadnego wzruszenia, tak jak wieść o dzieciństwie żaka; ale

z wrodzonego popędu do oryginalności, albo też może z wyrachowania, dodała czarną przepaskę do balowego stroju, i weszła z tym znakiem na bal, jakby chcąc pokazać wszystkim, że wie co się stało i uważa to za fraszkę. Dziwiono się niezmiernie, widząc ją tańczącą tego wieczora jak zwyczajnie. Długo o tém mówiono w Warszawie. Jedni ją potępiali, i w téj liczbie najwięcéj było kobiét, drudzy, większą częścią młodzi, chcieli admirować, i admirowali, sami nie wiedząc co? i dla czego?

Salony hrabiny Aurory słynęły dobraném towarzystwem. Nie jedna zamożność, albo urząd, dawały wstęp do jéj domu, trzeba było, oprócz tych warunków, posiadać jeszcze arystokratyczne imię, albo szczególne osobiste zalety. Nie myślałem o bliższéj z nią znajomości, ani pragnąłem jéj. Tymczasem jeden ze szkolnych moich kollegów, którego kiedyś nazywaliśmy Cyprysem, dla tego, że niezmiernie lubił elegje, spotkawszy się raz ze mną, zaczął mnie wyciągać na słówka, badając zdania mojego o hrabinie. Odpowiedziałem mu krótko i sucho, że to kobiéta zbyt oryginalna.

— Więc Aurora nie podoba ci się? podchwycił Cyprys.

— Zajmuje mnie, jak każda oryginalność, rzekłem, ale nie wzbudza we mnie żadnéj sympatji.

— Kiedy cię zajmuje, dla czegóż nie starasz się wejść do jéj domu?

— Dla téj saméj przyczyny, dla któréj nie staram się mieć wstępu w domach wszystkich warszawskich oryginałów, jest ich mnóztwo, a ja tylko jeden.

Cyprys oburzył się na moję obojętność; deklamował długo, ciemno, kędzierzawo, i tak tajemniczo, że musiałem mu się przyznać otwarcie, że nie rozumiem do czego zmierza. Mój dawny kollega uśmiechnął się z ironją i rzekł: Trzeba ci powiedzieć wyraźnie, że hrabina życzy sobie, ażebyś bywał w jéj domu.

— Czy to są jéj słowa, czy twój domysł? spytałem obojętnie.

— Jak widzę, chcesz mnie wziąść na indygację, odpowiedział Cyprys z niecierpliwością.

— A więc nie mówmy o tém, pochwyciłem sucho, i przemieniłem rozmowę, nie pokazując najmniejszéj ciekawości. Mój kollega zdziwił się, nakręcał dyskurs na przerwany przedmiot, ale nie dałem mu dopiąć zamiaru. Cała jego dyplomacja na nic się nie przydała. Co do mnie, dowiedziałem się, że prosto lub ukośnie hrabina wymówiła się przed Cyprysem z chęcią bliższego mnie poznania,

i to mi wystarczało. Zresztą byłem cierpliwy, nie wątpiąc o tém, że prędzéj lub późniéj Cyprys wygada mi i szczegóły.

Po kilku dniach, przy obiedzie w hotelu, Cyprys wpadł w dobry humor, opowiedział mi cały dziesiątek świeżych aforyzmów Aurory, i spytał z uśmiechem:

— No, cóż? czy życzysz sobie bywać u hrabiny? Namyśl się nareszcie, ja cię zarekomenduję.

— Nie chcę nadużywać twojéj dobroci, rzekłem, mogę ją widywać u wspólnych naszych znajomych, pocóż mi koniecznie wchodzić do jéj domu?

— Ale bo widzisz, szepnął mi Cyprys, ona się cokolwiek interesuje tobą.

Zapytałem go się znów, czy to fakt, czy domysł?

— Ach, jakiż z ciebie nieznośny pedant! zawołał Cyprys. Powiem ci już wszystko, co tylko wiem, bo nareszcie lękam się, żebyś mi nie kazał podać sobie o tém rapport na pismie. Jeszcze w przeszłym tygodniu hrabina między obojętną rozmową spytała mnie znienacka: czy dawno znam ciebie? czy jesteśmy z sobą w zażyłości? czy znałem twoję żonę? i t. d., i zrobiła dziwny grymas, kiedy jéj się przyznałem, że wcale nie wiem, co się z tobą działo po wyjściu z konwiktu; że ty znasz wielu, ale ciebie prawie nikt. Myślałem, że się na tém skończy; gdzie tam! zaczęła drwić ze mnie, trzpiotać się i wyrzucać mi, że tak mało uwagi zwracam na towarzyszów młodości.

— Ja znam doskonale charaktery i biografje wszystkich kobiét, które ze mną były na pensji, rzekła mi wesoło, czemuż wpana nie znasz swoich kollegów.

— Odpowiedziałem jéj, że w głównych rysach znam każdego.

— W głównych rysach? podchwyciła, a czy wiesz pan, że to jest rzecz trudniejsza, jak znać człowieka w szczegółach? naprzykład, wracając do pańskiego kollegi, jestem prawie pewna, że pan go nie znasz w głównych rysach. Uwalniam pana od ogólnego zdania, i proszę mi tylko powiedzieć, czy ten człowiek z młodości miał to samo wyrażenie na twarzy, jakie ma dziś, czy téż fizjognomja jego wyrobiła się w późniejszém życiu?

— Powiedziałem jéj, że główne rysy twéj twarzy nie zmieniły się bynajmniéj.

Hrabina zamyśliła się; potém mówiła o twoich literackich dziełach, chwaliła ossjaniczną barwę poezji i sarkastyczność prozy, i

nareszcie, zwróciwszy rozmowę na towarzystwo, które u siebie przyjmuje, rzekła jakby od niechcenia:

— Nie mam żadnego literata w moich salonach.

— To od pani zależy, podchwyciłem.

— O! bynajmniéj! zawołała hrabina, odemnie zależy kupić poetę i postawić go na półce méj biblioteki, ale żeby go przynęcić do salonu, trzeba, żeby w nim mógł znaleźć więcéj przyjemności, jak na swoim parnasie.

— Oto masz wszystko. Jeśli w tém nie widzisz wyraźnéj chęci poznajomienia się z tobą, to przepraszam żem cię znudził swojém opwiadaniem.

A! pomyślałem sobie, to dosyć oryginalnie, cokolwiek śmiało, ale zręcznie. Wprawdzie nie rzuciła mi prosto swojéj bojowéj rękawiczki, upuściła ją tylko umyślnie, ażebym podniósł. Zaczekaj, piękna hrabino! teraz ja się nie kwapię na turnieje, w których kiedyś kości mi potłuczono.

Cyprys patrzał na mnie, jakby czekając, czy nie odwołam tego, co wprzód powiedziałem, a nie słysząc odpowiedzi, spytał lakonicznie:

— No, cóż?

— Nic, rzekłem sucho.

— Jak to nic? Cóż myślisz o tém, co ci powiedziałem?

Myślę, że oryginalna kobiéta robi często pytania, z których nic nie należy wnosić.

— Na tém ucięła się rozmowa. Cyprys nie nalegał, i twarz jego nie pokazywała żadnego nieukontentowania. Widać było, że chciał się przysłużyć hrabinie, ale sam mocno tego nie pragnął.

Wkrótce potém zdarzyło mi się być z ranną wizytą u generałowéj K***. Zastałem kilka osób i Aurorę. Cyprysa nie było. Wybrałem sobie umyślnie takie miejsce, żeby siedzieć dość daleko od hrabiny, i nie naprzeciw jéj twarzy, lecz z ukosa. Trafunkiem wprost przedemną znajdowało się wielkie zwierciadło, w którém wszystko mogłem widzieć. Aurora prowadziła ogólną rozmowę, która, ile mogłem sądzić, mocno wszystkich zajmowała. Po chwili zawiązałem z moim sąsiadem dyskurs o innym zupełnie przedmiocie, i tak, jak w mojéj głowie dwa, a nawet trzy wątki rozmaitych myśli mogą się wysnuwać w jednym czasie, to nic dziwnego, że mogłem rozmawiać z sąsiadem, słuchać co mówiła Aurora, i tajemniczo prowadzić maleńką intrygę. Ot jak się to działo:

Zajmując sąsiada żywym dyskursem, spojrzałem nieznacznie

w zwierciadło; twarz Aurory jaśniała ukontentowaniem. A! pomyślałem sobie: pani hrabina szczęśliwa, że jéj wszyscy słuchają z zapałem; ale ja mogę oziębić ten zapał słuchaczów, albo raczéj dać mu inny kierunek. Pani hrabina przekona się, że tryumf kobiécego rozumu jest rzecz niezmiernie znikoma. Ożywiłem rozmowę z sąsiadem, naprowadziwszy ją na wątpliwość w pewnym punkcie. Sąsiad odwołał się do zdania obok siedzącego gościa, który mimowolnie wplątał się w nasz dyskurs, i nie mógł już z niego wybrnąć. Aurora miała jednym słuchaczem mniéj. Spojrzałem znów w zwierciadło. Hrabina mile uśmiecha się jednemu młodzikowi, zbijając ostatni jego argument, a tymczasem jakby machinalnie zwraca twarz w moję stronę, i widząc mnie zajętym, a nie niedomyślając się pewnie zwierciadlanego odbicia, jakie pół sekundy wzrok swój na mnie zatrzymuje; wzrok nieobojętny: widać w nim było i ciekawość, i nieukontentowanie, snać nie podobało jéj się, że nie tylko nie słuchałem z uwagą, co mówiła, ale nadto odjąłem jéj już dwóch słuchaczów. Hm! pomyślałem sobie, więc i pani możesz w jednéj chwili myśleć o dwóch przedmiotach! Tymczasem dyskurs podsycany przezemnie ożywiał się coraz bardziéj, stawał się więcéj zajmującym, jak rozmowa Aurory, porywał jéj jednego słuchacza po drugim, nareszcie sama hrabina mimowolnie wmięszała się do niego, ale rozumie się, że rola jéj była podrzędna, dla tego, że nie ona, lecz ja stałem u steru téj rozmowy i dawałem jéj samodzielny kierunek. Żywo zająwszy się przedmiotem, Aurora z początku nie spostrzegła swego szwanku; jednak widząc, że oczy wszystkich nie na nią, lecz na mnie były zwrócone, domyśliła się natychmiast całéj intrygi. Zamilkła, a w zwierciadle widziałem wzrok jéj zwrócony na mnie z wyrażeniem trwożliwie badawczém. Na dzisiaj będzie tego dosyć, pomyślałem sobie, i stopniowo oziębiwszy rozmowę, zostawiłem towarzystwu swobodę grzebać w popiele, a sam wyszedłem. We drzwiach salonu spotkałem jeszcze raz spojrzenie hrabiny; gniewała się wyraźnie.

Nazajutrz odwiedził mnie Cyprys i plótł nieskładnie różne banialuki, z czego poznałem, że zupełnie o czém inném chciał mówić. Mógłbym był ułatwić mu wywnętrzenie się, zagadawszy o hrabinie, ale nie zrobiłem tego umyślnie. Lubię, żeby się mimowolnie wywnętrzano przedemną; zresztą chciałem się przekonać, czy domysł mój trafny lub nie, i dla tego użyłem wszystkich sił, żeby go zająć obojętną rozmową. Cyprys z początku wytrzymywał cierpliwie moję gadaninę, rachując zapewne na to, że, wyczerpaw szy

przedmiot, zacznę mówić o hrabinie, ale omylił się, zacząłem tak głęboką dyssertację o cukrze burakowym, że mogła się ciągnąć bez końca. Zwątpił snadź dopiąć celu, albo się zniecierpliwił, bo, przerywając moje wywody, zapytał z udaną obojętnością:

— Czy dawno widziałeś hrabinę?

Hm! nareszcie, — pomyślałem sobie. Trzeba było wpanu wprzód zwinąć chrągiewkę; teraz cię pomęczę. Nie odpowiadając prosto na jego zapytanie, rzekłem z ironją: — Jak tylko wspomnisz o hrabinie, zaraz mi się zdaje, że znów będziesz mnie namawiał do poznania się z nią.

— Bądź spokojny, zawołał Cyprys, przestałem już o tém myśleć, a spytałem się tak, nawiasem,

— I dobrześ zrobił, że nie myślisz o tém, co mnie samemu nigdy nie przychodzi na myśl.

Cyprys zrobił okropny grymas, i rozmowa przerwała się na chwilę. Widziałem, że nie wiedział co daléj mówić, i zacząłem znów rozprawiać o cukrze z buraków.

— Porzućże tę nieszczęśliwą ekonomję polityczną, zawołał Cyprys, wolałbym siekać buraki, jak o nich rozprawiać.

— *Je suis tout à Vous, mon cher!* rzekłem, pomówmy o czém innem; naprzykład, jeśli masz na pogotowiu, to zakommunikuj mi kilka świeżych aforyzmów hrabiny, wszak ty ją tak często widujesz!

Cyprys wlepił we mnie jakiś dziwny wzrok, otworzył usta, jakby chciał powiedzieć, że niemasz jeszcze 24 godzin, jak widziałem Aurorę u generałowéj, ale potém namyślił się i powiedział mi, że wczoraj wieczorem hrabina była w splinowém usposobieniu ducha, skarżyła się na migrenę i mało mówiła.

— A! zawołałem mimowolnie, i po chwili dodałem: więc hrabina skłonna do splinu i migreny? Tém gorzéj dla ciebie, jeśliś się znudził, a tém lepiéj, jeśliś ją pocieszył, *tant pis ou tant mieux pour Vous, mon cher!*

— Ot, widzisz, rzekł nareszcie Cyprys z udanym uśmiechem, powiedziałem ci otwarcie, com z nią mówił wieczorem, powiedzże mi nawzajem, o czém rozmawiałeś z nią rano u generałowéj?

— Od kogóż wiesz, żem z nią rozmawiał?

— Od niéj saméj.

— Żartowała z ciebie, *mon cher!* nie mówiłem z nią osobiście ani słowa, miałem tylko niejaki udział w ogólnym dyskursie.

Oczy Cyprysa błysnęły radością; widać było, że kamień spadł

mu z serca. Ten fenomen naprowadził mnie na myśl, że mój kollega zakochany w hrabinie, ale bez wyraźnéj wzajemności, bo w przeciwnym razie mniejby się lękał. Winszuję! i radzę porachować się z siłami.

A siły tego biedaka były bardzo słabe dla podbicia takiego serca, jakie miała Aurora. W tém sercu było więcéj myśli i sztuki, jak uczucia. Cyprys zaś człowiek próżny, słabéj woli, niepewnego zdania, a co gorsza, zarażony dwiema równie płaskiemi niedorzecznościami: usiłowaniem skrywać wszystko przed swymi znajomymi, iżby uchodzić za tajemniczą istotę, i manją przedstawiania siebie kobiétom najnieszczęśliwszym człowiekiem, manją ciągłego uskarżania się na prozę świata, na los, na wewnętrzne bóle i t. d., zapewne w téj nadziei, ażeby, obudzając w nich litość, jakkolwiek dogramolić się do miłości. Żal mi było tego wątłego stworzenia, że się przywiązało do takiéj kobiéty, jak hrabina; byłem pewny, że, jak wyśpiewa przed nią wszystkie swoje elegje, to Aurora znudzi się i porzuci go. Światowa kobiéta w ogólności nie lubi elegij.

Co do mnie, nie miałem żadnego zamiaru mięszać się do tego romansu; chciałem tylko zbadać, ile téż uczucia, i jakiego rodzaju, dostało się Cyprysowi od hrabiny? To pytanie zajmowało mnie zawsze, kiedy tylko widziałem dwa młode serca spotykające się na drodze życia, i każdą razą ciekawie, więcéj nad to, z zapamiętałością omylonych marzeń śledziłem problemat do samego *apogeum*, a potém, kiwnąwszy głową, zapominałem wszystkiego. Tak téż chciałem postąpić i w tym przypadku; ale jakiś fatalizm wplątał się w tę drammę, okoliczności składały się tak dziwnie, że prawie mimowolnie byłem wciągnięty w swerę kochanków. Aurora była widocznie intrygowana tém, że, spotykając ją w kilku salonach, nigdy nie pokazywałem najmniejszéj chęci zbliżenia się; przeciwnie, zachowując ścisłą grzeczność, nie przepuszczałem żadnego zdarzenia, kiedy można było zepsuć małe jéj kobiéce tryumfy, i psułem je takim sposobem, że, im więcéj naprężyła swe siły, tém głębsze zostawało jéj przekonanie o nicestwie i słabości środków intellektualnych w porównaniu z mojemi. Jeśli chciała pokazać się uczoną lub naczytaną, pozwalałem jéj dójść prawie do saméj mety, a kiedy słuchacze byli już gotowi buchnąć lirycznością, jednym silnym argumentém obalałem rusztowanie, które tak mozolnie podniosła. Jeśli trzpiotała się albo chciała brylować dowcipem, miałem na podoręczu świeżą nowinę warszawską albo zagraniczną, albo

jaką anegdotę, które natychmiast dawały inny kierunek rozmowie. Jeśli wreszcie występowała z sarkazmami, starałem się nieznacznie zwrócić uwagę towarzystwa na jaki przedmiot rozczulający, albo rzucić w jéj cierpki, kolący dyskurs ziarno myśli wysokich, szlachetnych, pięknych, i ten kontrast nie tylko niszczył cały effekt sarkazmów, ale nadto ciskał niewygodny cień na samo serce drwinkującéj kobiéty.

Po kilku upokorzeniach tego rodzaju, hrabina zupełnie przemieniła oryginalną swoję manierę, zrzekła się roli królowéj salonu i zajęła skromne miejsce w gronie drugich kobiét. Kiedy spojrzenia nasze spotykały się, widziałem w jéj oczach nieukontentowanie i nadzieję odwetu, a na ustach jakby kurcz sarkastyczny; ale nigdy nie dostrzegłem tego wyrażenia na twarzy, którém światowe kobiéty częstują zarozumiałych studentów, biedaków i głupców, nie widziałem téż prawdziwego gniewu, i ztąd wniosłem, że hrabina nie będzie unikała spotykania się ze mną u wspólnych naszych znajomych. Istotnie widywaliśmy się jak dawniéj. Poznajomiła się nawet z jednym domem, w którym wprzód nie bywała, a który ja znałem oddawna. Stosunki jéj z Cyprysem, chociaż niewątpliwe, zostawały dla mnie zupełną tajemnicą. Widziałem tylko, że jest między niemi więcéj zbliżenia się, jak prosta grzeczność lub dawna znajomość, nawet więcéj, jak przyjaźń, przypuściwszy, że przyjaźń między młodym mężczyzną i młodą kobiétą nie jest urojeniem. Niespodziewanie powziąłem dokładniejsze pojęcie o tym przedmiocie.

Raz w teatrze, siedząc samotny w głębi mojéj loży, oparłem głowę o cienką ściankę, która mnie rozdzielała od sąsiedniéj, i pogrążyłem się w ten rodzaj dumania, w którém się o niczém nie myśli. Reprezentacja nudziła mnie; byłem w złym humorze; możebym był zasnął, gdyby szmer za ścianką nie obudził mojéj ciekawości. Rzecz pewna, że nie godzi się podsłuchiwać cudzéj rozmowy, ale w tym razie nie mogłem się oprzeć pokusie, bo rozmowa była oryginalną, pociągającą mimowolnie do grzechu. Jakiś męzki głos, stłumiony aż do szeptania, błagał kobiétę, żeby przyjęła bilecik, rozumie się miłosny. Kobiéta, widać młoda, wesoła, śmiała się nieumiarkowanie i powtarzała proszącemu wpół-głosu: Ależ pan jesteś dziecko! Co za fantazja przyszła ci do głowy? Widzisz mnie prawie codzień, wiesz, że żadna mama ani ciocia nie przeszkadza nam rozmawiać, i zawiązujesz ze mną korrespondencję! Powiedz mi pan ustnie, czego chcesz odemnie? Mężczyzna zaczął prawić o

nieszczęśliwéj swojéj nieśmiałości, i dodał, że ten przedmiot zbyt ważny dla ustnéj rozmowy, tém bardziéj, że ona ma zwyczaj wplatać we wszystkie jego dyskursa tysiąc sarkazmów. O, jak to zabawnie zawołała kobiéta dusząc się od śmiechu. Jak się pan ożenisz, jestem pewna, że będziesz się żonie listownie wywnętrzał ze swych uczuć, i *groom* wasz dostanie suchot, nosząc gorące pisma z jednego pokoju do drugiego. Albo może odjedziesz od żony umyślnie, żeby mieć przyjemność pisywania do niéj czułych listów? *c'est unique!...*

Dosyć mi było tego. Przestałem słuchać daléj. Widać, pomyślałem sobie, jakiś człowiek słaby, z głową cokolwiek krzywą, był długo igraszką światowéj kobiéty, i żeby wziąść nad nią wyższość, postanowił wytoczyć sprawę na papier.

Miałem przeczucie, że ta para jest mi znajoma. Przed samym końcem reprezentacji wyszedłem z loży i stanąłem na kurytarzu w niejakiéj odległości, zawinąwszy się w płaszcz i mocno nasadziwszy kapelusz na oczy. Z sąsiedniéj loży wyszła hrabina, a za nią Cyprys. Tego się téż spodziewałem. Nie podobała mi się ta moralna wyższość hrabiny nad Cyprysem. Ja sam kiedyś wiele cierpiałem przez nieśmiałość, i może z tego powodu jakaś instynktowa sympatja pobudzała mnie dać pomoc słabszéj stronie. Wprzód jednak, nimbym udzielił swych rad kochankowi, chciałem go wybadać, i zobaczywszy się z Cyprysem, spytałem po przyjacielsku:

— Cóż? mój kochany! jak idą twoje serdeczne sprawy?

— Jakie? odstrzelił Cyprys, udając zadziwienie.

— Z hrabiną?

— Jestem z nią znajomy, nic więcéj.

— Jeśli nie chcesz mi odkryć swoich stosunków, rzekłem mu łagodnie, możesz o tém nie mówić, możesz się nawet obrazić mojém pytaniem i znaleźć je zbyt natrętném, ale nie kłam przedemną. Wszak ty wiesz, że kiedy ja mówię, to nie badam, lecz już wiem rzecz z pewnością.

— *Mon cher!* rzekł Cyprys z umyślną ironią, nie wątpię bynajmniéj o twojéj wielkiéj przenikliwości, ale w tym razie szkaradnieś się pomylił!...

Ta uporczywa dyplomacja i to szyderstwo ubodły mnie. Nie pokazując jednak tego na sobie, zacząłem obojętnie mówić o czém innem.

Po chwili Cyprys sam wrócił do przerwanego dyskursu, i stopniowo tak się rozgadał o swych miłostkach, że mnie znudził i

oburzył swoją zarozumiałością. Kto inny, jak ja, sądziłby, że biedna Aurora żyć bez niego nie może!...

A nieznośny samochwalco! pomyślałem sobie, chciałem ci dopomódz, ale kiedy jesteś tak szczęśliwy, to muszę ci dać małą naukę moralną.

Postanowiłem przyjąć udział w téj drammie. Bez uprzedzenia o swoich siłach, mogłem ufać w znajomą polityczną dewizę kardynała Mazarini: *le temps et moi*. Czas i ja, bo byłem pewny, że dla obalenia fortuny Cyprysa dość było połowy tych środków, to jest, jednego czasu. Odemnie zależało zyskać wstęp do salonów hrabiny i bliżéj się z nią poznajomić, ale czułem w sobie jakiś wstręt do zrobienia pierwszego kroku. Trafunek oszczędził mi téj drobnostki. Wszedłszy raz do cukierni, zastałem kilku znajomych młodych ludzi, rozprawiających żywo o hrabinie. Nazywali ją kokietką, kobiétą lekkomyślną, bez zasad, bez moralności, a nadewszystko bez żadnego czucia, słowem, góry walili na nią. Jeden z nich, blizki kuzyn tego nieszczęśliwego, który się zastrzelił z miłości do Aurory, właśnie tylko co przyjechał z prowincji, ażeby zemścić się za swego krewnego, a zemsta jego miała zależeć na publicznem skompromitowaniu hrabiny i wyrządzeniu jéj jakiéj wielkiéj niegrzeczności. Reszta bandy, złożona większą częścią z dymissjonowanych pokłonników Aurory, złapawszy sobie takiego ofiarnego kozła, gorliwie zachęcali go do bohaterskiego *scandalum*.

Szaleństwo tych zagorzalców sprawiło na mnie przykre wrażenie. Zacząłem zlekka wyśmiewać ich głupią zemstę nad bezbronną kobiétą, i przyprawiając swoję mowę coraz silniejszemi sarkazmami, doprowadziłem nareszcie do tego, że, pojąwszy całą nikczemność podobnego zamysłu, powynosili się milczkiem jeden po drugim z cukierni. Został tylko kozieł ofiarny, chłopiec dobrego serca, któremu zbyteczna kuzynowska czułość zawróciła głowę. Do tego przemówiłem głosem rozumu, serca i obowiązków społecznych, trafiłem zupełnie do jego przekonania, i ów zagorzalec uczuł w sobie taką reakcję moralną, że mu łzy wysączyły się z oczu. Objął mnie serdecznie i dziękował, żem mu oszczędził jednego głupstwa i jednéj zgryzoty w życiu. Doszedł do takiéj exaltowanéj skruchy, żem się przeląkł własnego dzieła, myślałem, że przez wdzięczność ogłosi całą naszę rozmowę w Kurjerze Warszawskim!...

W kilka dni potém przyniesiono mi listek różowy, tak mile złożony, tak rozkosznie naperfumowany, że, nie patrząc nawet na adres, poznałem dzieło kobiécéj ręki. Nie łamiąc pieczątki, spyta-

łem: -- Kto go przyniósł? Lokaj hrabiny Aurory, odpowiedział służący.

A! rzekłem sobie, rozumiem. Zdarzenie w cukierni drogą sekretów doszło do hrabiny. Oświadcza mi zapewne swoję wdzięczność, i prosi odwiedzić ją, być z nią znajomym. Cóżby innego mogła pisać do mnie? Wiedząc treść listu bez zerwania pieczątki, postanowiłem skorzystać ze swéj przenikliwości. Hrabina była kobiéta przedewszystkiém oryginalna. Ja z méj strony postępowałem z nią do tego czasu zupełnie odrębnie od ogólnie przyjętéj maniery, sądziłem więc, że i w tym przypadku wypadało mi pokazać się oryginalnym. Siadłem natychmiast do stolika i napisałem krótki bilecik do hrabiny, prosząc ją, ażeby, jako kobiéta wyższa nad wszelkie drobnostki etykiety, raczyła mi przebaczyć to, co inne osoby jéj płci zapewne przyjęłyby za niegrzeczność, i wierzyć, że odsyłam jéj nierozpieczętowany listek jedynie dla tego, iż domyślając się jego treści, a sądząc bez uprzedzenia swoje postępowanie, nie życzę sobie czytać tego, na co nie zasłużyłem. Dołączyłem do tego kilka błyskotek salonowego języka, jedną perełkę poezji, jeden gran sarkazmu, włożyłem jéj listek w moję odpowiedź i odesłałem.

Potém siadłem na sofie i zacząłem tak rozumować: Hrabina zbyt oryginalna kobiéta, żeby się miała rozgniewać. W ostatnim przypadku pomyśli sobie tylko, że jestem dziwak, co zresztą nieraz zapewne już sobie powiedziała. Hrabina pierwsza napisała do mnie listek. W naszych stosunkach nie jest to wypadek odrębny, obojętny, który nic więcéj za sobą nie pociąga. Nie, to jest pierwszy krok, za którym musi być przynajmniéj jeszcze jeden, to jest, drugi krok. Hm! mogę zrobić dwa przypuszczenia: albo hrabina zostawi rzecz czasowi, i ustnie przy pierwszém zobaczeniu się będzie mi afiarowała wstęp do swego domu, albo napisze drugi listek. Pierwsze wymaga cierpliwości; bo któż wie kiedy się spotkamy? drugie może wydać brak cierpliwości, a może i coś więcéj. Zresztą jeśli się zdecyduje na list, to trzeba go napisać niezwłocznie, a ta skwapliwość, nawet dla oryginalnéj kobiéty, jest krok zbyt delikatny, ażeby go mogła zrobić obojętnie. Zobaczymy co z tego będzie.

Wieczorem tegóż samego dnia przyniesiono mi nowy bilecik hrabiny, i do tego niezapieczętowany!

— A! pomyślałem sobie mimowolnie, to nie żarty! bilecik niezapieczętowany! cha, cha, cha! Pani hrabina wzięła mnie za żaka,

który sto razy gotów powtarzać ten sam figiel. Próżna obawa, rzucona na papier bez namysłu! Chcesz pani koniecznie, żebym przeczytał ten papierek? czytam. Dobrze napisano, lekko, żywo, wdzięcznie, ślicznie. Pani będziesz mnie czekała w tym tygodniu, i przyrzekasz nawet nie wspominać ani słowa o szlachetnym moim postępku? masz pani rację, boby mnie to znudziło. Pod tym warunkiem będę niezawodnie. *Czas i ja* możemy teraz działać razem.

Tak, jak w pierwszych moich miłostkach były mi pożądane widzenia się sam na sam, tak w obecnym razie nie życzyłbym sobie wcale pierwszéj wizyty *tête à tête*. Jest to cokolwiek niebezpiecznie z ładną i światową kobiétą, rozmowa łatwo może się wykręcić wciągnąć człowieka w przedmioty, którychby nie chciał dotykać. Pojechałem do hrabiny umyślnie w takim czasie, kiedy salon jéj nigdy nie bywał pusty. Zastałem kilka osób i Cyprysa, który niemało się zdziwił, spostrzegłszy, jak mile mnie przyjęła Aurora, bez żadnych przy tém ceremonij, które pokazują pierwszą wizytę. Może mu się wydało, że bez jego wiedzy oddawna bywałem już w domu hrabiny; dość na tém, że się zmięszał widocznie. Zająłem natychmiast miejsce i udział w rozmowie, która w porywistych przeskokach dotykała zlekka tysiąca rozmaitych przedmiotów, nie zgłębiając żadnego. Cyprys był w smutnym humorze, mięszał nieustannie żałobne perjody w dyskurs, i nareszcie sprowadził go na stronę czucia, może z mimowolnego popędu romantycznéj myśli, a może też dla tego, ażeby znajoma mu oziębłość mego charakteru wydała się prozaiczniejszą w zdaniu Aurory. Jakiekolwiek bądź były jego pobudki, hrabina widocznie radowała się z nowego kierunku rozmowy i zaczęła ją gorliwie podsycać. Pojąłem doskonale kobiécą taktykę, nie słyszała nigdy jeszcze zdań moich w tym względzie i chciała mieć małą próbkę méj uczuciowości.....

O! dla czegóż nie! pomyślałem sobie, ja się przed panią wywnętrzę!

Cztery pierwiastki składały wówczas mój charakter: zimny rozum, mizantropja, światowość i poezja. Nie wiem, jak ta zbieranina od sasa i od lasa mogła się trzymać w kupie? ale tak było. Pod wpływem tych bodźców, z ironicznym uśmiechem na ustach, rozwinąłem bez litości najtwardsze zdania o uczuciu, potępiłem każdego, kto dozwala kobiécie wziąść nad sobą mocny i bezpośredni wpływ, wyszydziłem idylliczną miłość i wszystkie rodzaje

miłosnego marzycielstwa, słowem, pokazałem się wielkim artystą, któremu nikt nie śmie zaprzeczyć, shociaż nie może sercem podzielić jego zdania. Taki sposób widzenia rzeczy, wyrażony nowym, odrębnym od pospolitych rozmów sposobem, zmięszał hrabinę i sprawił ten rodzaj wibracji nerwów, który kobiéty często przyjmują za wzruszenie serca. Lekka smętność utworzyła kilka ledwie dostrzeżonych fałdek na jéj czole, jakby w duszy obudziła się jakaś przykra wątpliwość, ale czoło rozjaśniło się natychmiast, widać, iż burza złagodziła się przekonaniem, że człowiek, który tak pięknie mówi, nie mówi prawdy. Przytém, takie oryginalne sądzenie mogło się podobać kobiécie niemarzycielce, rozsądnéj, znudzonéj jednakowo płaskiemi grzecznościami i niedołężnemi sarkazmami salonowéj młodzieży, bo ten tłum nie jest dziś zdolny ani kochać, ani bawić kobiétę.

Prawo kontrastu ma potężny wpływ na płeć piękną. Cyprys przegrał swoję sprawę w sercu Aurory, i jeśli od téj chwili pozwalała mu jeszcze stać przy swoim rydwanie, to jedynie dla tego, że ten, którego życzyła sobie pozyskać, nie kwapił się bynajmniéj zająć wakujące miejsce. W tym rodzaju toczyły się wszystkie następne moje rozmowy z hrabiną. Twarz moja była zawsze surowa, spojrzenie chłodne, obejście się grzeczne, ale pełne moralnéj przewagi, słowa silne, dźwięczne, ogrzane zapałem, a myśli zimno-logiczne, gniotące bez litości najmocniejsze argumenta przeciwniczki, niecznłe ani na wdzięczny uśmiech, ani na spojrzenie. Były to ciągłe walki, kończące się zawsze porażeniem hrabiny i utwierdzające moje nad nią panowanie.

Takim sposobem rozgrywała się ta dramna kilka miesięcy, pod wpływem polityczněj maxymy kardynała Mazarini: *czas i ja*. Skutki tych dwóch działających sił były widoczne nie tylko dla mnie, ale nawet dla najmniéj przenikliwych. Hrabina przemieniła się zupełnie; *elle n'etait plus lionne!* straciła dawny wesoło-sarkastyczny humor, nie królowała w salonach, nie czwałowała na koniach, słowem, porzuciła najulubieńsze swoje gusta, bo wszystko to nie podobało mi się, wszystko było przezemnie sucho wyszydzone, spospolitowane lub potępione. Cyprys zmienił się jeszcze więcéj; odepchnięty od hrabiny zbyt wyraźnie, traktowany na zimno, wyszydzany nielitościwie, i nadto widząc ciągłe postępy mego wpływu na Aurorę, biedny kochanek wpadł w rodzaj czarnéj melancholji, pisał krwawe elegje, schudł, znędzniał, patrzał na mnie

dzikim wzrokiem, i przy każdéj okoliczności starał się stanąć mi wpoprzek drogi.

To mnie znudziło. Postanowiłem nareszcie skończyć tę nędzotę. Pewnego dnia przyjeżdżam rano do Cyprysa, i nie zwracając żadnéj uwagi na jego zadziwienie, mówię mu z zimną krwią:

— Pan się gniewasz na mnie.

— Może być, odpowiedział Cyprys z dziwnym uśmiechem.

— Nie wątpię o tém bynajmniéj, i przyjechałem z propozycją.

— Słucham cierpliwie.

— Wymawiam sobie tylko, żebyś pan nie stracił téj cierpliwości do końca i dał mi wszystko wypowiedzieć.

— Postaram się.

Siadłem bez ceremonji i obojętnie poprosiłem o cygarko, a zapaliwszy je, zacząłem mówić:

— Nie wiem prawdziwie, czém mogłem pana mego obrazić, bo zdaje mi się, że między nami nigdy nie było dosyć blizkich stosunków; ale ponieważ mi nie zostaje żadnéj wątpliwości o tém, że pan masz do mnie jakąś ważną urazę, więc przyjmując to za fakt, i nie szperając przyczyn, ofiaruję panu honorową satysfakcję, podług mojego sposobu widzenia rzeczy, na następujących zasadach: albo pan jesteś tak mocno obrażony, że mu potrzeba koniecznie śmierci jednego z nas, albo dosyć ci będzie na ranie. W obudwóch razach będziemy ciągnęli losy, komu wypadnie śmierć, w 24 godziny wyjedzie gdziekolwiek, gdzie jest wojna, zaciągnie się do wojska, i będzie się bił tak nieustraszenie, żeby zginąć w pierwszéj ekspedycji. Takim sposobem nasze szaleństwo będzie miało przynajmniéj jakiś użytek dla społeczności. Jeśli zaś dla zadowolenia pańskiego może wystarczyć rana....

— Nie, nie, przerwał Cyprys, śmierć! jedna tylko śmierć! Będzie to cokolwiek oryginalny pojedynek, ale masz pan słuszność, że w nim mniéj szaleństwa. Zresztą środki są dla mnie obojętne; potrzeba mi tylko, ażeby jeden z nas honorowie ustąpił drugiemu z kuli ziemskiéj. Kiedyż będziemy ciągnęli losy?....

— Jutro o 9 zrana w obecności dwóch świadków.

— Więc czekam pana z jednym świadkiem jutro, ale nie o 9, spodziewam się, że zgodzisz się przyjechać o 11. Jutro moje urodziny, sprosiłem dobrych znajomych na śniadanie; wielu z nich są naszymi wspólnymi kollegami. Nie chciałbym zepsuć téj przyjemności. Pośniadaj pan z nami, a potém skończym nasze sprawy.

Zgodziłem się na tę propozycję.

W czasie tego śniadania Cyprys był w dziwnym humorze. Człowiek zwyczajnie małomówny, ostrożny, dyplomata, smętny, zrobił się nagle szalenie wesoły, strzelał kalamburami, pryskał dowcipem, opowiadał tak śmieszne anekdoty, że trzeba było się śmiać do rozpuku, i ogarnął rozmową do tego stopnia, żeśmy wszyscy tylko słuchali i trzymali się za boki. Jeden z młodzieży spostrzegł to i zawołał żartując: Cyprysie! azali słowa nikomu nie dasz wymówić? Krótko mówiąc, nigdy nie widziałem go w takiém usposobieniu ducha, i ta dziwna zmiana w humorze wydała mi się znakiem blizkiéj śmierci. Powziąłem złą wróżbę o sprawie mego szkolnego kollegi.

Kiedy się goście rozeszli i zostaliśmy jedni ze świadkami, podano nam losy w kapeluszu. Cyprys niecierpliwie wyciągnął jedną gałkę, otworzył dłoń z drżeniem: czarna gałka! śmierć! śmierć bohaterska! Ha! zawołał, wszystko sprzyja temu człowiekowi!... Na drugi dzień wyjechał. W pół roku zginął przy szturmie *Achulgo*, gdzie pokazał zapamiętałe męztwo.

Tymczasem odjazd Cyprysa, a może i ostatnie jego wywnętrzenie się przy pożegnaniu z hrabiną, sprawiły silne wrażenie na umyśle Aurory. Aurora należała do rzędu tych kobiét, które, przy całéj swojéj na pozór lekkomyślności, rachują się z życiem jeśli nie codzień, to przynajmniéj raz w kilka miesięcy. Ostatni rachunek, który hrabina uczyniła z sobą, mocno ją zadziwił i zastraszył. Przewaga, którą wzięłem nad nią, stanęła jéj dobitnie w umyśle i w sercu. Smutek w duszy, bladość na twarzy i tęsknota wycieńczająca wszystkie siły życiowe, dowiodły jéj, że napróżno uważała siebie zawsze za kobiétę mocną. Była w istocie słabą jak inne niewiasty, i stała na drodze nieszczęścia....

Kiedy ją odwiedziłem potém, znalazłem wielką zmianę w obejściu się ze mną. Była milcząca, roztargniona, jakby pod ciężarem jednéj dręczącéj myśli, niezmiernie ostrożna w mowie i nadzwyczajnie grzeczna.

Pojąłem całą zagadkę i przestałem bywać. Namyśli się, mówiłem sobie, albo głowa ustąpi sercu. Będę cierpliwy, póki mnie nie przyzwie.

Po kilku dniach przyniesiono mi listek. Hrabina prosiła usilnie, ażeby się stawić podług dawnego zwyczaju.

— Widzisz pan, rzekła mi, kiedy wszedłem do rozkosznego jéj budoaru, że ja się bez pana nie mogę obejść.

Dziwny uśmiech przeleciał jak błyskawica po jéj twarzy, i pokazała mi ręką, żebym siadł przy niéj.

Żal mi się jéj zrobiło, nerwy litości zadrżały w mém sercu, ale to trwało tylko chwilkę.

— Co za śliczna kobiéta! pomyślałem sobie patrząc na jéj czarującą postać, na smętne czoło i oczy zamglone, ale błyszczące łzawą wilgocią.

Aurora wróciła wkrótce do zupełnéj przytomności. Byliśmy sami jedni w pokoju, i ta chwila zdała jéj się stanowczą. Postanowiła raz już skończyć tę tajemniczą walkę uczuciową, która zmęczyła ją, która wyczerpała jéj cierpliwość i zniweczyła pokój serca. Chciała się nakoniec dowiedzieć, czego się może spodziewać odemnie, porachować się ze mną, wiedzieć co jéj daléj czynić. Kobiéca duma dodała jéj mocy. Spojrzała na mnie śmiało, prosto w oczy i rzekła:

— Chociaż to może pana zdziwić, muszę mu jednak wywnętrzyć się z jednéj myśli, która od niejakiego czasu truje mi wszystkie chwile życia.

— Wiem co pani chcesz powiedzieć, przerwałem.

Aurora nie pokazała żadnego zadziwienia. Przywykła oddawna do mojéj przenikliwości, i wiedziała, że ją naskróś pojmuję. Zakryła twarz obiema rękami i rzekła:

— Mów pan.

— Pani sądzisz rzeczą konieczną albo mnie kochać, albo nienawidzieć.

— Wiedziałam, że pan to dawno odgadłeś. Nikt dotąd nie zaglądał tak głęboko w moję duszę. Gdybym była parafjanką, sądziłabym, że to czary. Mów pan daléj.

— Pani chcesz wiedzieć moje zdanie.

— Tak... daléj, daléj!...

— Ja sądzę, że pani nie jesteś zdolna ani do miłości, ani do nienawiści.

Hrabina zbladła jak płótno, usta jéj zadrżały i zsiniały; wlepiła we mnie dziki, sztywny wzrok, i rzekła zcicha: okropny człowiek! i spuściła zamyśloną głowę, jakby upadając pod ciężarem gnębiących ją dum.

Po chwili wyprostowała kibić, rzuciła na mnie smętne spojrzenie, i spytała stłumionym głosem:

— Czy kochałeś pan choć raz w swojém życiu?..

— Wszak pani nigdy nie znałaś miłości, odpowiedziałem jéj spokojnie.

— Nigdy! zawołała hrabina, chyba teraz...

Twarz jéj zapłoniła się żywym ponsem, łzy bryzgnęły z oczu, gorący jéj oddech dochodził do mnie, widziałem, jak pierś jéj drżała konwulsyjnie....

Zachwiałem się w swojéj obojętności, nie mogłem wytrwać dłużéj w téj roli, uczucie szturmem zdobyło moje serce.

Od téj chwili życie moje przybrało wiosenną barwę. Wiedziałem, że to niedługo potrwa, ale ta myśl nie trała szczęścia. Żyłem teraźniejszością.....

. . . . . .

. . . . . .

Przypisek doktora. O następnych wypadkach tego romansu nie zostało żadnego śladu między szpargałami Karola. Widać, służący wyciągnął z kosza całą kartkę, dla zapalenia drewek na kominie. Znalazłem tylko krótki urywek z końca. Oto, co mówi Karol:

— Po dwóch miesiącach szczęścia uczułem w sobie nagłą zmianę. Byłem strudzony naprężonym stanem serca, przesycony uczuciem, zrażony obowiązkiem podtrzymywania nadal téj roli; pragnąłem odpoczynku, pokoju; zresztą Warszawa nudziła mnie okropnie, postanowiłem wyjechać za granicę.

W naznaczony dzień siadłem rano do podróżnego powozu i kazałem pocztylionowi jechać do hotelu hrabiny, mając zamiar naprędce się z nią pożegnać. Trafunkiem w tym samym czasie Aurora jechała gdzieś z ranną wizytą, powozy nasze spotkały się na ulicy. Kazałem stanąć pocztylionowi, i wyskoczywszy, pobiegłem powiedzieć jéj ostatnie *adieu!*

— Cóż to znaczy? zapytała hrabina z nieopisaném zadziwieniem, podróżny powóz? pocztylion? na miłość Boską co to znaczy?

— To znaczy, że wyjeżdżam za granicę! odpowiedziałem cokolwiek ostro, właśnie dążyłem do hotelu pani, ażeby ją pożegnać.

— Ależ to być nie może! Karolu! zawołała hrabina, wpadłszy w rodzaj odrętwienia, blada, i z okiem nieruchomie na mnie zwróconém, powtarzam ci, Karolu, że to być nie może, to są żarty! O! zmiłuj się, nie nadużywaj swéj władzy nademną! powiedz, zaklinam cię, wszak ty żartujesz? ty nie wyjedziesz? uspokójże mnie!..

— Muszę wyjechać, rzekłem sucho.

— Cóż cię do tego zmusza? jęknęła hrabina, gdzie jedziesz?

po co? czy na długo? co chcesz ze mną zrobić? zadecyduj, rozkaż, co mam począć, czy towarzyszyć ci na koniec świata, czy umrzeć z rozpaczy?...

Żal jéj było. Mam serce miękkie z natury, lecz głowę uporczywą. Była chwila, w któréj chciałem zostać; ale wraz potém pomyślałem sobie: Na co mi się przyda ta miłość? wszak ona oddawna już wyczerpana, dawno mnie już znudziła. Obracając się do hrabiny, rzekłem: Spojrzyj pani na ulicę, ludzie na nas patrzą, że się tak długo żegnamy. *Adieu, M-e la Comtesse! J'ai bien l'honneur de me recommander à Votre gracieux souvenir!*

Hrabina zemdlała w koczu.

Wskoczyłem do swego powozu, konie w czwał poleciały po bruku.

Zakończenie.

O życiu i śmierci Karola nie znaleźliśmy nic więcéj w tece doktora. Mamyż tego żałować? zdaje nam się, że nie: bo kto tylko pojął cierpienia bohatéra téj powiastki, potrafi sobie dopełnić tego ulotnego szkicu, który o nim zebraliśmy; kto zaś ich nie pojął, ten się zapewne znudził, i może zasnął, nie doczytawszy do końca, nawet tego urywku.

FRENOFAGJUSZ I FRENOLESTY.

Dans beaucoup de cas de folie, le desordre ne porte que sur un seul objet (idée fixes) l'homme pouvant être en jouissance de sa pleine et entière raison à tous les autres égards. HUFELAND.

On a dit avec raison que l'histoire de la civilisation pourrait être faite par l'histoire des monomanies. ANDRAL.

PANTOFEL DO PUBLICZNOŚCI.

— Avouez madame, que c'est une préface?

— Si, monsieur, mais c'est la faute de ma Pantoufle.

Kiedy to pisemko dostanie się w twoje ręce, o szanowna publiczności! prochy moje będą już spoczywały w ziemi, pamięć moja zaginie, i ty nie postrzeżesz nawet, że ci braknie Pantofla, dla tego, że posiadasz ich takie mnóztwo!

Całe życie strawiłem, żeby pojąć ciebie, o najdziwniejsza z istot! Dziś jestem już stary, jutro może umrę, a wiem o tobie niewięcéj, jak pantofel o tym, co zdarł go na swojéj nodze. Jeśli cokolwiek pocieszyć mnie może, to tylko to jedynie, że i inni badacze nie więcéj odemnie się dowiedzieli.

Żeby ciebie pojąć, trzebaby żyć tak długo, jak ty żyjesz, a początek twéj egzystencji kryje się we mgle najodleglejszych wieków! Jeden uczony upewniał mnie, że ty byłaś nawet przed potopem. Ty żyjesz, rośniesz i krzepniesz bez przestanku; nie znasz choroby, chociaż wszystkie twoje członki zwątlone gangreną. Śmierć stoi tylko przy tobie jak hajduk i miotłą zmiata proch spadający z olbrzymiego twego ciała.

Dziwna twoja potęga, o szanowna publiczności! Na ciebie wszyscy patrzą jak na bożyszcze, każdy się ugina przed tobą, każdy słucha twych słów jak wyroczni. Twój oklask, twoje pochlebne zdanie, elektryzują serce najzimniejszego człowieka. Macedończyk, gromiąc Azijski świat swojemi falangami, dumał nieraz o tém, co ty téż powiesz o nim na Ateńskich placach? Dla ciebie Kurcjusz

rzucił się w przepaść, Djogenes siedział w beczce i Herostrat zapalił świętokradzką głownię. Dla ciebie, potężna istoto, grymasują na teatralnéj scenie, błaznują na hecy, rzępolą na koncertach, piszą poemata i powieści, i na wszystkie sposoby łamią sobie głowy, byle ciebie tylko zabawić. Dawniéj gust twój był dość prosty; wołałaś tylko: *panem et circenses;* dziś napadł na ciebie jakiś spleen, jakaś gorączka, w któréj nic ci się nie podoba; ziewasz i krzyczysz ciągle: — *dawajcie mi co nowego, bo się nudzę!* — O szanowna publiczności! umiarkuj się, bo kiedykolwiek dostaniesz suchot i umrzesz z nudów!...

Ty jesteś najmędrsza ze wszystkich istot pod słońcem, ty masz najwykwintniejszy gust, najpewniejszy sąd, i tyle przenikliwości, że żadna zaleta nie ukryje się przed tobą. Dla tego też największy geniusz z pokorą składa swoje pomysły w twoje ręce i spokojnie czeka twego wyroku, będąc pewnym, że prędzéj czy późniéj oddasz mu sprawiedliwą miarę uwielbienia i wdzięczności. Ale przy tym kolosalnym rozumie, dla czegóż się tak spieszysz ze swojém zdaniem? o szanowna publiczności! mylisz się, sądzisz przewrotnie, krzywdzisz, znieważasz, bredzisz jak student kiedy wpadnie w zapał! Oświstałaś Fedrę, a słuchasz z zadowoleniem płaskich wierszokletów; spostrzegłaś herezję w Tartuffie, a uwielbiasz dzisiejsze szalone powieści i drammy; nie wierzyłaś Galileuszowi, ani Kolumbowi, a dajesz się za nos wodzić szarlatanom, sofistom i półgłówkom. O szanowna publiczności! dalipan tyś lekkomyślniejsza od dziecka, a nawet od kobiéty.

Ty obojętnie patrzyłaś na nędzę Miltona i Kamoensa, nazywałaś Tassa wariatem, szydziłaś z cierpień Russa, ty kupisz się na palcach, i z zadowoleniem patrzysz, jak kat wiesza zbrodniarza; ciebie przygoda psa Alcybiadesa zajmuje więcéj, niż śmierć Sokrata, bajka o cieniu osła więcéj od płomiennych Filipik Demostena; ty jesteś zimna jak myśl samoluba, ty nie masz serca, o szanowna publiczności! tylko oczy i uszy, i w łonie bezdenną beczkę — ciekawości.

Widziałem kiedyś z zadziwieniem, jak nieśmiertelny skrzypak [1]) powitany tysiącem głosów uwielbienia, otoczony burzliwym zapałem i oklaskami, stał przed tobą, o szanowna publiczności, zimny jak marmur, z twarzą obojętną, albo raczéj z wyrażeniem wzgar-

1) Paganini.

dy, i ani wzrokiem, ani skinieniem ręki, ani najmniejszym gestem nie odpowiedział na twoje konwulsyjne aplauzy, przed któremi inny na jego miejscu ugiąłby się do ziemi. Widziałem to, kiedy byłem młody, i nie pojmowałem jego oziębłości; dziś zdaje mi się, że gdyby Pantofel umiał grać na skrzypcach, to postąpiłby nie inaczéj. Teraz szanowna publiczności, bądź zdrowa! Zostawiam ci powieść. Jeśli cię znudzi, nie gniewaj się, rzuć ją tylko, tak jak ja przenudziwszy się całe życie z tobą, porzucę cię wkrótce bez gniewu.

Jak ja zaszedłem sobie do Bonifratrów.

O rannéj godzinie piłem kawę, kiedy mi przyniesiono bilecik od mego księgarza i ostatnią część umówionéj upłaty.— Tak więc, pomyślałem sobie, podczesując czuprynę, dzieło moje nareszcie wydane, rozkupione prawie w mgnieniu oka, i ocenione przez światłych recenzentów; moje długie badania, moja mozolna praca, przyniosły mi więcéj wziętości i pieniędzy, niż się można było spodziewać w naszych czasach. Żeby to powieść, albo jaki poemat, albo dramma, albo wreszcie wojaż!.... ale księga *in quarto*, tchnąca, jak mówią, lampowym olejem, pełna cytacji z autorów, których dzieła w bibliotekach oddawna już oddane na pastwę myszom; o! to niepojęta zagadka. Rozwinąłem rulonik odebranych dukatów, postawiłem z nich kolumnę na stoliku i zatrzymałem na niéj wzrok zadowolenia. Nie posądzajcie mnie o chciwość albo skąpstwo; o nie! wierzcie mi, że ten metal, za który wszystko w świecie można kupić, nigdy mnie nie zajmował, póki byłem syty i odziany; i w owéj chwili patrząc na złoto, nie myślałem bynajmniéj o jego cenie, ale o czémś inném, co w mojém pojęciu było zawsze wyższém nad bogactwo. Mnie się zdało, (bo cóż się człowiekowi nie zdaje, kiedy kontent z siebie) że ów słupek, stojący na stoliku, był to pomnik, który wdzięczni ziomkowie postawili mi na najpiękniejszym placu w Warszawie. Bagatela! Wyobraźcie sobie szczęście człowieka, któremu postawiono kolumnę ze szczerego hollenderskiego złota *at legem imperii!*... W zachwyceniu zdało mi się widzieć lud z całéj Warszawy stojący pod owym posągiem i wielbiący moje nieśmiertelne imię. Wskoczyłem na krzesło, ażeby

z téj trybuny wyciąć mowę do narodu; ale w zbyt gwałtownem uniesieniu wdzięczności, zawadziwszy piętą, przewróciłem się z krzesłem, obaliłem stolik, a z nim i złotą kolumnę, z któréj dukaty poleciały na podłogę!...

Sądzicie zapewne, że jako filozof, powiedziałem sobie: „*sic transit gloria mundi*“ i przestałem się dziwaczyć, ale na ten raz nie zgadliście. Byłbym niezawodnie tak postąpił i nie zawiódł waszego oczekiwania, gdyby tylko złoto było upadło bez brzęku na jaki miękki przedmiot, naprzykład na pierzynę mojéj babki, albowiem wtedy cała dramma byłaby skończona. Ale ponieważ blisko stolika nie było pierzyny, więc dukaty upadły na twarde deski podłogi, na których każdy, prędzéj lub późniéj, wydał czysty, dźwięczny, harmonijny głos; większa część ich zawołały chórem:—chwała tobie Wicusiu! — inne członkowo, coraz w większéj odległości od stolika, powtórzyły to samo, a nareszcie ostatni dukacik, skończywszy bieg swój pod łóżkiem, i tam jeszcze krzyknął: — chwała tobie Wicusiu! a potém położył się na bok.

Upojony sławą, nie posiadając się z radości, schwyciłem kapelusz i laskę i wybiegłem na ulicę, nie pomyślawszy wcale, gdzieby iść; czułem tylko niezwyciężoną potrzebę odstąpić komukolwiek część swego szczęścia. Przyśpieszałem kroku, jak gdybym biegł po księdza do umierającéj matki. Ludzie ustępowali mi się z drogi, jedni obojętnie, a drudzy uśmiechając się, za co im odpłacałem grzecznym ukłonem, bo mi kiedyś mówiono że uśmiech jest znakiem dobrego życzenia. Takim sposobem przebiegłem kilka ulic, póki nareszcie ochłonąwszy z zapału i straciwszy siły, jak gończy pies na polowaniu, nie stanąłem na bruku, pytając sam siebie: gdzie idę? — Przeliczyłem w myśli wszystkich moich znajomych i nie miałem ochoty żadnego z nich widzieć; bo ci ludzie byli zbyt mocno uprzedzeni o swoim własnym rozumie, ażeby wierzyć w cudzy rozum, nie chwalili nic w świecie, oprócz samych siebie, i drwiliby ze mnie, gdyby mnie zobaczyli tak mocno zajętym sławą. Stałem więc na ulicy pogrążony w dumach i trzymając się jedną ręką za ucho.

— O czém wpan zamyśliłeś się? spytał nawiasem jakiś jegomość, przechodząc koło mnie.

— Myślę, gdzieby mi też iść? odpowiedziałem machinalnie.

— Cha, cha, cha! idź wpan do Bonifratrów, rzekł nieznajomy, pokazując mi palcem na dom warjatów. — Życzę wpanu wygodnéj celi.

— Masz słuszność! rzekłem sam w sobie, pójdę do Bonifratrów. Nieźleby każdemu uczonemu odwiedzić ten dom, ażeby cokolwiek mniéj wierzył w potęgę swego rozumu. A zresztą, tam przynajmniéj nie będą drwić ze mnie, nie wciągną mnie do dysputy, nie znudzą samochwalstwem. — I poszedłem do domu warjatów.

Pan Marszałek.

Otrzymawszy od przełożonego pozwolenie odwiedzić ciele nieszczęśliwych umysłowych rozbitków, wszedłem z dozorcą na długi kurytarz, z obu stron którego były ich mieszkania; lecz zaledwie zrobiliśmy kilka kroków, przewodnik mój zatrzymał się i rzekł: — Widzisz wpan tego jegomości, co się do nas zbliża? On mnie wyręczy; idź pan tylko daléj, on panu wszystko pokaże i opowie.

— Czy to twój towarzysz? zapytałem obojętnie.

— O, nie! odpowiedział dozorca z jakimś dziwnym uśmiechem; ale bądź pan spokojny, on lepiéj odemnie zna historję wszystkich chorych, on nimi ciągle zajęty, on śledzi każde poruszenie na ich twarzy, i czego się od nich lub od nas nie dowie, to dopełnia domysłem i fantazją; słowem, wierz mi pan, że on cię więcéj zadowolni jak ja.

— Więc to warjat? zawołałem z niejaką trwogą; ale dozorca już odszedł daleko.

Tymczasem nieznajomy zbliżał się wolnym, poważnym krokiem. Był to człowiek młody, kusy, otyły, rumiany, z długiemi włosami i twarzą jaśniejącą dziwacznym uśmiechem; w jedném ręku trzymał jakiś szpargał papieru i ołówek, a w drugiém kapelusz.

— Wpan zapewne chcesz widzieć tych nieszczęśliwych? spytał nieznajomy, kłaniając się uprzejmie i z najlepszym tonem.

— Tak jest, odrzekłem, lecz z kimże mam honor mówić?

— Ja? zawołał nieznajomy, jakby zmięszany pytaniem, ja? nic, prawdziwie, bardzo przepraszam, ja nie mam żadnego tytułu. Wczoraj jeszcze byłem baronem, a dziś jestem nic więcéj, jak marszałek potężnego Frenofagjusza, przy którego łaskawéj protekcji może napiszę powieść obiecaną pannie Paulinie.

— A, panie marszałku! podchwyciłem, więc wpan jesteś literat! mocno się z tego cieszę i polecam się jego przyjaźni.

— Ach! nie, wcale nie! mości dobrodzieju! rzekł kusy z obłakaniem i ironją; prawdziwie, bardzo przepraszam, ja wcale nie literat! Brzydkie to jest rzemiosło być literatem! trzeba mieć do czynienia z drukarzami, którzy biednych doprowadzają do głodu, a bogatych do złego humoru; z recenzentami, którzy sądzą, że każdy autor sprzedał im swoje dobre imię razem z książką, i uczoną hałastrą, która o milę krzyczy na ciebie: — Jak się masz przyjacielu! — trzeba czytać twoje utwory w salonach napół drzemiącym kobiétom, wymuskanym fircykom i poważnym mężom grającym w wiska; trzeba słuchać ich rad, zdań, kaprysów, urojeń, złośliwych epigramm i płaskich konceptów; trzeba nareszcie wierzyć każdemu ze znajomych, że gdyby tylko chciał, toby sto razy, tysiąc razy, milion razy lepiéj od ciebie napisał to, nad czém może przesiedziałeś połowę życia. I przy wszelkiéj powolności z twéj strony, czytelnicy pierwszemu lepszemu recenzentowi uwierzą, że jesteś bazgracz, plagarjusz, bezbożnik, słowem, niegodziwy człowiek! Ach! nie, mój łaskawco! prawdziwie, bardzo przepraszam, ja nie literat, niech mnie Bóg zachowa od tego! ja prosto sobie marszałek potężnego Frenofagjusza.

— W takim razie, rzekłem, proszę mi przynajmniéj powiedzieć, kto jest ów Frenofagjusz, który wpana protegуje?

— O mój przyjacielu! rzekł oburzony marszałek, czyliż nigdy nie słyszałeś o potężnym Frenofagjuszu? W naszym oświeconym XIX wieku człowiek dobrze wychowany wie nazwiska aktorek paryzkich teatrów, nazwiska angielskich kogutów, koni i bokserów, a wpan nie znasz potężnego Frenofagjusza, który ma swój pałac o kilka kroków od twego domu!... Potém zamyślił się, i po chwili mówił daléj: — Frenofagjusz ma swoje pałace w całym świecie — w Londynie *Bedlam*, w Paryżu pół *Bicêtre* i pół *Salpêtriere*, w Warszawie *dom Bonifratrów* i t. d., i t. d. Historja jego jest bardzo dziwna! nie słyszałem nigdy dziwniejszéj! Cóż robić, opowiem ci wszystko, kiedy jesteś tak ciemny; tylko odejdźmy za węgieł, żeby przez to okno stary Frenofagjusz nie postrzegł naszéj schadzki: bo jak zobaczy, to i podsłucha, a jak podsłucha, to mnie odprawi, a wtedy nigdy mi się już nie uda napisać powieści, którą obiecałem pannie Paulinie.

Odeszliśmy więc z głównego kurytarza, i pan marszałek tajemniczym głosem opowiedział mi następującą historję:

Frenofagjusz i Frenolesty.

— Potężny Frenofagjusz, rzekł marszałek, karmi się ludzkiemi rozumami.

— Tam do licha! mój dobrodzieju! podchwyciłem mimowolnie, wszakci twój pan często zapewne bywa głodny.

— A to dla czego? spytał mocno zdziwiony marszałek.

— Dla tego, odpowiedziałem, że w naszych czasach ta potrawa bardzo droga, bo rzadko ją można znaleźć niesfałszowaną. Teraz zdrowego cielęcego rozumu trudno dostać, a potężny Frenofagjusz polubił takie łakocie!...

— Aha! teraz rozumiem co on mówi, bąknął marszałek, odwracając się odemnie, w samym początku historji drwinkuje, cóż to będzie daléj? Bądź wpan zdrów, i chciał odejść.

— Stój, stój, kochany marszałku! cóż w tém złego, co ja powiedziałem? wytłómacz mi to.

— To złego, rzekł marszałek, że to kłamstwo, brednie, koncept, i nic więcéj. Jak to? czy nie widziałeś tyle szkół, uniwersytetów, akademij, uczonych towarzystw i t. d.?— i zaczął jak grzechotka klepać: — Ja mam rozum, ty masz rozum, on ma rozum, my—wy—oni mają rozum, wszyscy mają rozum!

— Prawda, prawda, mój marszałku, wszyscy mają rozum. Jednakże powiedz mi, jakim sposobem twój pan karmi się tą potrawą?

— Jakim sposobem? cha, cha, cha! zabawne pytanie! takim samym sposobem, jak wpan zjadasz kaczki, barany i woły. Wszak nie połykasz ich, póki żywe, i im większy zwierz, tém na więcéj kawałków musisz go rozdzielić wprzód, nim całego skonsumujesz; no, tak samo i potężny Frenofagjusz zjada rozum dopiero wtedy, kiedy nitka łącząca dwie jego połowy i utrzymująca w nim życie będzie przecięta, a im większy rozum, tém dłużéj go je.

— Jakaż to nitka? zapytałem.

— Ach! czy wpan nie wiesz, że rozum składa się z dwóch połówek, z których jedna znajduje się w głowie, a druga w sercu, że one są z sobą złączone nitką? A ta nitka może się zerwać jednakowo, od wstrząśnienia w jednym albo w drugim końcu. Chodzi tylko o to, żeby targnąć za jeden koniec albo za oba.

— Więc to tę nitkę Frenofagjusz zrywa, kiedy ma apetyt na czyj rozum?

— Rozumie się. Tylko Frenofagjusz zbyt potężny, żeby się sam tém zajmował; on sobie siedzi spokojnie, a targaniem nitek rozumu zajmują się Frenolesty, których rozsyła po świecie. Ale wpan zapewne nie wiesz, co to za istota Frenolestes? Zaraz ci wytłómaczę. Potężny Frenofagjusz codzień rano, jak tylko się ocknie ze snu i zapali cygaro, bierze się lewą ręką za głowę, wyrywa sobie jeden włos z czupryny, i ogrzawszy go cokolwiek żarem cygara, rzuca w powietrze. Z tego włosa natychmiast staje przed nim istota z pokorną postacią, która się nazywa Frenolestes. Frenolestes, jak drugi Proteusz, może przybierać taki kształt, jaki mu się tylko podoba. Może on być mężczyzną albo kobiétą, wielbłądem albo nietoperzem, lecz charakter odbiera od Frenofagjusza, i ani na jotę nie może od niego odstąpić, mając w tym względzie naturę djametralnie przeciwną ludzkiéj. Jeśli włos był wyrwany z tego miejsca czerepu, które w organologji doktora Galla oznaczone n. 4, to Frenolestes cały tchnie brutalstwem, urwis i zabijaka; jeśli z n. 6, to chytry jak lis i kłamca nieuhamowany; jeśli z n. 22, to szalony poeta i t. d. Jak tylko się urodzi taki Frenolestes, to ojciec, uderzywszy go pięścią w kark, jak piłkę wyrzuca przez okno na świat, w którym pan synek błąka się dopóty, dopóki nie wypełni swego obowiązku.

— Jakiż to obowiązek tego Frenolestesa?

— Nic więcéj, jak zerwać nitkę rozumu u jednego człowieka. Ale ponieważ nikt chętnie nie pozwoli mu zrobić tego, więc Frenolestes wyszukuje sobie ofiarę, i dopóty ją durzy, dopóty tumani, dopóki nie dopnie swego celu i nie przyprowadzi biednego warjata do spiżarni Frenofagjusza. Wszyscy których tu widzisz, nie ustrzegli swego rozumu od przebiegów tych chytrych Frenolestów, i takim sposobem nieustannie napełnia się spiżarnia, i potężnemu Frenofagjuszowi nigdy nie braknie na stół rozumów.

— I ta potrawa nie wydaje mu się gorzką? rzekłem.

— A! zawołał marszałek, zadumawszy się głęboko, przyznam ci się, że mi to nigdy nie przyszło na myśl. Muszę kiedykolwiek zapytać go się o to. A teraz pójdźmy obejrzeć jego spiżarnię

Klassyfikacja.

— Jednakże zaczekaj jeszcze chwilę, rzekł marszałek, wszystkich cel nie warto opatrywać, bo widzisz, mój łaskawco, nawet w spiżarni Frenofagjusza jest różnica między ludźmi.

— E, mój przyjacielu! zawołałem, mnie się zdaje, że tu wszyscy równie nieszczęśliwi i na równą też zasługują litość.

— E! zawołał marszałek, przedrzeźniając mój głos, i patrząc mi w oczy z szyderstwem; któż to mówi o nieszczęściu lub litości? Ja chciałem ci powiedzieć tylko, że tu są tacy, co swój rozum sprzedali bardzo tanio, stracili go takim płaskim sposobem, że o nich można zapomnieć, mając przed oczyma ofiary, które z jakichbądź przyczyn zasługują na większą uwagę. Co tu ciekawego, że ktoś przepił swój rozum Frenolestesowi, albo że Frenolestes okarmił go lekarstwami? że jednemu szepnął do ucha, żeby oddał swój rozum Marysi, a drugiemu, żeby go sprzedał Franusi? Chciałżebyś słuchać oklepanych historji o pijakach, płaskich zalotnikach, albo ludziach nieporządne wiodących życie? Jeśli tak, to czy nie każesz mi opowiedzieć sobie biografji jakiego Hotentota, o którym niewiele więcéj można powiedzieć nad to, że był, jadł, pił, spał, i umarł? E, mój przyjacielu! dziejopis wyrzuca obojętnie całe wieki z historji narodów, jeśli narody w tym czasie nie zrobiły nic zasługującego na uwagę, a ty chcesz, żebym ci opowiadał życie wszystkich warjatów bez wyjątku!...

— No, no, nie gniewaj się łaskawco! rzekłem łagodnie, wszak ja nie miałem złego zamiaru.

— Jabym się miał gniewać! zawołał marszałek, ja? i za co? czy za to, żeś mnie nie zrozumiał? o! nie, prawdziwie że nie. I nachyliwszy się do mego ucha, mówił daléj tajemniczym głosem: — Istotnie, bardzo przepraszam, ale muszę panu powiedzieć jeden sekret, który mi ciąży na sercu. Oto, wiesz pan, ja dawniéj za najmniejszą drobnostkę gniewałem się, wyszydzałem cudze zdania, i nikomu nie mogłem przebaczyć, kiedy myślał inaczéj odemnie. I cóż z tego? kłóciłem się ze wszystkiemi, dysputowałem zapamiętale, byłem biegły w sztuce nicowania cudzych myśli, a jednakże wszystko to na nic mi się nie przydało; nie dałem się nikomu przekonać, ale sam też nikogo nie przekonałem. Powiedz pan tylko, co to za dziwactwo chcieć cudzą głowę gwałtem ubrać w swoje zdania, nie rozrachowawszy, czy one jéj będą w miarę! Czyliż

to nie na toż samo wychodzi, jak gdybym ja ot teraz chciał koniecznie ustroić wpana w moje pantalony? cha, cha, cha! patrz tylko, mój łaskawco, wieleby to dobrego mięsa trzeba było przyłożyć do twojéj persony! Ale bądź spokojny, już ja teraz nie mam tych szusów w głowie. Mój łaskawco! jeśli chcesz zostać filozofem, radzę ci wstąpić w służbę potężnego Frenofagjusza.

Marszałek tak się zagadał, że doszedłszy do końca swojéj myśli, nagle zamilkł, i stał obojętnie, założywszy ręce w tył. Gdybym go był zostawił samemu sobie, usta jego nie wydałyby głosu, tak jak grająca tabakierka po skończeniu kuranta. Widziałem potrzebę nowego bodźca, i przypomniałem mu, że mi miał opowiedzieć historję nieszczęśliwych obłąkanych.

— Wpan zapewne spodziewasz się dziwnych opowiadań o tych biedakach, co tu dni swoich dożywają, rzekł marszałek, i szczególniejszy uśmiech napół-szyderczy, napół-smętny zakwitnął na jego ustach.

— Istotnie, rozmowa pańska wzbudziła we mnie niepospolitą ciekawość, odpowiedziałem.

— Moja rozmowa? zawołał kusy, cha, cha, cha, cha! moja rozmowa? Jak widzę, wpan wszystko na mnie chcesz zwalić. Daj pokój! nie ja zrobiłem ciebie łakomym na historje cudzych cierpień; urodziłeś się już z tą żądzą, a XIX wiek, romantyczna literatura i dzisiejsze towarzystwo zrobiły z niéj niezbędną potrzebę. *C'est piquant!* nie prawda? słyszeć, jakim sposobem biedny człowiek doszedł sobie do kompletnéj warjacji? albo co sobie porabiał, nim się zastrzelił? albo za jakie excesa powieszono go za sam środek gardła? he? *n'est ce pas piquant?*

— A, to zabawna rzecz, przerwałem mimowolnie, mieć komu za złe, że jest ciekawy tego, co naturalnie wzbudza w każdym wielką dozę ciekawości. Od początku świata ludzie byli ciekawi; tak zawsze było....

— Przepraszam, odstrzelił marszałek z miną bardzo zadowoloną, nie daléj jak przed pięcią minutami było zupełnie inaczéj. Acpan sam mi prawiłeś z wielką deklamacją jakieś tam androny, że w domu potężnego Frenofagjusza wszyscy są równi i na równą zasługują litość, a teraz złapałem waszmościa, żeś tu przyszedł wcale nie dla litowania się nad tymi nieszczęśliwymi, ani dla przyniesienia im ulgi, ale prosto z ciekawości. A ponieważ cię dość długo trzymam na wodzy, więc już zaczynasz się niecierpliwić; za

niecierpliwością może nastąpić gniew, za gniewem krzywda i t. d. Patrz tylko, jak daleko odbiegłeś od litości....

— Masz rację, mój marszałku! Nie rachuję siebie lepszym od innych; wiem, że nieskrzywione czucie, jest dziś jeszcze rzadsze od zdrowego rozumu. Ale pójdziemy nareszcie do cel, bo cóś trawimy czas na próżnéj gawędzie.

Idziemy nareszcie.

— Chodź, chodź, łaskawco! krzyknął kusy, ciągnąc mnie za rękę, ostrzegam cię jednak, że dziś w pałacu mojego protektora niewiele ciekawego się dowiesz. Szalone romanse nowéj szkoły od kilku lat już wyjawiły światu całą kronikę warjacji.

— Oto tu w téj celi siedzi sobie człowiek, któremu jeden z najprostszych Frenolestów wytłómaczył, że szczęście na téj ziemi zasadza się na bogactwie, a mądrość zawiera się w tém, żeby nie mając pieniędzy, prędko i bez pracy ich nabyć. Zgadnij łaskawco, jaką też drogą pan Maciéj postanowił dojść do bogactwa?

— Na to jest tysiąc sposobów, odpowiedziałem. Może wybrał ten sposób, co teraz najmocniéj zawraca głowę młodzieży: czy nie polował przypadkiem na panny z posagiem?

— A, to w saméj rzeczy wyborny środek! ale pan Maciéj go nie probował, bo z prostoty miał jeszcze jakiś skrupuł, że mężczyzna powinien sam los swój urządzić, a nie wyżebrać sobie albo wyłudzić podstępem egzystencję u młodéj, łatwowiernéj dziewczyny. Pan Maciéj wybrał loterję i cały maleńki spadek po rodzicach na tę hazardowną operację przeznaczył. W nadziei przyszłego bogactwa, mało jadł, mało pił, skąpił sobie we wszystkiém, i z namowy swego Frenolestesa tylko stawiał, stawiał, stawiał na loterję. Nareszcie postawił ostatni grosz, przegrał, i z zimną krwią sobie zwarjował. Cóż w tém ciekawego? mój dobrodzieju! to sobie szuler osobnego rodzaju, marzyciel romantyczno-filozoficzny, głowa wykręcona, a zresztą, jeżeli mu się dobrze przypatrzysz, wcale do rzeczy człowiek. Tylko historja jego pospolita, oklepana, nie prawda?

— Prawda. Pójdźmy daléj.

— A tutaj możesz zobaczyć kawalera, co teraz siedzi spokoj-

niutki w kącie, ale dawniéj nie dawał ludziom pokoju, imponował, postponował, robił tysiąc niegrzeczności i jeszcze na pojedynki wyzywał. Wszyscy stronili od niego, jak od morowéj zarazy. Nareszcie bohaterska jego karjera dosyć zabawnie się skończyła. Frenolestes, upatrzywszy go sobie, przyszedł do hotelu, gdzie p. Rajmund hulał z przyjaciołmi, wyjął od niechcenia tabakierę i poczęstował rycerza tabaką.

— Możesz sobie mój panie, schować to puzderko, rzekł p. Rajmund, ja nie zażywam tabaki.

— Mój panie! odpowiedział najgrzeczniéj Frenolestes, powiem panu w sekrecie, że to nie krajowa tabaka, to sobie kontrabanda, i dziwną ma własność: rozumny człowiek nigdy od niéj nie kicha.

— Hm! kiedy kontrabanda, to może być co dobrego.

Zażył szczyptę i zaczął kichać z kowulsyjną gwałtownością.

— Słuchaj! ty! krzyczał w krótkich przestankach operacji kichania, ja ciebie.... nauczę.... taką tabaką... ludzi częstować.... oho!... dasz mi satysfakcję!

Usłużni koledzy natychmiast rzecz załatwili, i Frenolestes musiał się zgodzić na pojedynek. Jako wyzwany, miał prawo naznaczyć warunki.

— No! kiedy? krzyczał pan Rajmund, a, przeklęta tabaka!... uuu!... na pistolety? czy na pałasze?...

— Hm, hm, bąknął Frenolestes, niechaj sobie będzie na pistolety; tylko ponieważ ja nie mam gustu do zabijania ludzi, więc zamiast kuli położę w swój pistolet funt doskonałéj tabaki, od któréj rozumni ludzie nigdy nie kichają.

Jakkolwiek pan Rajmund uważał ten warunek za szyderstwo, wszakże ponieważ takie zastrzeżenie nie było przeciwne żadnemu regulamentowi dla spraw honorowych, więc musiał się na niego zgodzić. Dwaj adwersarze wystąpili na plac. Ponieważ ten dziwny pojedynek nie mógł zostać tajemnicą, więc i spektatorów zebrało się niemało. Frenolestes, jako wyzwany pierwszy strzelił, i tak doskonale, że przeciwnikowi swemu oczy i nos zasypał tabaką. Z tragicznéj rzeczy zrobiła się scena komiczna. P. Rajmund ledwie nie pękł od kichania i złości, spektatorowie kładli się od śmiechu, a Frenolestes, zawoławszy donośnym głosem na cztery końce świata, że przeciwnik jego umyślnie tak długo kicha, żeby się nie strzelać, odszedł z miną szyderczą. Pan Rajmund, co miał taką piękną reputację, nie wytrzymał tego wstydu, sfiksował nieboraczek! Szko-

da takiego porządnego człowieka! Cóż? to także nieszczególna historja. Pójdźmy daléj.

— Ostrożnie koło téj celi, rzekł marszałek, widząc, że chciałem zajrzeć w okno, tu sobie kwateruje niczego kobiétka, tylko że stara, bardzo stara, lęka się nawet cienia człowieka, krzyczy jak szalona, kiedy kogo zobaczy, i z rozpaczą rwie sobie włosy na głowie.

— Pewnie jéj ludzie mocno dokuczyli, rzekłem.

— Przeciwnie, odpowiedział mój *Cicerone,* ona im daleko więcéj i dokuczyła i narobiła złego.

— Dla czegóż się więc lęka?

— Ot, zabawne pytanie! widać, że tak ją nastroił Frenolestes, to prosta rzecz. Jednakże powiem wpanu w sekrecie, że on ją bardzo zabawnie nastroił. Wystaw sobie, jéj się wszystko zdaje, że jest wydęta z mydlanéj wody nakształt bańki, i że jeśli ktokolwiek do niéj dostąpi, to natychmiast pęknie! cha, cha, cha! Powiedz tylko, mój łaskawco, do jakiego stopnia trzeba mieć spustoszony mózg, żeby wpaść na tak dziwaczną myśl!...

— Aj! aj! mój marszałku! rzekłem, kiwając głową, jest to tylko smutna, bardzo smutna myśl, ale wcale nie dziwaczna. Ja sam widziałem nieszczęśliwe przykłady, które mnie przekonały, że kobiéta jeszcze słabsza od mydlanéj bańki....

— I wpan to mówisz na serjo? zawołał marszałek patrząc mi w oczy.

— Ja nie żartuję, odpowiedziałem.

— A, jeśli tak, rzekł uspokojony marszałek, to widać, że ta kobiéta wprzód kłamała, albo że teraz jest mędrsza, jak była kiedyś, gdy ją jeszcze widywałem w towarzystwach. Wtedy ona miała zupełnie przeciwne zdanie. Pamiętam jak rozpuściwszy język, dowodziła młodym osobom swéj płci, że kobiéta ulana jest z djamentu, i że gdyby świat cały zdruzgotany gromem Jowisza upadł na nią, to się zachwiać nie powinna. No, ktoby się to spodziewał żeby u Bonifratrów można mieć lepsze zdanie jak w salonie?

— Jakże się tu dostała ta djamentowa kobiéta?

— At sobie, najprostszym sposobem, nie ma nawet czego opowiadać. Właśnie kiedy najwięcéj rozprawiała o djamentowéj mocy cnoty, Frenolestes dmuchnął tylko, i upadła. Pokazało się, że to była sobie *istota śmiertelna, krew i ciało,* jak powiada poczciwy Falstaff, nic więcéj!

— No, przyznam ci się marszałku, spodziewałem się znaleźć

więcéj przebiegłości u Frenolestów. Gdybym to, co mi opowiedziałeś, przeczytał w jakiéj powieści, i gdybym był tak znakomitym krytykiem, jak *np.* p. Fakundus, to—wybacz, łaskawco! — policzyłbym te anekdoty na karb twojéj własnéj fantazji; powiedziałbym ci dobitnie, że chcąc wymyślić powieść dla p. Pauliny, co ci się jednak dotąd jak na złość nie udała, stworzyłeś dla pomieszczenia w niéj te *étudy* nie z żywego wzoru wzięte, ale z jakiéj dziwacznéj karykatury romansu Wilanda.

Znam dzieła Wilanda, odpowiedział kwaśno obrażony marszałek, ale wybacz także, mój dobrodzieju! jak wpana szanuję, nie wiem dla czego mnie posądzasz, żem tego niemca naśladował czy parodjował? Prędzéjbym się już zgodził być przyklejonym do Witruwjusza, albo Zoroastra, albo wreszcie do Nabuchodonozora — wszak oni także romanse pisali i wcale niezłe.

— Nie bądź wpan tak obrażliwy, p. marszałku! wszakci ja nie krytyk, mówię sobie tylko w ogólności, ale nie wymieniam wcale, do jakiego romansu Wilanda powieść twoja podobna. Mniejsza o to, żeśmy dotąd niczego ciekawego się nie dowiedzieli. Widać że Frenofagjusz musiał być głodny, kiedy się na tych biédaków połakomił. Zapomnijmy o téj drobnostce. Wszak my nie literaci, żebyśmy się o każdą różnicę w zdaniu gniewali.

— O mój panie! nie znasz mnie jeszcze, kiedy sądzisz że we mnie jest choć kropelka *irritabilitatis*. Pójdźmy daléj.

— Ot przy téj celi zatrzymamy się cokolwiek dłużéj.

To mówiąc, położył palec na czole i zamyślił się.

I.

JAKÓB KOZÉRA.

— W téj celi, rzekł marszałek po niejakim czasie, zamknięto niedawno człowieka średniego wieku, z twarzą żółtą, wyschłą z rozpaczającém spojrzeniem, który się rzucał na wszystkich jak szalony i prosił o złotówkę. I dziś dosyć pokazać mu pieniądz, żeby się krew w nim nanowo rozigrała. Nazywa się Jakób Kozéra. Przygodę jego wraz ci opowiem.

— Pewną razą stary Frenofagjusz robił przegląd swojéj spiżarni, i strasznie się gniewał, że była napełniona jednemi tylko mózgami poetów. — Brrr! już mi się ta zimna galareta okropnie sprzykrzyła! wołał Frenofag i targał się za włosy, które lecąc z głowy, rodziły mnóztwo Frenolestów. — Szukać mi mózgu rozpalonego prawdziwą namiętnością, krzyczał stary, tupając nogą ze złości, i Frenolesty rozleciały się jak wróble po świecie.

— Twój protektor zapewne gniewał się na klassycznych poetów? spytałem; u teraźniejszych romantyków, zdaje się, aż nadto gorące mózgi.

— At, wolno panu żartować! Wiem że sam temu nie wierzysz. Naturalnie, nie mówi się tu o prawdziwych wieszczach, którzy, czy tam ich kto nazywa klassykami czy romantykami, zawsze niezaprzeczenie odebrali od natury szczery zapał w łonie; mówi się tu o pseudo-poetach, albo raczéj o pseudo-literatach, żeby kwestja była więcéj ogólna. O uczuciu tych artystów łatwo zawyrokować. Od początku świata próżnia była zawsze zimna. Czasami w tém romantyczném pustkowiu, przeciwko wszelkim prawom fizycznym, coś huczy, szumi, burzy się z hałasem, i wyrabia się na rymy albo na prozę; ale żeby tam mogło być ciepło, o tém nie słyszałem.

— Dziwna rzecz! Pan utrzymujesz, że człowiek bez oświecenia nie może mieć prawdziwego uczucia?

— Hola! hola! mój dobrodzieju! przepraszam! o! najpokorniéj przepraszam! Wpan mnie nie rozumiesz. Ja wcale nie mówię o ludziach nieoświeconych, bo ci będąc ubodzy umysłem, kto wie, czy nie mają za to więcéj sił żywotnych w sercu? ja mówię tylko o ludziach *niedouczonych*.

— Hm! to co innego. A między oświeconymi ludźmi kto ma najmniéj uczucia?

— Zabawne pytanie! Pewnie to nie własna pańska myśl ta, z którą widzę że się chcesz popisać przedemną, bo strasznie niezgrabnie do niéj rozmowę nakręcasz. Tak zawsze bywa, kiedy kto cudzy towar sprzedaje. Powiedz lepiéj otwarcie, coś sobie w téj chwili przypomniał?

— Istotnie.... tak.... w saméj rzeczy.... przypomniałem sobie zdanie jednego znakomitego pisarza; zresztą, nie pamiętam dobrze, czy on liczy się do znakomitych lub nie? ale mniejsza o to. Powiada on, że dowcip nigdy nie egzystuje w parze z uczuciem; że kto posiada ten nikczemny, sztuczny przymiot duszy, niezawodnie jest bez czucia, zimny, egoista i t. d.

— Cha, cha, cha! dobrze że to nie własne pańskie zdanie, bo bardzo złą miałbym o panu opinję. To stara kwestja, mój dobrodzieju! bardzo stara. Jeszcze szanownéj pamięci *Duclos* mówił w swoim czasie: „*L'ésprit n'est pas souvent fort utile à celui, qui en est doué, et cependant il n'y a point de qualité, qui soit si fort exposée à la jalousie. Les sots sont presque tous par état ennemis des gens d'ésprit* [1]).

Otóż masz Pantoflu! pomyślałem sobie, nie popisuj się zdaniami znakomitych pisarzy, i żeby ukryć swoję konfuzję, rzekłem z pośpiechem: — No, p. marszałku! wróćmy do historji tego obłąkanego.

— A, dobrze, rzekł kusy najspokojniéj. — Raz w piękny majowy dzień zatrzymał się przed cukiernią Lursa jakiś staruszek arcy fantastycznéj postaci, w trójgraniastym kapeluszu, w palonych bótach i w szarym fraku dziwnego kroju, wyjął z kieszeni teleskop, rozwinął go przynajmniéj na dwa łokcie i zaczął patrzéć na niebo. A niebo było czyste, błękitne, jak najśliczniejsza ultramarina; żadnéj chmurki, żadnego obłoczka nie dostrzegłbyś na niém, choćbyś sobie wypatrzył oczy. — Co on téż tam widzi na niebie? myśleli poczciwi ludzie, przechodząc po ulicy; i każdy odpowiadał sobie: — Jednakże musi tam coś być, bo dla czegóżby patrzył? A rozstrzygnąwszy takim sposobem zagadkę, zatrzymywali się, kupili się koło nieznajomego, chociaż już schował swój teleskop do kieszeni i tylko gołém okiem patrzył w górę; zbierało ich się coraz więcéj; nareszcie zebrała się porządna gromada gapiów, na których w Warszawie nigdy nie zbywa. Tymczasem nieznajomy wymknął się pocichu z ciżby, i stanąwszy opodal, z zadowoleniem poglądał na medytujące *krew* i *mięso*. Domyśl się, kto to był ten nieznajomy?

— A jużci nikt inny, tylko Frenolestes, co durzył tych poczciwych gapiów.

— Zgadłeś! najakuratniéj zgadłeś! krzyknął pan marszałek, ale jakim sposobem? Mnie się zdawało że to tak trudno zgadnąć, jak zjeść swoją rodzoną głowę z uszami i z czupryną.

— E! mój poczciwy marszałku! nie wszystko trudno, co się z pierwszego razu wydaje trudném. Wszakże *jeść*, znaczy to samo co *karmić się;* a czyż nie widziałeś ludzi, co karmią siebie i dru-

1) Considérations sur les mœurs de ce siècle, par *Duclos*.

gich swoją głową? Prawda, że to dziś nie bardzo w modzie poświęcać tak wiele, kiedy jedna twarz, albo uszy, albo czupryna, mogą wystarczyć na utrzymanie człowieka. Wielu nawet nie używa zupełnie własnéj głowy, a karmi się cudzemi głowami. Ale cóż zrobił daléj twój Frenolestes?

— Ha! prawda, trzeba wpanu dokończyć téj historji. Frenolestes spostrzegł jednego gapia, który, zdawało się, z trudnością głowę podnosił do góry, a czarne oczy błyszczały mu w orbitach, jak dwie świeczki, mrugnął na niego, i odprowadziwszy w stronę, rzekł: — Mój dobrodzieju! fizjognomia pańska niezmiernie mi się podoba, życzyłbym bliżéj się z panem poznajomić, i byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś raczył przyjąć obiadek w hotelu *Chovot*.

— Ach! mój panie! odpowiedział Jakób Kozéra uradowany. W samą porę czynisz mi pan propozycję, bo właśnie wychodząc z bióra, nie wiedziałem, gdzieby to dziś zjeść obiadek? tylko u *Chovot* obiad będzie zapewne drogo kosztował!

— Nie myśl o tém, mój łaskawco! nie masz na świecie bogatszego człowieka odemnie. Gdybym chciał, tobym dukatami całą Warszawę zasypał, i potém odkopywalibyście szczątki sławnego miasta pod lawą szczerego złota zagrzebane.

— Och! jakbym ja gorliwie kopał, pomyślał sobie Kozéra, idąc do hotelu.

Przy stole staruszek wznowił rozmowę o swojém bogactwie. Oczy Kozéry zaiskrzyły się dziwnym ogniem, pożerał niemi nieznajomego, grabki drżały mu w jednéj ręce, a drugą nóż konwulsyjnie ściskał.

— A wiesz, mój przyjacielu, jakim sposobem dorobiłem się takich skarbów? Wszakci i ja byłem kiedyś biednym officjalistą.

— Zmiłuj się, powiedz, zawołał Kozéra, położył nóż i grabki na stole, i przysunął się do nieznajomego, żeby słowa nie stracić z jego opowiadania.

— Szczęściem, trafunkiem zupewnie niespodziewanym. W młodości lubiłem mocno zajmować się magją i w ogólności naukami hermetycznemi. Owo, raz przeziérając jeden stary szpargał Albertusa Wielkiego, między innemi sekretami znalazłem sposób zrobienia takiego pierścionka, który nosząc na ręku, można w każdéj chwili zadowolnić jednę swoję namiętność, ale *tylko jednę*. Naprzykład, jeżeli kto namiętnie lubi pić, to nosząc ten pierścionek na ręku, może ciągle mieć wino doskonałe, i w ogólności trunki; ale jeśliby człowiek taki polubił potém polowanie, to Albertus po-

wiada, że pierścionek straci natychmiast całą swoję tajemniczą siłę. Chcąc z niego korzystać, trzeba się do śmierci trzymać jednéj namiętności.

— Jakąż pan sobie wybrałeś, żeś się tak prędko zbogacił?

— Ja lubiłem gry hazardowne, i dziś jeszcze je lubię; tylko nie przegrywając nigdy, tryumfując na pewne, straciłem prawdziwą, artystyczną, że tak rzekę, przyjemność gry; a zresztą mam już aż nadto pieniędzy, jestem stary i chciałbym świata użyć, a nie znam go wcale, bom życie zmarnował przy bankierskim stoliku.

— Oczy Kozéry ledwie nie wyskoczyły z orbitów, tak je wytrzeszczył; piekielny ogień w nich gorzał. Obejrzał się, i spostrzegłszy, że nie było nikogo w pokoju, schwycił nóż ze stołu, skoczył do starego, i głuchym zawołał głosem: Starcze! oddaj mi pierścionek!

Stary Frenolestes uśmiechnął się i rzekł: — Czy za głupiego mnie masz, mój łaskawco, że się tak dziwaczysz? Gdybym jeszcze na ulicy nie miał był zamiaru ustąpić ci tego pierścionka, czyżbym cię tu był przyprowadził, nakarmił, napoił i sekret odkrył, dla tego tylko, żebyś mnie zamordował? Oto masz pierścionek, weź go i bądź moim sukcessorem. Graj w karty, będziesz bogatym, ale pamiętaj, żebyś nie folgował żadnéj innéj namiętności, bo wszystko stracisz.

To mówiąc, pożegnał go.

Kozéra nałożył pierścionek na palec, powrócił do domu, i sam jeden zaczął rzucać karty, wyobrażając sobie, że jest bankierem, a ktoś poniteruje. Ten ktoś ciągle przegrywał! Jakób spostrzegł, że mu szalone szczęście towarzyszy. Zaczął potém kłaść karty dla dwóch, trzech, dziesięciu poniterów, i wszyscy przegrywali! W zbytku radości, tańczył po pokoju z kartami, tarzał się na podłodze, połknął kilka asów, biegał jak warjat, dopóki tak mocno głową o piec nie uderzył, że mu rozwaga wróciła.

Nazajutrz pan Kozéra grał w karty z kilkoma amatorami téj sztuki, i wszystkich ograł. Potém codzień gdzieindziéj probował szczęścia, i wszędzie służyło mu nieodstępnie, tak, że głośno już o tém zaczęto mówić, i Kozéra przeląkł się, żeby nie rozumiejąc powodu jego sukcessów, nie ogłoszono go poprostu za szachraja. Zaczął tedy czasami grać bez pierścionka, i chcąc przegrywać, przegrywał na pewne. Takim sposobem szulerską swoją reputację salwował od katastrofy. Nareszcie, zebrawszy znowu pieniądze, puścił

się za granicę, objechał i ograł całą Europę, i przybrawszy sobie tytuł hrabiego z ogromnym majątkiem, wrócił do kraju. Tu grał ciągle, żył wystawnie, miał roje przyjaciół, i w najlepszych domach bywał mile przyjmowany, bo tylko mały gracz ma reputację szulera, ale gracz na wielką skalę, i do tego wystawnie żyjący i hrabia — e! to inna rzecz! *c'est un homme comme il faut.* Nareszcie Frenolestesowi znudziło się czekać płodów rzuconego nasienia — postanowił rozwiązkę przyśpieszyć.

Pod postacią lwa warszawskiego przyłączył się do przyjaciół hrabiego Kozéry, i przegrywając mu wiele pieniędzy, w blizkie bardzo wszedł z nim stosunki. Kozéra prawie nie bywał w towarzystwie kobiét, bo będąc wyłącznie oddany swojéj namiętności, szkaradną miał manierę, i żadnéj nie posiadał wytworności. Jeżeli tedy był w salonie, to odsuwał się ile możności daléj od dam, z boku tylko poglądając na przystojniejsze. Czasami ciągnęło go do kobiét ale nie znajdował w sobie dość odwagi zacząć z niemi rozmowę. Frenolestes wiedział o tém doskonale.

Pewną razą przegrawszy p. Jakóbowi znaczną kwotę, rzekł:— A, hrabio, wiesz, *mon cher*, pojedziemy na bal do jenerałowéj; dziś szczególnie wesoło się zabawimy.

— A banczek będzie? spytał Kozéra.

— Wiesz dobrze, że w tym domu nie ma gry.

— To cóż ja tam będę robił? znudzę się.

— Gdzie tam! tyle tam kobiét będzie! *à propos*, będzie i pani *** z córką swoją Anielą. Jeszcze wczoraj mówiły mi o tém, i pytały się wyraźnie, czy ty będziesz? Zaręczyłem za ciebie, i mile mi podziękowano.

— Kto? kto?

— Jużci panna Aniela, rozumie się.

— Ach! śliczna dziewczyna! Cóż robić? jedźmy.

— Na balu, przez starania Frenolestesa, Kozéra zbliżył się do panny Anieli i bardzo łaskawie był przyjęty. W tym czasie miał już blizko 40 lat, życie swoje strawił marnie wśród kart i excessów; serce jego nie znało innych wzruszeń, oprócz radości z wygranych pieniędzy, i ta radość przez przekonanie pewnéj wygranéj była zużyta, przytępiona. Nie było w nim żadnego żywego uczucia. Zdawał się zupełnie niezdolny do miłości, która wymaga serca świeżego i nieskażonego — a jednak, czy p. Aniela była tak piękna, czy Frenolestes tak rzecz urządził, dość, że Kozéra gwałtownie się pokochał. Oddał się téj nowéj namiętności z taką powolnością,

że kiedy Aniela zażądała, iżby gry poprzestał, przyrzekł jéj to natychmiast, schował swój czarnoksięzki pierścionek do kufra z siedmią zamkami, i z podziwieniem wszystkich, danego słowa dotrzymał. Z taką samą namiętnością, jak wprzód oddawał się kartom, tak teraz marzył tylko o kochance, i żył nadzieją, że kiedyś odda mu rękę. Istotnie, matka widząc p. Kozérę zupełnie zmienionym, zezwoliła na małżeństwo.

Kozéra ubóstwiał swoję nadobną żonę. Po roku Bóg dał im syna, i nic już nie brakło do ich szczęścia, kiedy dziwne sny zaczęły dręczyć pana Jakóba. Co noc pokazywał mu się tajemniczy starzec i pytał: — A co zrobiłeś z moim pierścionkiem?— Zniecierpliwiony, otworzył kufer z siedmią zamkami, wziął pierścionek do ręki, i niezmiernie się zdziwił — szanowny klejnot co dawniéj miał kolor szczerego złota, stracił cały blask i poczerniał jak podły kruszec! Przestraszony tą przemianą, schwycił talję kart, zaczął rozkładać na prawo i na lewo, i spostrzegł że talizman stracił swoją własność — karty bankiera przegrywały jedna po drugiéj! Zadumał się Kozéra; ale pomyślawszy, że miał ogromny majątek, żonę, syna, przestał się frasować. Wszakże stan jego coraz się pogorszał. Stary co noc pokazywał mu się we śnie i szeptał do ucha: —A poco oddałeś się drugiéj namiętności? Teraz ci żal talizmanu? he? Jeżeli chcesz, to ci powiem jeszcze, jak rzecz naprawić.

— Powiedz! powiedz! wołał Kozéra przez sen.

— Słuchajże: Grając długo z pomocą pierścionka i obserwując grę, nabyłeś dosyć doświadczenia; grajże teraz bez pierścionka, i jeżeli przez samą kombinację sztuki ograsz najsławniejszego szulera, to przyrzekam ci że talizman dawną siłę odzyska. A przytém pamiętaj, że grając bez pierścionka, dopiero poznasz tajemniczą rozkosz badania losu, śledzenia najskrytszych, że tak powiem, myśli i kaprysów fortuny.

Kozéra nie mógł się oprzeć łudzeniom starego, i zaczął grać na nowo. Ani prośby, łzy i cierpienia żony, ani perswazje przyjaciół, nie potrafiły go wstrzymać. Recydywa była straszna, niepohamowana. Przegrywał pełne kieszenie złota, przychodził do domu, przepraszał żonę, przyrzekał poprawę, i nazajutrz szedł znowu do szulerni. Teraz już czuł zasadniczą naturę namiętności — wolał przegrywać, jak nie grać wcale. Śmierć dziecka, nędza w domu, choroba żony, nic go nie poprawiło. Nareszcie przegrał wszystko, powykradał nawet suknie choréj Anieli i przegrał. W czasie snu wyciągnął biednéj kobiécie poduszkę z pod głowy, spieniężył

i poszedł postawić na kartę, żeby cóś wygrać na lekarstwo i pokarm dla cierpiącéj.

Przegrał poduszkę!

W rozpaczy rzucił się do nóg jednemu z szulerów i prosił o pożyczenie kilku złotych. Szuler odmówił, bo wiedział, że pożyczone pieniądze natychmiast postawi na kartę, a dopuszczenie takiéj rzeczy statutem szulerskim zabrania się. Kozéra ścisnął pięście, i pieniąc się ze złości, wybiegł z pokoju. We drzwiach wpadł na kogóś wchodzącego, spojrzał i osłupiał — to był stary gracz, co mu kiedyś dał pierścionek, i co mu się potém we śnie pokazywał, między nami mówiąc, Frenolestes!

— Pieniędzy! pieniędzy! wrzasnął Kozéra i schwycił starca za gardło, daj chociaż złotówkę!

— E! cóż tak mało? ja ci dam więcéj, wszak żona twoja śmiertelnie chora, potrzebuje pokarmu i lekarstw, i dał mu pięć dukatów.

Twarz Kozéry rozpłomieniła się na widok złota. Położył cztery dukaty do kieszeni, a piąty trzymał w ręku i dumał.

— Cóż? rzekł Frenolestes, nie myśl długo, kiedy chcesz, to postaw tego dukata na kartę, tylko spiesz się, bo losy twoje ważą się w téj chwili.

Kozéra postawił, i wygrał!

Frenolestes złośliwie się uśmiechnął, patrząc na niego z boku.

P. Jakób upojony szczęściem, probował go daléj, grał z początku dosyć pomyślnie, ale nareszcie wszystko, do ostatniego szeląga przegrał!

— Przekleństwo! wrzasnął targając sobie włosy, i biegnąc do starego, znów zawołał: Daj choć złotówkę dla żony!

— Już późno, — odpowiedział Frenolestes, — żona twoja w téj chwili z głodu umarła. Przed godziną dałem ci pięć dukatów, i mówiłem, żebyś się spieszył; nie chciałeś jéj uratować, wolałeś ją zabić....

Kozéra pobladł, oczy stanęły mu kołem, zachwiał się i upadł na ręce Frenolestesa, który go prościuteńko tu przyprowadził.

II.

KOBIÉTA FILOZOFKA.

— A czy zajmujesz się wpan niemiecką filozofją? spytał marszałek, prowadząc mnie do następnéj celi.

— Nie, mój łaskawco! odpowiedziałem, moja głowa za słaba na tę mądrość.

— Szkoda! wielka szkoda! zawołał mój Cicerone, oto stoimy przed drzwiami kobiéty filozofki; mógłbyś się czego dobrego nauczyć. Jednak posłuchaj co ona tam rozprawia sama z sobą. Kto wie? może ci jaki filozoficzny fragment wleci prosto do głowy, jak manna padała żydom w gębę na pustyni.

Spełniłem jego żądanie, lecz mimowolnie uczułem dreszcz w całém ciele, i zdało mi się, jakby mi kto obłożył serce dokoła lodem.

Kobiéta młoda, wspaniałéj postaci, z twarzą białą jak wiosenna lilja, z długim czarnym włosem, z dziwnym uśmiechem na ustach, stała na środku celi w teatralnéj pozyturze, i zacierając ręce, mówiła pedanckim głosem: Nie, nie! wierz mi wpan dobrodziéj już ja kilka lat zajmuję się filozofją, i nikt téj nauki lepiéj nie rozumie odemnie; wierz mi wpan, że Kant pełen sofizmów i niedorzeczności; jego kanon i architektonika czystego rozumu, prosto brednie! transcendentalna logika ma tylko jedno oko, jak cyklop, a djalektyka czystego rozumu, najokropniejsza gmatwanina; słowem, Kant nie miał żadnéj zdatności do filozofji....—A czy czytałaś pani dobrodziejka filozofję Hegla? Powiadasz, żeś nie czytała?... ach! czémże się więc asindźka zajmujesz? pewnie powieści czytasz, albo dzieci uczysz syllabizować, albo kartofle skrobiesz!... Aj, aj, aj, jak to dziś kobiécie nie znać Hegla! nie znać! nie znać! nie znać!... Hegla!

Nie mogłem dłużéj znieść tego widoku. Serce mi się krajało z żalu nad tą biédną kobiétą, co poszła tak niewłaściwą dla swéj płci drogą i tak nędznie na niéj upadła! Pan marszałek patrzał na mnie uśmiechając się złośliwie, po chwili zapytał:

— Czy to pańska żona?

— Mój przyjacielu! odpowiedziałem, gdyby to była moja żona, albobym nie żył do tego czasu, albobym uprzedził ją u Bonifratrów.

— To może matka? spytał znów marszałek.

— O broń Boże! krzyknąłem, wtedybym się powiesił. Żonie można śmiało powiedzieć, że to nie kobiéca rzecz, że ten abstrakt zawróci słabą jéj głowę, ale jakże syn przystąpi do matki, i powie jéj wbrew, że ją czeka warjacja?... Zresztą, nie warto o tém myśleć. Kobiéty zajmujące się *ex professio* filozofją, wydają na świat zamiast dzieci dyssertacje, które ledwie raz odetchnąwszy, umierają.

— *Bene!* rzekł marszałek. Masz wpan u mnie łaskę, bo się zupełnie zgadzasz z mojém zdaniem. Cha, cha, cha! jak to zabawnie, kiedy młoda kobiéta, piękna jak pączek róży, delikatna jak francuzkie ciasteczko, lekka, strojna jak sylfida, dla pociechy narodu ludzkiego strzela sobie z armaty, harcuje na dzikim koniu w burce i palonych bótach, wywraca kozły na masztach stu-działowego okrętu w czasie burzy, albo nareszcie wykłada po łacinie lekcje transcendentalnéj filozofji! Prawdziwie, padłbym na kolana przed taką kobiétą, gdyby tylko jéj filozoficzna głowa nie zabroniła mi téj satysfakcji! Ale długo o tém gadać; i na wołowéj skórze nikt tego nie wypisze; a choćby wypisał, to mu żadna kobiéta nie uwierzy, żeby miała mieć inny rozum jak mężczyzna.

Ta imość, co mieszka w téj celi, nazywa się Karolina. Przywieźli ją tu niedawno; lecz jest tak gadatliwa i tak się lubi chwalić, że przy pierwszém widzeniu się ze mną wygadała mi całą swoję biografję. W młodości straciła matkę, skończyła edukację na pensji, i w ośmnastym roku życia została gospodynią w domu swego ojca, który kochał ją nad życie, i dla tego zupełną we wszystkiém zostawił jéj wolę. Raz w towarzystwie, młody człowiek, który ją cokolwiek zajmował, zaczął rozprawiać szeroko i głęboko o niemieckiéj filozofji. Karolina nie rozumiała ani krzty, ale właśnie dla tego opowiadanie młodzieńca niezmiernie ją zainteresowało. Ledwie skończył, drugi jakiś młodzieniec w tabaczkowym fraku siadł koło niéj, i bez żadnéj przedmowy zapytał, czy czytała Hegla? Od téj chwili zaczęły się dziwactwa, bo ten jegomość w tabaczkowym fraku, był to niegodziwy Frenolestes! Karolina zaploniła się, i wolała skłamać, jak wyznać swoje nieoświecenie; powiedziała więc, że właśnie dopiero co kupiła sobie to dziełko.

— Ach! czytaj pani! czytaj! rzekł Frenolestes z zapałem. W naszym wieku świat doszedł do nadzwyczajnéj cywilizacji; jedne tylko kobiéty zostały daleko z tyłu. Jest to wielkie nieszczęście i ra-

zem niepojęta zagadka. Kobiéta, co ma lepszą głowę od mężczyzny, bo kiedy zechce, to największego mędrca wodzi za nos, kobiéta, obdarzona taką przenikliwością umysłu, nie pojmuje dotąd, że przez zaniedbanie wyższéj filozofji pozbawia siebie najpiękniejszéj perły w djademie, jaśniejącym na jéj czole. Jest to drobnostka przeczytać kilka książek, a jaka sowita za to nagroda! Oto, ludzie będą się dziwili jéj mądrości, będzie czytała wszystkie dzieła, które dotąd znajdowały się tylko w rękach mężczyzn, i to niewielu; będzie mogła traktować z najuczeńszymi ludźmi w kraju, i sama nawet może wynaleźć jaki nowy systemat transcendentalnéj filozofji; a wtedy imię jéj stanie obok nieśmiertelnych imion Kanta, Fichtego, Szellinga, Hegla i t. d. O! co to za piękny zawód dla kobiéty być filozofką!...

Karolina słuchała téj deklamacji z większym zapałem, jak inne kobiéty pierwszego wyznania miłości; lękała się odetchnąć, ażeby nie stracić jakiego mądrego słówka, i przyjechawszy do domu, prosiła ojca, żeby jéj dostał dzieł Hegla. Ojciec, pękając od śmiechu, zaczął jéj perswadować, że dzieła tego filozofa zbyt ciężkie, żeby lekka główka kobiéty mogła je dźwignąć z miejsca, i pocałowawszy ją w czoło, rzekł: — Moje dziécię! czytaj biblję, dzieła duchowne, moralne, historyczne, nawet i powieści, byle dobrane, a kiedy téj filozofji będzie dla ciebie za mało, weź Sokratesa, Fenelona, Bonalda, Demaîstra i t. p.; w ogólności zaś pamiętaj, że kobiéta będąc przeznaczoną od natury do tak wysokiego powołania, jakiém jest stan macierzyński, powinna téż ćwiczyć się najwięcéj w gałęziach tych wiadomości, kótre potem może zaszczepić w sercach i umysłach swych dzieci. Mnie się zdaje, *że wszystko, czego kobiéta nie może oddać swym dzieciom*, jest dla niéj zbytecznem.

Karolina zrobiła grymas i powiedziała, że nie lubi starych książek.

— Ależ, odstrzelił ojciec, filozofja, moje dziécię, to nie suknia, którą trzeba nosić podług ostatniéj mody. Powiadam ci, że ten nowy niemiecki abstrakt, to prawdziwa otchłań. Trzeba mocnéj głowy, żeby wytrzymała taki nabój. Mało jest mężczyzn, którzy są w stanie pojmować Hegla.

Nie zważając na to, na drugi dzień Karolina sama kupiła sobie w księgarni cały tuzin filozoficznych dzieł; i kiedy księgarz, uradowany zbytem tego towaru, ukłonił się nizko we drzwiach, biednéj dziewczynie zdało się, że to jest pierwszy hołd uwielbie-

nia jéj uczoności. Trawiła potém dnie i noce nad niewdzięczną pracą, i napchawszy w głowę kopę niezrozumiałych frazesów, *absolutnie* nic wartych, *podmiotowo* ciemnych, *przedmiotowo* nudnych, o *realném* znaczeniu dziwnego słowa *ja*, produkowała się z tym towarem w salonach, gdzie na pół drzémiąca publiczność przez sen uwielbiała jéj talenta, przeklinając ją na jawie. Zaczęła pomieszczać w pismach perjodycznych artykuły, i wydawała dzieła *o nowéj teorji losów kobiécych*, w których najwyraźniéj dowiodła, że dotąd nikt jeszcze nie wiedział, *co to jest takiego kobiéta?* Uwijając się ze swoją filozofją, jak Donkichot z dzidą, odpędziła od siebie wszystkich mężczyzn, oburzyła wszystkie białogłowy, i nareszcie, straciwszy ostatniego słuchacza, swoję pokojówkę (która uciekła), musiała chcąc nie chcąc zostać sama jedna z Heglem. Wtedy już nie dla tego, żeby się popisywać, ale z zapamiętałości zaczęła czytać to dzieło, ażeby skrytykować je, i stać wyżéj, jak sam Hegel. Medytowała bez żartów; łamała sobie głowę dopóty, dopóki nie oszalała; i natenczas przywiezioną ją tu, z dziełem Hegla pod pachą.

Otóż to, pomyślałem sobie, jakie bywają skutki, kiedy kobiéta *boruka się* z Heglem!

III.

ZAKŁAD.

— Wiesz, rzekł pan marszałek, stanąwszy przed drzwiami następnéj celi, sam nie pojmuję, dla czego nie mogę patrzeć bez żalu na tego nieboraka, co tu siedzi, i jeszcze na dwie kobiéty, które ci potém pokażę? Prędzéjbym się nauczył piętami czytać książkę w ciemności, jak patrzeć obojętnie na te trzy osoby. Ale nie wiem dla czego mi to tak trudno? wszak ja się śmieję ze wszystkich!

Spojrzałem przez okienko. Starzec jakiś siedział milczący i zamyślony; na bladéj jego twarzy były wyryte ślady okropnych cierpień duszy; widać było, że w kraterze tego pogasłego wulkanu szalały kiedyś piekielne ognie zgryzoty i żalu; że nie chwilowa

burza, lecz długa, ciężka, konwulsyjna tortura zostawiła mu tak głębokie brózdy na czole!

— Co to za człowiek, spytałem wzruszony.

— Ten człowiek, rzekł p. marszałek, przeszedł ciernistą drogę wprzód, nim się tu dostał. Może to nawet lepiéj dla niego, że wiatr go zapędził do tego portu, bo płynąc daléj, byłby z rozpaczy wyrwał sobie serce z łona i rozszarpał je zębami. On jeszcze teraz zrywa się czasami jak szalony i szuka swego serca!...

Artur w młodości służył w artyllerji. Pewnego wieczora, w małém miasteczku, w którém baterja od kilku dni zajęła kwatery, młodzi oficerowie w kłębach dymu od fajek, przy stoliku zastawionym węgrzynem, przy brzęku szklanic i mdłym blasku łojowych świec, rozprawiali o młodéj guwernantce przy córkach pana burmistrza, i jednomyślnie zgadzali się na to, że ma serce z kamienia, dla tego, że nie pozwoliła żadnemu z nich prawić sobie duserów. — No, już téj to nikt nie rozromansuje! krzyknął jeden z artyllerzystów, dopijając szklanicy, ona cała napchana moralnością, jak gęś jabłkami! — Ani myśleć o tém! zawołali drudzy chórem.

Wtém Artur, który dotąd nie mieszał się do ich rozmowy, paląc sobie fajkę w milczeniu, wstał ze swego miejsca, i wypuściwszy z ust długą strugę dymu, rzekł obojętnie: — Założcie się ze mną, że ja ją rozromansuję; a żebyście z pewnością wiedzieli, co rozumiem pod tém słowem, to powiadam wam wyraźnie, że za kilka miesięcy ona będzie szalenie we mnie zakochaną, a ja zostanę takim, jakim dziś jestem; żądam tylko od was sekretu.

— Brawo! brawo! krzyknęli koledzy, zobaczymy. I zaczęli grać w karty.

Nazajutrz odwiedziwszy burmistrza, Artur spytał Elizę nawiasem, czy nie życzy sobie książek do czytania? Rozumie się, że Eliza z wdzięcznością przyjęła tę propozycję. Tego też tylko było trzeba Arturowi. Plan jego był prosty, ale okropny, piekielny. Przygotował już katalog dzieł, któremi zamierzał sobie stopniowo, ostrożnie i systematycznie zepsuć serce i zaćmić rozsądek biednéj dziewczyny. Postanowił zacząć od serca, dla tego, że ono jest w kobiécie placówką jéj anioła stróża. Dopóki serce nie zepsute, kobiéta instynktem wynagradza sobie niedołężność umysłu, i czuje co jest złe, chociaż nie rozumie dla czego? Potém miał zamiar bezbronny jéj rozum opętać sidłami. Dla dopięcia pierwszego celu, Artur dawał Elizie romanse, powieści, zacząwszy od najnie-

winniejszych, aż do.... i niżéj, starając się, aby następne dziełko było zawsze więcéj zajmującém i więcéj gorszącém, niż poprzedzające. Kiedy Eliza nabrała już tyle odwagi, że mogła połknąć ostatnią powieść nie udawiwszy się, Artur nieznacznie przeszedł do drugiéj kategorji, i zaczął jéj dawać naprzód filozoficzne romanse, a potém filozofję XVII wieku. Oprócz tego środka, Artur używał bardzo mało innych. Był zawsze zimny z Elizą, nie mówił jéj żadnych komplementów, wyszydzał miłość platoniczną i małżeństwo, czasami tańczył walca lub galopadę, i kiedy niekiedy mówił o innych kobiétach: — śliczna osoba! szkoda tylko, że cała pachnie moralnością! — I tego dosyć było! Oczekiwania jego sprawdziły się, i przeszły nawet za tę granicę, którą im naznaczył. Eliza była nie tylko rozromansowana, ale co gorzéj, zgubiona! Wygrawszy zakład, obojętnie ją porzucił, i biedna dziewczyna utopiła się z rozpaczy i wstydu.

Dziwna rzecz! ledwie Artur dowiedział się o tém, opanowała go najgwałtowniejsza zgryzota. Taż sama osoba, która za życia była dla niego obojętną igraszką chwilowego szału, stała mu się drogą po śmierci. Nazywał siebie niegodziwym człowiekiem, zbrodniarzem, zabójcą; widział cień Elizy, wyrzucającéj mu jego okrucieństwo i kładnący na jego czoło przekleństwa. Żal, żal głęboki, niewypowiedziany, szarpał mu serca i przesmykał się po niem, jak jadowita żmija; harpja rozpaczy piekielnemi płomieniami paliła mu mózg bez ustanku. Życie mu obmierzło. Wyjechał z kraju do cudzéj ziemi, gdzie była wojna, gdzie można było znaleźć śmierć; ale kule szczędziły Artura, jakby wiedząc, że głowę jego kruszą myśli zgubniejsze od pocisków największego rozmiaru. Tam przy biwacznych ogniach, w krwawych bojach, na bankiecie śmierci, poznał szlachetnego młodzieńca, który pojął jego cierpienia i którego przyjaźń coraz więcéj stawała mu się drogą; lecz ta gwiazdka nadziei ledwie weszła na jego ciemném niebie, wraz i zgasła. W bitwie pod *** baterja, w któréj służył, stała kilka godzin w najokropniejszym ogniu, śmierć grasowała swobodnie, ludzie padali, jak kłosy pod sierpem żniwiarza. Artur patrzał na swego przyjaciela, i cieszył się, że go kule mijały; młodzieniec spostrzegł to, zbliżył się do niego i podał rękę w milczeniu, ale nim ją odjął, nieprzyjacielska kula położyła go na miejscu, i krew jego bryzgnęła na twarz Artura. — Przekleństwo! krzyknął Artur, i jak szalony biegł do armaty, ażeby sobie głowę roztrzaskać o spiż, lecz sam osłabiony kontuzją, padł na ziemię bez zmysłów. Po skończonéj

bitwie zostawiono go w domu jednego z okolicznych obywateli, który go polubił, pielęgnował w chorobie, był dla niego ojcem i przyjacielem, i nareszcie doprowadził do zdrowia. W wigilję wyjazdu Artura z tego domu, gospodarz umarł od apopleksji! Nieszczęśliwy wrócił do kraju, i osiadł samotny w rodzinnéj wiosce, nie dopuszczając nikogo do siebie z bojaźni, ażeby przekleństwo wiszące nad nim nie było zgubném dla drugich. Tak przeżył kilka lat, oddawszy się zupełnie religji i naukom, wspierając nieszczęśliwych zdaleka, lecz nie widząc nikogo. Wtém siostra jego została wdową, i nie wątpiąc o tém, że znajdzie przytułek u brata, który ją z samego dzieciństwa mocno kochał, wybrała się do niego; lecz właśnie kiedy wjeżdżała na dziedziniec domu, pękła oś u kocza, nieszczęśliwa wypadła i roztrzaskała sobie głowę o kamienie. Ten okropny wypadek stargał do reszty słabą nitkę, na któréj trzymał się rozum Artura. — O mój łaskawco! jak to smutna rzecz, że są na świecie takie winy, których niczém nie można zagładzić!...

Milczałem długo, wysłuchawszy powieści; nareszcie, odciągając pana marszałka od téj celi, zapytałem: Czy i tego biedaka zgubił Frenolestes?

— A któżby to inny mógł zrobić? odpowiedział marszałek. — Czyż nie mówiłem ci, że od czasu śmierci Elizy, Frenolestes ciągle siedział w głowie Artura i mięszał mu mózg łopatką, tak, jak gdyby gotował kaszę dla biesów?...

IV.

METAMPSYKOZA.

— Ja nie jestem człowiek zarozumiały, rzekł marszałek, zatrzymawszy się przed jedną celą, mógłbym ci opowiedzieć historję tego obłąkanego; ale ponieważ on ją opowiada daleko lepiéj odemnie, więc ustąpię mu tego honoru. Zawołaj tylko jak wejdziemy: — Panie Jacenty! — tego będzie dosyć, żeby naelektryzować jego język i wyciągnąć mu z głowy całą jego biografję. Zresztą bądź spokojny; ja zostanę przy tobie i ostrzegę cię, jeśli on sfałszuje jaki fakt.

— Hola! p. marszałku! podchwyciłem, jakie wpan chcesz prostować omyłki w biografji, którą opowiada sam bohater? Zdaje się, że on lepiéj zna swoje życie, jak ktokolwiek inny, i jeśli tylko nie kłamca, to nie widzę przyczyny, dla czegobym mu nie miał więcéj wierzyć, jak wpanu.

— On nie kłamie, odpowiedział marszałek, i w ogólności w domu Frenofagjusza ludzie nie mają téj płaskiéj, dziecięcéj niedołężności w charakterze. Jacek opowie ci z zupełną otwartością, co się z nim działo; ale on nie rozumie, dla czego było tak a nie inaczéj, i z téj przyczyny może zfałszować swoję biografję. Bo widzisz, mój łaskawco, ten nieborak dotąd nie wie i nigdy nie wiedział o tém, że Frenolesty chodzą po świecie, i że jeden z nich dopóty polował na jego rozum, dopóki go nie dostał. Nie wiedząc tego ważnego faktu, patrzy z niewłaściwego stanowiska na swoje życie, i dla tego mylnie je pojmuje. Wpan, jako oświecony człowiek, a może nawet i literat, powinienbyś wiedzieć, że fakty są najmniejszą rzeczą w historji; one się nie przydadzą na nic, jeśli historyk nie ma swojéj teorji, jeśli analizą i krytyką nie potrafi prawdy w ciemnościach wynaleźć. Nawet w życiu towarzyskiém nie dość że ci kto powie, jakoby on jadł wczoraj bigos i kichnął trzy razy, ażebyś mu wraz uwierzył. Ba, mógłbyś się wpan srogo omylić. Potrzeba wprzód podług swéj teorji rozważyć, czy mu wypadało jeść bigos i kichnąć trzy razy? potém analizą dojść, czy był do tego fizycznie i moralnie usposobiony? potém krytyką doświadczyć, czy w dniu wczorajszym miał środki, siły i wolę zjeść bigos i kichnąć trzy razy? a nareszcie, jeśli wszystkie poszukiwania doskonale się zgodzą, wtedy już możesz uwierzyć temu, że on istotnie jadł wczoraj bigos i kichnął trzy razy.

— A jeśli wypadki badań nie zgadzają się?

— No, to choćby przysięgał, powiedz mu w oczy, że on kłamca, samochwał.

— Mości panie marszałku! widać, że doskonale znasz świat. Wszak zupełnie takim sposobem historycy sądzą umarłych, i my wszyscy naszych żyjących, znajomych i nieznajomych, każdy podług swojéj teorji, analizy i krytyki, każdy podług swego własnego sposobu widzenia.

Tymczasem weszliśmy do celi. Człowiek średnich lat chodził po niéj, brykał, wierzgał nogami, i mruczał pod nosem, udając jakieś zwierzę. Zbliżywszy się do niego, i pamiętając instrukcję marszałka, zawołałem:

— Jak się wpan miewasz? panie Jacenty!

— Wpan chcesz widzieć Jacka? rzekł obłąkany, zabawna rzecz! alboż nie wiesz o tém, że on dawno, dawno już umarł, i pochowali go dobrzy ludzie, i pohulali na jego stypie, i zapomnieli o nim? Wszakże od tego czasu upłynęło 200 lat z górą.

— A wpan któż jesteś?

— Ja? rzekł Jacek skwapliwie chwytając się rękami w różnych miejscach, i robiąc dziwaczne gesta, kto ja jestem? zabawne pytanie! Spójrz na długie uszy, na tę grubą mordę, na tę skórę porosłą sierścią i na kopyta, czy nie widzisz, że ja osieł zamknięty w oborze?

— Gdybym się nawet na to zgodził, odpowiedziałem, zawsze, mój panie Jacenty, jest to zbyt dziwna metamorfoza, ażebym bez pomocy wpana mógł ją zrozumieć. Wszak ja wiem, że wpan byłeś człowiekiem.

— A to co innego! zawołał Jacek uspokojony. Jeśli wpan tego nie pojmujesz, to naturalnie potrzeba ci opowiedzieć, jak się to stało. Istotnie byłem kiedyś człowiekiem, ale ta nędzna egzystencja zupełnie mi nie przypadła do gustu. Nie wiem, jak ona wpanu się podoba; co do mnie, za niczym się nie zgodził wleźć znów w człowieczą skórę. Pomyśl tylko, mój dobrodzieju, co to za smutna nędzna i nudna rzecz być człowiekiem! ledwie się urodzi na świat, wraz go chłód ziemski owionie, krzyczy nieborak i płacze, chciałby sobie spokojnie poleżeć i ogrzać się, ale gdzie tam! rzucają go obojętnie w koryto, myją, szorują, jak rądel, i nareszcie skrępowawszy tak, że ani ręką, ani nogą nie może ruszyć, oddają chorej matce, która częstuje go zepsutém mlékiem. I tak skrępowany, Bóg wie za jakie winy, musi leżeć kilka miesięcy, a czasem rok cały. Nikt go nie rozumie, albo raczéj każdy go rozumie po swojemu, i wyrabia z nim co mu tylko do głowy przyjdzie. On odleżał sobie żeberka i chciałby się przewrócić na drugą stronę, a matka z troskliwości daje mu jeść, choćby się miał udawić, bo ona wie z pewnością, że mu się jeść chce. On chory i płacze w nocy, a piastunka, obudzona ze snu, myśli sobie, że to kaprysy, i pocichu dopóty mu daje klapsy, dopóki ze strachu się nie uciszy. On chce jeść, a piastunka go kołysze, aż mu się mózg w głowie przewraca. I tak cierpi codzień od dobroci matki i złośliwości piastunki. Ledwie cokolwiek podrośnie i nauczy się biegać, zaczynają go męczyć grzecznością: — Jacuś nie bierz tego, to niegrzecznie; Jacuś nie paplaj przy starszych, to niegrzecznie. — Powiedz, mój do-

brodzieju, czy może być co okropniejszego! ani stąpić, ani się dotknąć do czego, ani pisnąć, bo to wszystko niegrzecznie! — Jacuś ukłoń się temu panu, Jacuś pocałuj ciocię w rękę, Jacuś podziękuj. — A żeby was licho wzięło!... Siadają do stołu, jedzą przysmaki i piją winko, a Jacusiowi powiadają, że to niezdrowo, i każą mu jeść gryczaną kaszę z mlékiem. Idą na spacer, a Jacusia zostawiają w domu, żeby o siódméj wieczorem położył się spać. Kiedy więcéj podrośnie, dają mu książkę w rękę, każą siedzieć spokojnie na miejscu i śpiewać wilczym głosem: *b-a, ba, b-e, be,* chociaż nieborak nie wie, czy mu się to na co przyda lub nie. Krew młoda wre i burzy się w nim, chciałby pobiegać na łące, ale próżna rzecz! pan guwerner stoi nad nim, jak kat, i powtarza w takt: *b-a, ba, b-e, be;* prawi mu morały i jeszcze grozi rózgą. A potém zaczynają się szkoły — szkoły! wynalazek straszniejszy od świętéj inkwizycji, bo ta męczyła tylko ludzi dorosłych, i męczyła ich zwyczajnie niedługo, a w szkołach dręczą biédne, słabe dziécię po kilka lat; każą nieborakowi tłuc głową o książkę dopóty, dopóki ksiądz prefekt, kiwnąwszy ręką, nie powie, że już wszystek oléj z książki wsiąkł mu do mózgu. Każą mu klęczyć pod piecem z oślemi uszami, a w sobotę nieraz wypłacają mu znaczne summy brzozową monetą. Żeby téż przynajmniéj czego porządnie nauczyli! ale gdzie tam! wykręcą mu tylko głowę nabakier — idzie z tą głową daléj po drodze edukacyjnéj, i zamiast oświecenia, nabiera tylko zarozumiałości. Nareszcie, o szczęśliwy moment! nasz Jacuś jak bomba padł w sam środek towarzystwa! On teraz sam się rządzi, on już doszedł do mądrości; szkoda tylko, że ta mądrość mniéj mu pomaga w świecie, jak kij ślepemu. Znalazł sobie mnóztwo przyjaciół, co go oszukują, każdy na inny manier; spotyka kobiéty, co mu kradną czas, zdrowie, serce, i tę odrobinę rozumu, co mu została w głowie; spotyka protektorów, co go łudzą, służących, co go nie słuchają, lichwiarzy, co biorą okropne procenta, i doktorów, co mu gwałtem wlewają w gardło apteczne pomyje. Fortuna obraca się do niego tyłem, sława go łudzi więcéj od wszystkich protektorów, oszukuje go więcéj od kochanek, i bierze z niego straszniejsze procenta, jak najtwardsi lichwiarze. Jacek dochodzi do dojrzałego wieku i zaczyna prowadzić porządne życie. A czy wiesz, co to takiego to porządne życie? miła rzecz prawdziwie! umywa się zrana, żeby się w dzień zbrudzić; ubiera się i rozbiera się o jednéj godzinie, jak machina, czuwa i śpi, je i pije, wychodzi z domu i przychodzi nazad, jak machina, gada i ściska

drugich za rękę, jak machina, i nie robi żadnych głupstw, jak machina. Żeby przynajmniéj miał wszystkie doskonałości machiny, ale nie! Choruje od zrazów i trufli, choruje od nudów i od wesołości, cierpi od głupstwa i cierpi od rozumu. Pracuje, krząta się, łamie sobie głowę, traci zdrowie, żeby karmić żonę, co mu stawia rogi, i dzieci, które myślą tylko o tém, wiele im też zostanie w spadku? Daje bale dla znajomych, a ci go obmawiają i kopią pod nim dołki; czyni drugim dobrze, a jak sam wpadnie w biédę, to nikt mu nie dopomoże. A oprócz tego wszystkiego, czy wesoły, czy smutny, czy samotny, czy w towarzystwie, choćby tysiąc myśli tańczyło mu w głowie, zawsze, zawsze na samym środku mózgu stoi i depcze go nogami olbrzym, potwora, straszydło, co się nazywa ŚMIERĆ! Co to za egzystencja! o mój dobrodzieju! Nie masz nędzniejszéj istoty na świecie, jak człowiek!

— Wpan zapewne doświadczyłeś wielu nieszczęść, kiedy byłeś człowiekiem, to jest przed 200 laty?

— Nie, prawie żadnych, bo widzisz wpan, ja siedziałem w człowieczéj skórze nie więcéj, jak 25 lat; tylko mi się okropnie nudziło na świecie!

— Trzeba było się czém zająć. Praca jest najlepszém lekarstwem od nudów.

— Ale zawsze lekarstwem, rzekł Jacek, i może wyleczyć albo zabić. Ja nie chciałem doświadczać tego heroicznego medykamentu, i odpędzałem się od nudów tylko tém, że czasami czytałem książki.

— Jest to doskonały sposób, zawołałem, tylko trzeba umieć wybierać dziełka. Są takie, w których byłbyś znalazł dowody, że człowiek może się nie nudzić, a nawet być szczęśliwym w życiu, jeśli się o to stara.

— Kiedy ma swój gust, odpowiedział Jacek. Ja takich książek nie brałem nawet do ręki; ja czytałem tylko skargi, sarkazmy i paszkwile na to życie, którego brzemię mnie gniotło. Trzeba mi było, żeby pisarz był znudzony swoją egzystencją tak, jak ja; żeby nie wątpił o tém, że między ludźmi nie masz ani cnoty, ani miłości, ani przyjaźni, ani żadnego szlachetnego czucia. Ot, jakie książki ja czytałem do saméj śmierci.

Chciałem wytłómaczyć Jackowi, że podobne dzieła (chociaż dziś w wielkiéj modzie) są jednak nic więcéj, jak śmiecie Parnassu; ale jakże przekonać warjata? jakże to uważać za złe Jackowi zamkniętemu u Bonifratrów, kiedy tylu ludzi swobodnie żyjących

w naszym kraju mają zupełnie ten sam gust? Dałem pokój, i tylko żeby się dowiedzieć dalszego ciągu biografji, zapytałem:

— Więc wpan bez żartów umarłeś?

— Jakżeż inaczéj miałem umrzeć? odpowiedział Jacek, zachorowałem ciężko, przeszedłem przez wszystkie tortury medycyny, i nareszcie, dzięki Bogu, skonałem. Ciało po trzech dniach, jak należy, pochowano, a dusza moja, wyrwawszy się z niego, jak dziecko ze szkół, z największą radością puściła się w drogę do pól elizejskich. Byłem już blizko Styksu, wtém jakiś duch spotkał mnie, i zatrzymując, rzekł: — Hola! Jacku! gdzież to wpan tak śpieszysz?

— Idę do Elizeum, odpowiedziałem.

— Ho, ho! cokolwiek wcześnie, mój Jacku! Przeżyłeś tylko 25 lat, zostaje ci jeszcze żyć 275. Wróć się nazad.

— Jak to? zawołałem przestraszony, czyliż znów mam być człowiekiem?

— To zależy od ciebie, odpowiedział duch, możesz sobie być zwierzęciem, ptakiem, owadem, gadziną, czém chcesz, tylko wybieraj prędzéj.

— Pomyślałem chwilę nad zoologją, i powiedziałem, że chcę być orłem.

P. marszałek kręcił się od niejakiego czasu jak na szpilkach, robił grymasy i targał się za ucho; widać było, że spostrzegł cóś niezgodnego ze swoją teorją, analizą i krytyką; nareszcie nie wycierpiał dłużéj i zapytał Jacka: — A czy wiesz wpan, kto to był ten duch, co tak rozporządzał twoją skórą?

— Ja sądzę, odpowiedział Jacek, że to musiał być indyjski bożek Brama.

— Otóż widzisz, szepnął mi do ucha pan marszałek, mówiłem ci, że on zfałszuje swoję biografję. Ten *quasi* duch wcale nie był Brama, bo pocóżby wielki Brama miał durzyć tego biedaka? To był Frenolestes! Jacek nigdy nie umierał, tylko Frenolestes pomięszał mu szyki w głowie, wsuwając mu ciągle w ręce wiersze, powieści i romanse, z których nabył odrazy do życia.

— I ja sądzę, że nie inaczéj musiało być, odpowiedziałem panu marszałkowi, i obracając się do Jacka, rzekłem: Więc ten duch zrobił wpana orłem?

— Tak istotnie, mówił daléj Jacek, włożył na mnie orlą skórę, i uczułem natychmiast, że mi w niéj było daleko cieplej, jak w człowieczéj. Szeroko rozpostarłem skrzydła, wzbiłem się w powietrze, coraz wyżéj, coraz wyżéj, dopóki ludzie nie stali się dla

mnie tak maleńkiemi, że nawet orlim moim wzrokiem nie mogłem ich więcéj widzieć. Patrzałem prosto na słońce, i blask jego nie raził mnie; widziałem cuda nadpowietrznéj krainy, byłem samowładnym jéj panem, i ze wszystkich żyjących istot najbliżéj nieba! Zdało mi się, że nie masz większéj rozkoszy nad życie orła patrzącego z góry na obłoki, gromy i burze, ale omyliłem się. Podniósłszy się nad ziemię, nie zrzuciłem z siebie więzów ziemi. Naprzód jeść mi się zachciało, i dla nędznego kawałka ścierwa musiałem spuścić się ze swéj nadpowietrznéj krainy na ten obrzydły padół życia; musiałem szukać, krzątać się i myśleć o tém samém, co mnie nudziło, kiedy byłem Jackiem. Potém, nie mając dość siły bujać ciągle w obłokach, odpoczywałem niekiedy na szczycie Tatrów; i wtedy przyszła mi myśl znaleźć drugą istotę, którąby mogła osłodzić te chwile. Téj istoty nie znalazłem. Wróble, sroki, gęsi, dudki — podłe ptastwo, uciekało odemnie i złorzeczyło mi; ja sam gardziłem tą chałastrą; trzeba mi było orła przyjaciela i kochanki orlicy!... Lecz każdy z orłów patrzał tylko, czy mam kawał mięsa w szponach? a orlice były gęsi tylko z orlemi piórami. Wziąłem najpiękniejszą z nich do gniazda, ale wkrótce uciekłem, bo w niéj nie było takiéj duszy, jak we mnie. Bujałem więc samotny i tęskny między niebem i ziemią, póki nareszcie pastuch nie zastrzelił mnie z fuzji. Pastuch! pomyśl tylko, pastuch zabił orła!...

— Jak to? zawołałem, tak wpan drugi raz umarłeś?

— Niezawodnie, i to jeszcze nie ostatni raz, bo widzisz pan, że żyję. Biegłem znów co tchu do Elizeum, żeby mnie ten duch nie zatrzymał; ale trudno go było oszukać w rachubie. Zastąpił mi drogę i rzekł:

— Daj pokój, Jacku! życia swego nie można zostawić sukcesorom w spadku, tak, jak majątek; trzeba je samemu przeżyć. Wróć się nazad, bo ci jeszcze zostaje 250 lat.

Na ten raz zgodziłem się być wielorybem. Mieszkałem sobie w głębi oceanu, w grotach koralowych, w pałacach z kryształu, otoczony podwodnemi cudami, w nowym czarującym świecie, którego byłem monarchą. Szkoda tylko, że ryby strasznie nudne i głupie, i że anglicy tak chciwie czatują na wielorybie sadło. Złapali mnie, i umarłem trzeci raz. Byłem potém psem, i dostałem się pewnemu młodzikowi w Warszawie. Kochałem go psią miłością, która chociaż nie pięknie się nazywa, lecz we względzie szczerości, bezinteresowności, siły i trwałości, zajmuje bez wątpienia jedno z naj-

pierwszych miejsc między wszystkiemi gatunkami przywiązania. Na moje nieszczęście, pan mój był niepospolity dziwak: raz mnie lubił, drugi raz nie lubił, raz głaskał, drugi raz ćwiczył bez przyczyny. Pewnego wieczora, znudziwszy się u swéj ulubionéj, przyszedł w złym humorze do domu i rzucił mi gorejące cygaro na nos. Zaskowyczałem od bólu, pan się rozgniewał, bo mu się zdało, że powinienem był robić kurbety z wdzięczności, obił mnie bez miłosierdzia i wypędził z domu. Za kilka dni zdechłem z głodu i żałości na jego progu!

Byłem potém jeszcze lwem, papugą, puszczykiem i bobrem, a teraz jestem OSŁEM!

— Jakże się wpanu podoba ta kondycja? zapytałem.

— Jest to najlepsza ze wszystkich, które miałem honor piastować, odpowiedział Jacek; nie mam żadnego zmartwienia, żadnéj ciężkiéj myśli, ani żadnéj boleści w sercu. Bo widzisz wpan, chociaż w innych krajach trudne ośle życie, ale u nas w Polsce tego nie masz: osieł nie pracuje wcale, je sobie tylko, pije, śpi i bąki zbija po świecie. Czegóż mi potrzeba więcéj? jestem syty, spokojny, wesoły, mam wierną przyjaciółkę oślicę, dobrych znajomych osłów, dobre dzieci oślęta, słowem, jestem szczęśliwy i wpanu tego życzę.

Powiedziawszy to, zaczął znów brykać, wierzgać i ryczeć jak osioł.

— Jakże wpan myślisz? zapytał marszałek, czy on szczęśliwy?

— Trzebaby naprzód wiedzieć, co to jest szczęście? odpowiedziałem, a ja tego dotąd nie mogłem dociec ani podług swojéj teorji, ani podług analizy i krytyki życia drugich ludzi.

V.

BIEDNA RÓZIA.

— Oto jest jedna z tych kobiét, które wpanu miałem pokazać, rzekł pan marszałek, ale wprzód, nim ci opowiem historję téj biednéj dziewczyny, chciałbym téż wiedzieć, jakie masz pojęcie o miłości? co to takiego miłość?

— Co to jest miłość? prawdziwie nie mogę odpowiedzieć na to, bo się dotąd nie kochałem.

— *Bene! widać pana po kroju żupana, a rozsądnego ze słowa skromnego!* Lubię mocno, kiedy kto nie mówi o tém czego nie doświadczył i nie rozumie; ale to rzecz rzadka! dziś każdy młodzieniec, ledwie doczekawszy się puchu pod nosem, rozprawia już szeroko i głęboko o miłości.

— A wpan, mości marszałku, czy pojmujesz tę wiekową zagadkę ludzkiego serca?

— Ba! jakżebym nie miał tego rozumieć, czego doświadczam? wszak ja dotąd zakochany w pannie Paulinie.

— Zdaje się, że tego nie dosyć; mówiono mi kiedyś, że człowiek zwyczajnie najmniéj się zastanawia nad miłością wtedy, kiedy się kocha.

— O! bez wątpienia! jest to niezaprzeczona prawda! ale w domu Frenofagjusza wiele filozoficznych aksionów niespodzianie spotykają wyjątki. Dobrze, że tych wyjątków nikt nie ogłasza drogą druku, bo to strasznie mogłoby poderwać rozmaite teorje o sercu ludzkiém. Ja kocham pannę Paulinę nad życie, a jednak długo łamałem sobie głowę nad tém, co to jest miłość? i nareszcie utworzyłem sobie doskonałą teorję, która lepiéj jak wszystkie inne systemy objaśnia fenomena kochania.

— Udzielisz mi jéj zapewne? Panie marszałku!

— Chętnie! chętnie! Ja niezazdrośny. Możesz sobie nawet wydrukować to, co usłyszysz odemnie. Przyrzekam ci nie dopominać się w gazetach pierwszeństwa myśli, tak jak drudzy literaccy pieniacze. Zresztą, może ci ta teorja nie przypadnie do gustu. Myśl sobie jak chcesz, śmiéj się ze mnie, mniejsza o to! Oto, widzisz, podług mojéj teorji słowo: *miłość*, tak, jak wyraz: *pieniądze*, sam przez się nic nie znaczy; trzeba wiedzieć, wiele jéj człowiek posiada i jakiego rodzaju? W każdym przypadku jednak jest to gatunek warjacji czyli obłąkania umysłu.

— Aj! aj! dobrodzieju! źle się zaczyna twoja teorja.

— Nie narzucam ci swego zdania. Może być, że ja się mylę, więc mi nie wierz; ale dla czegóżbym się miał mylić? wszak całe życie człowieka, co ma ludzką głowę, a nie kapuścianą, i ludzkie serce, a nie rybie, jest nic więcéj, jak zbiór rozmaity scen warjacji, to jest, myśli, uczuć i postępków dziwacznych, niezgodnych z rachunkami zimnego rozsądku, i które ludzie porządni nazywają złym humorem, spleenem, sentymentalnością, głupstwem, oryginalnością, warjacją i szaleństwem. Miłość jest tylko urywkową sceną, albo

niekiedy aktem, ale to rzadko, téj dramy, obejmującéj całkowite życie człowieka warjata.

— A jakże się podług téj teorji nazywa człowiek, co zwarjował z miłości?

— Tępą wpan masz głowę do filozofji, mój dobrodzieju! nie zrozumiałeś mnie. Słuchajże: gdybyś spotkał na drodze człowieka jadącego do Rzymu, wszak nazwałbyś go podróżnym?

— Tak.

— A gdyby on, nie zatrzymując się w Rzymie, pojechał do Pekinu, to jakbyś go nazwał?

— Także podróżnym.

— No, widzisz, toć wszystko jedno, czy kto w miłości dopłynie do pocałunku, czy do Bonifratrów, zawsze on warjat, tylko odbył mniejszą lub większą wędrówkę po drodze obłąkania.

— Ale dla czegóż wpan chcesz koniecznie, żeby miłość była warjacją? maszli na to dowody?

— Trzeba ci kłaść wszystko w głowę jak łopatą. Wszak widziałeś pewnie kogokolwiek zakochanego? czyliż on włada zupełnie rozsądkiem? nie jestże ciągle roztargniony, zamyślony, obojętny, dla całego świata, oprócz swéj kochanki? czyliż nie zaniedbuje obowiązków, zdrowia, interessów i t. d.? czy nie zdarza się, że jego ulubiona jest sobie koczkodan, z pustą głową, i z sercem, które można kupić w szlachtuzie? płaskie stworzenie, na które, oprócz niego, nikt nigdy nie zwrócił uwagi? azali nareszcie każdy kochanek nie jest zapewniony, że będzie sobie do śmierci pływał w oceanie rozkoszy, że żadna chmurka nie zaćmi słońca jego miłości, słowem, że w pożyciu z ulubioną osobą znajdzie nowy raj na ziemi? Alboż to nie warjacja? Alboż doświadczenie codzienne i zdrowy rozum nie mówią szalonemu, że w towarzystwie co chwila rozrywają się związki miłosne, że najtrwalsze nawet stygną, że żona się starzeje, brzydnie, odkrywa mężowi co minutę nową wadę, któréj kiedyś nie widział ślepy kochanek? Azali niebaczny nie słyszał o tém, że serce musi koniecznie wyłysieć, i łysieje daleko wcześniéj od głowy?... Ja sam myślałem kiedyś inaczéj o miłości, ale teraz widzę, że to warjacja, niekiedy słodka, przyjemna, jak sny dziecięcia o niebie, niekiedy okropna jak piekielne marzenia, które zbyt mocna doza opjum budzi w mózgu. Pierwszéj bożkiem jest Kupidyn, drugiéj Frenolestes. Niekiedy jeden z nich durzy człowieka, a czasami pierwszy zaczyna dramę miłości, a drugi ją kończy. Ale Kupidyn dziś strasznie poszedł w poniewierkę, bo to

stara moda kochać się po grecku albo po łacinie. Co chcesz? nie mogło być inaczéj, cały klassycyzm starożytności runął! Kto teraz zechce ubierać się, jeść, tańczyć, uczyć się, pisać wiersze, pisać prozą słowem, żyć jak żyli Grecy i Rrzymianie? to dziwactwo!

— Jednakże wpan, mości marszałku, jak się zdaje, żałujesz tego dziwactwa!

— Jakże nie żałować? mój przyjacielu! Kupidyn był kiedyś dobry chłopiec, chodził po świecie i pozwalał się kochać każdemu, nie patrząc na to, czy był mądry, czy głupi; a dziś jak podrosł, jak wyszedł z uniwersytetu ze stopniem magistra, tak zmędrzał, że nie pozwala nikomu kochać inaczéj, jak podług prawideł jakiéj nauki. Wybieraj jaką chcesz: arytmetykę, polityczną ekonomję, heraldykę, pedagogikę, romantyczną poezję i t. d. Żeby go licho wzięło! powydobywał na scenę Bóg wie jakie mądrości dla tego, co było kiedyś tak proste, jak Sielanka Wirgiljusza! Mnie samemu kazał naprzód napisać powieść, a potém dopiéro domagać się ręki panny Pauliny. Ale mniejsza o to. Chcesz wpan słyszeć historję biednéj Rózi? Chcesz, no to dobrze — słuchaj. Tę historję można zamknąć w kilku słowach. Rózia pokochała się w ośle, można o tém napisać cztery tomy w guście Sterna; można ją wystawić komicznie albo tragicznie, śmiać się albo płakać nad nią. Ja płakałem, ale może wpan wolisz śmiać się? W takim razie jak wyjdziesz ztąd, idź prosto do pierwszego lepszego salonu w Warszawie, tam ci będą mówić o Rózi tak jowjalnie, że pękniesz od śmiechu.

— Opowiadaj wpan podług swego sposobu myślenia.

— Dobrze. Tylko ja nie Stern, mój przyjacielu, więc zawczasu nie mrugaj oczyma, jak gdybyś się już zabierał do płaczu. Ja lubię Sterna, ale nienawidzę wszelkiego naśladownictwa, i dla uniknienia małpiéj roli opowiem ci jedne tylko fakta bez żadnéj okrasy, bez patetyczności i bez komizmu.

Rózia, córka bogatych rodziców, piękna i dobra, jak aniół, odebrała wykwintne świeckie wychowanie, i ledwie weszła do towarzystwa, stała się przedmiotem licznych zalotów. Młodzież ubiegała się z zapałem o ten nadobny kwiatek, i kupiła się koło niéj w salonach, jak komary około świecy. Rózia, jak każda kobiéta, póki błyskawica wystrzelona z serca nie oświeci jéj ciemnych zakątów w głowie, była lekkomyślna, pędziła czas przed sobą jak natrętną muchę, oddawała godziny garściami za bal, za raut, za każdą pustotę; kochała się tydzień w A, tydzień w B, miesiąc w C,

a nawet sześć niedziel w D, co prawdziwie niemożna było nazwać fraszką. Wszyscy już mówili o blizkiém jéj zamężciu, a najwięcéj sam pan D, ale stało się inaczéj, i dziwna historja téj biednéj dziewczyny może być pojęta tylko za pomocą mojéj teorji. Póki nie wymyśliłem sobie téj teorji, nie rozumiałem nigdy podobnych dziwactw, i gotów byłem wierzyć, że to czary; teraz widzę w tém tylko figle Frenolestesa. Otóż, wracając do rzeczy, pewnego wieczora, kiedy Rózia przyjmowała za dobrą monetę suche umizgi całego tuzina lwów warszawskich, łudząc wszystkich i samą siebie, kiedy była szczęśliwa ze swego tryumfu i wesoła jak dziecko, biedna trzpiotka spostrzegła z boku młodzieńca grzejącego się przy piecu, młodzieńca z długim nosem, z otwartą gębą, patrzącego na nią wzrokiem mętnym, gawronim, słowem, patentowanego osła. Był to guwerner albo raczéj bakałarz dzieci pewnego domu. Nikt z przytomnych nie zwracał uwagi na tego jegomościa. Gdybyś zapytał kogokolwiek, jakie mogą zajść stosunki między Rózią i panem Walentym, każdyby ci powiedział, że te dwie istoty żyją w różnych sferach, i nigdy nie mogą mieć wpływu na swoje losy. O mądrości ludzka! na co się przydadzą twe rachuby? Nikt nie wyrachuje tego, co może dokazać Frenolestes, kiedy się uweźmie na czyj rozum! Dla niego dosyć było wleźć w mętne oczy Walentego, żeby zgubić biedną dziewczynę. Strzelił z tych oczu jednym promieniem swéj siły, który, jak potok elektryczności, przeniknął serce Rózi. To ciche, spokojne dotąd serce pierwszy raz w życiu wstrząsło się gwałtownie. Wszystko jéj stało na zawadzie: rozum ze swemi przestrogami, natura kobieca z nieśmiałością, rola towarzyska z dumą, świat z szyderstwem, nic ją nie zatrzymało, bo nie myślała o niczém; czuła tylko, że jéj potrzeba było poznajomić się z Walentym albo umrzeć; nareszcie dobiła się tego szczęścia! Chwila rozmowy z panem Walentym, jeden rzut oka na jego pociesznę figurę, mogłyby wytrącić sto strzał kupidyna z serca kobiéty, tak ten jegomość był zajmujący!.... Lecz nic nie oprze się potędze Frenolestesa! Rózia czuła swoję towarzyską, moralną i fizyczną wyższość nad tym człowiekiem; gardziła nim, i — kochała go! Ani opinja świata, ani rady przyjaciół, ani rozum, ani niecestwo, wad i zdróżności charakteru pana Walentego, jego brutalstwo, głupstwa, ani wreszcie wstyd, który każdy koncept pana guwernera wywoływał na jéj jagody, i łzy samotnie ronione nad nieszczęśliwym wyborem, nic ją nie mogło zatrzymać na drodze, po któréj ciągnął ją Frenolestes. Oddała się Walentemu jak niewolni-

ca; każde jego słowo, każde skinienie, było dla niéj rozkazem; słuchała go ślepo, chociaż widziała wyraźnie, że nadużywa swéj władzy, choć słyszała od wielu, że obojętnie doświadcza nad nią swéj potęgi i chełpi się swojém zwycięztwem. O jakże nędznie mogła upaść w kałużę występku ta biedna kobiéta, z sercem tak czystém, z myślami tak jasnemi, gdyby sam Frenolestes, użaliwszy się nad nią nie wyrwał jéj z pod władzy Walentego! Dmuchnął mu tylko w głowę, i pan Walenty, upojony niesłychanym swoim tryumfem, stracił ostatnią odrobinkę rozwagi, która mu jeszcze została. Pewnego wieczora, nadąwszy się jak indyk, Waluś w przytomności Rózi zaczął drażnić pana D, rozprawiając szeroko o suchych zalotach wielu nieszczęśliwych kochanków. Rózia błagała go wzrokiem, żeby porzucił nieprzyzwoite żarty. Pan D. był zimny, jak opoka, cierpiał długo i milczał, ale nareszcie zabrakło mu filozofji. Wywołał ostróżnie płaskiego dowcipnisia do przedpokoju, jakoby dla jakiejś tajemnicy, i tam przy lokajach nadawał mu tyle policzków, że głośny śmiech służalców i echo sromoty dało się słyszeć aż w salonie. Rózia, zapomniawszy na towarzystwo, niepomna na nic w świecie, rzuciła się do drzwi, spojrzała na opuchłą twarz Walentego, który odbierał jeszcze resztę należności, i upadła na podłogę jak martwa! Kiedy ją podniesiono, oczy jéj stały kołem, jakby wyrobione ze szkła, Rózia była obłąkana! Przywieźli ją tu niedawno. Familja ubrała bogato jéj celę, przeniesiono do niéj wszystkie meble rozkosznego buduaru, zastawili pół stancji wazonami kwiatów, które lubi niezmiernie, postawili jéj wiedeński royal, ma mnóztwo cacek, ptaszki, krosienka i książki do nabożeństwa. Ona zawsze cicha, miła, łagodna, jak aniół; modli się gorąco do Matki Boskiéj, bawi się, jak dziecko, i każdemu chętnie odpowiada na zapytanie. Zdaje się, że stan téj nieszczęśliwéj nieco się polepsza. Teraz, czasami, nocną porą, gdy księżyc snopem srébrnych promieni strzeli w okno i zadrży w gęstwinie jéj kwiatów, Rózia blada, cała w bieli, z rozpuszczonym włosem i rękami załamanemi, siada w tém świetle i nuci piosnkę miłosną, któréj echo rozlega się po wszystkich korytarzach; albo modli się, albo jęczy żałośnie, trzymając ręce konwulsyjnie ściśnione na sercu; albo niekiedy siada w głuchą północ do swego royalu, i rączki jéj budzą dzikie, zmięszane, smętne dźwięki, od których obłąkani zrywają się ze snu i płaczą, albo, co jeszcze okropniéj, tańczą na tę muzykę w swych celach! Ja sam nieraz płakałem gorzkiemi łzami, i nie mogłem się uspokoić, dopóki Rózia nie przestała grać. Ale

wejdź do jéj celi, wejdź. Ja tu zostanę, ja nie mogę dwa razy w dzień patrzeć na nią. Ja ją codzień witam rano, a wieczorem mówię jéj dobranoc; ale wtedy staram się, żebym jéj nie widział.

Zastałem Rózię siedzącą na sofie i karmiącą z dłoni kanarka. Była w lekkiéj, wykwintnéj sukience, z pod któréj rąbka wystawała drobniutka nóżka ociągnięta atłasowym trzewikiem; gazowy szalik spadł z jéj ramion, na których alabastrze wiły się kędziorami krucze sploty rozpuszczonych włosów; twarz jéj podobna do cudownych obrazów Gwidona i Korredżio, piękniejsza od nich, bo żywa, była ocieniona tym wymownym kolorytem smętności, z którego można się domyśleć cierpień serca czystego, jak zdroje wód edeńskich, i duszy namiętnéj, co szukała niebieskiego szczęścia na ziemi. Mgła obłąkania zaciemniała blask jéj oczu, z których padał na mnie wzrok mętny, bez życia, jak blask dwóch szklannych kulek; ale widać było, że z téj czarnéj źrenicy strzelały kiedyś magnetyczne potoki żywego, płomiennego uczucia. Przez te jakby zamarzłe w orbitach oczy spoglądałem w jéj duszę, tak, jak przez krater Hekli, otoczony lodami, badawczy wzrok widzi ognie pożerające jéj wnętrzności. Biedna dziewczyno! pomyślałem, ocierając łzę wiszącą na powiece, w wiośnie życia burza zaścigła cię na rozkosznéj łące, połamała wszystkie twoje kwiatki i zostawiła cię na stepie świata! jadowite gady zagnieździły się w twém sercu i struły w niém szczęście w samym zarodku! O młoda Peri! gdzie twój raj?

Moje przybliżenie odstraszyło kanarka. Rózia, śledząc wzrokiem za jego lotem, rzekła z westchnieniem: Patrz! i on mnie opuścił! ale ptaszek, jakby pojmując jéj boleść, obleciał tylko pokój dokoła i znów siadł na jéj ramieniu.

— Napróżno posądziłaś ptaszynę, rzekłem Rózi, ona wcale nie myślała cię porzucać.

— O, ona mnie nigdy nie powinna opuścić! zawołała Rózia; wszak to sierota od urodzenia! ja ją wypielęgnowałam i wykarmiłam własną ręką... ja byłam dla niéj matką... ja z przywiązania do niéj oddałam cudzym ludziom mego kotka Filusia, lękając się żeby jéj nie zjadł tak, jak jéj rodziców. O, ta ptaszyna powinna mnie kochać, wszak to nie człowiek!

— Czy już tak w młodym wieku zwątpiłaś o sercu ludzkiem? spytałem wzruszony. Ale Rózia pociągnęła dłonią po czole, jakby tłumiąc myśli, które się pod niém budziły, i wlepiwszy we mnie wzrok, rzekła:

— Siądź przy mnie. Może twoja przytomność pomoże mi zapłakać. Wszak często oczy nieprzyzwyczajone do samotnych łez, płaczą przy drugich. O, gdybym ja z pod spiekłéj powieki mogła wydobyć choć jedną łezkę! Ta jedna łezka, o którą tak długo błagam Niebo, orzeźwiłaby całą moję istotę; onaby mi dodała sił nieść daléj ten ciężki krzyż, który dźwigam na swoich ramionach; onaby ugasiła choć w części te okropne ognie, co mi palą łono. Matko Boska! zawołała biedna dziewczyna załamując ręce z rozpaczą i zwracając oczy ku niebu, Matko Boska! jedną łezkę! jedną kroplę rosy niebieskiéj! raz tylko pozwól mi zapłakać, a potém umrzéć!...

Nie władałem sobą, żal ścisnął pierś, łzy cicho płynęły mi po twarzy.

— O, jakżeś ty szczęśliwy! jakże ci zazdroszczę! rzekła Rózia boleśnie. Odstąp mi odrobinę téj rozkoszy! Dziesięć lat życia oddam ci za każdą łezkę! a potém, pomilczawszy, mówiła daléj: O, gdyby on był kiedykolwiek zapłakał! gdyby choć jedna smętna myśl zapadła w jego duszę! Ta łezka, ta myśl, zrobiłyby go innym człowiekiem, a mnie najszczęśliwszą z kobiét!... Ale on nie umiał płakać, on śmiał się zawsze, nie rozumiał smętności, szydził z łez, i nie wierzył temu, że one są zdrojem mądrości, miłości i szczęścia!...

— Kto taki? spytałem, biorąc ją za rękę.

— Nieboszczyk! odpowiedziała Rózia, kładnąc dłoń na serce. On kiedyś tu mieszkał, panował tu samowładnie, a ja święcie wypełniałam każdą jego wolę, domyślałam się jego chęci, uprzedzałam życzenia, drżałam jak liść jesienny, kiedy najmniejsza chmurka ocieniła mu czoło. Żeby był przynajmniéj.... ale niech mu Bóg to przebaczy, tak, jak ja mu przebaczyłam! Nie mówmy o tém, wszak on już umarł!... Jeśli ci powiedzą, że on żyje, nie wierz temu. Jego ludzie zawsze prześladowali, wszyscy byli przeciwko niemu, ja tylko jedna go kochałam! Gdyby ten człowiek mógł zmartwychwstać, moje serce ogrzałoby jego zlodowaciałe łono, dusza moja wywołałaby go z grobu!... Lecz próżno! on umarł na zawsze... ja sama widziałam, jak go położono w mogile, i z żalu niemogłam mu nawet powiedzieć: żegnam cię! do zobaczenia się w wieczności! nie mogłam nawet zapłakać nad jego zgonem!...

Rózia zamilkła; potém pobiegła do fortepjanu i zaczęła namiętnie, szybko i bez żadnych przestanków grać jeden walec po drugim.... Ja siedziałem nieporuszony na sofie, marząc o téj bie-

dnéj obłąkanéj, co ze złamaném sercem pędziła samotne życie wśród kwiatów, muzyki, ptasząt i cacek, i nie wiem jak długo marzyłbym, gdyby pan marszałek nie wywołał mnie z celi. Spostrzegłszy, że wychodzę, Rózia wstała od fortepjanu, i zastępując mi drogę, rzekła:

— Żegnam cię! dobry człowieku! Niech ci Bóg zapłaci za te łzy, któreś wylał nademną.

— O, gdybym mógł cię pocieszyć! zawołałem biorąc ją za rękę, gdybym choć kroplę balsamu mógł wlać w twe serce, Niebo mi świadkiem, że chętniebym poświęcił wszystkie siły mojéj duszy! siedziałbym przy tobie, jak matka przy swém dziecięciu, polewałbym twoje kwiatki, karmiłbym ptaszków... płakałbym i modliłbym się za tobą!....

— Już zapóźno! przerwała dziewczyna, wyjęła dłoń swą z mojéj i położyła ją na serce, jakby doświadczając jego rytmu. Już późno! Widzisz cierpienie. Cierpienie sparaliżowało mi serce; ono wkrótce przestanie bić w łonie, i to będzie najpewniejsza pociecha, to będzie chwila zbawienia! Kiedy tu przyjdziesz drugi raz, nie pytaj o mnie, bo biednéj Rózi nie będzie na świecie! Powiedz mojéj familji, żeby mi zrobili piękną trumnę, obitą białym aksamitem; niechaj mnie ubiorą w białą atłasową sukienkę, niech wplotą róże i mirt w moje włosy, niech posadzą młode topolki, brzozki i jodły na mojéj mogile, ażeby wędrowiec mógł siąść w ich cieniu i chwilkę pomarzyć o mych losach. Powiedz moim krewnym, niech się nie smucą, niech nie przychodzą na mój kurhanek z zachmurzoném czołem; o, proś ich, niech mnie odwiedzają wtedy, kiedy będą weseli i szczęśliwi! Żegnam cię! I ty przyjdziesz na moję mogiłę!...

— Biedna Rózia! zawołałem ocierając łzę i idąc daléj z marszałkiem.

— Nieszczęśliwa! odpowiedział mój przewodnik. Kiedy myślę o niéj, przychodzi mi zawsze do głowy, że wielka miłość jest uczucie niezawisłe od świata, uczucie skupione w kochającém sercu i utrzymujące się w niém bez żadnego wpływu osobistości kochanéj istoty. Ta miłość jest podobna do bólu. Powiadają, że kiedy kula armatnia oderwie człowiekowi nogę, to w pierwszéj chwili nie doświadcza żadnéj boleści, i zaledwie spostrzega, że stracił część siebie samego; a potém, kiedy go przygniecie brzemie cierpienia, wszak stopień bólu nie zależy bynajmniéj od tego, czy kula była

żelazna, czy kamienna, czy złota? dosyć tego, że to była kula, i że spotkała tego człowieka na swojéj drodze. Kula odleci daleko, ale ból zostaje.

VI.

MATKA.

— Oto jest druga kobiéta, którą ci miałem jeszcze pokazać, rzekł marszałek, zatrzymawszy się u jednego okienka. Przypatrz się jéj.

Patrzałem, patrzałem, lecz żadnym sposobem nie mogłem w niéj odkryć tego, czego się wypadało spodziewać z miny pana marszałka. Była to kobiéta dość otyła, z twarzą okrągłą, zdrową, rumianą, z fizjognomją zwyczajną i spokojną, słowem, niczego sobie kobiéta.

— No, cóż o niéj myślisz? zapytał z niecierpliwością marszałek.

— Myślę, odpowiedziałem uśmiechając się, że wpan mnie durzysz. Ta kobiéta nie wygląda cóś na nieszczęśliwą istotę, a wpanu koniecznie się chce, ażebym się nad nią jeszcze więcéj litował, jak nad tym nieborakiem, o którym mi dopiero mówiłeś, i więcéj jak nad biedną Rózią.

— Aj! aj! mój łaskawco! rzekł marszałek z ironją, jaki też to wasendzi masz talent zgadywać z postaci człowieka całą jego biografję! Chciałbym się jednak poczubić z tobą sofizmami, i dla tego pytam się, co znaczą łzy płynące po twarzy?

— Rozumie się, że ból, odpowiedziałem.

— Więc kto kochał matkę, i stracił ją, ten płacze?

— Niezawodnie!

— A jeśli ją więcéj kochał, jak drugi?

— To więcéj téż płacze.

— Otóż widzisz, że nie prawda! zawołał marszałek, wtedy człowiek nie płacze, ale stoi nad trupem z wytrzeszczonemi oczyma, które nic nie widzą, z głową pełną dum, która o niczém nie myśli, i z sercem pełném tysiąca uczuć, które jednak czuje jeden tylko wielki, głęboki, wszystkie inne uczucia pokrywający żal! wtedy człowiek stoi jak słup, albo leży jak kamień, i gdyby nie

był *człowiekiem*, to jest, istotą, którą nic długo nie zajmuje, umarłby z tego żalu.

— Prawda, panie marszałku! rzekłem z zadziwieniem.

— No, mówił daléj nielitościwy szyderca, a jeśli człowiek *jeszcze więcéj* kochał matkę?

— A to już nie wiem, co on może robić, przebąknąłem.

— Co? mój łaskawco! czy uwierzysz? wtedy człowiek się śmieje!

— To być nie może!

— Może być! Człowiek istotnie śmieje się i klaszcze w dłonie, i śmieje się znów, i tańczy w około trupa; ale nie jest to śmiech i taniec balowy; nie tak on klaszcze w dłonie, jak wy, kiedy uwielbiacie *pas de deux* jakiéj baletniczki — o, nie! jest to śmiech, taniec i bicie w dłonie, na widok których krew ci zlodowacieje w żyłach i śmiertelny pot wystąpi na czoło. Jeśli czytałeś Hamleta, to pojmiesz mnie.

— I tą razą masz słuszność, zawołałem, ale do czegóż to prowadzi? wszak odbiegliśmy na sto mil od historji téj rumianéj kobiéty, którą miałeś mi opowiedzieć.

— Jak to odbiegliśmy? krzyknął marszałek, czy masz mnie za warjata? Zupełnie nie odbiegliśmy, tylko wpana widać za nos trzeba doprowadzić do konkluzji. Oto, ja chciałem ci pokazać, że jeśli *śmiech* może w pewnych okolicznościach oznaczać najwyższy stopień żalu, to dla czegóżby dobra tusza i rumieniec, przez tęż samą siłę kontrastu, nie mogły ciemniejszéj krepy rzucić na nieszczęście?

— Wszystko to się lepiéj wyjaśni, rzekłem zniecierpliwiony, jeśli historja potwierdzi i rozwinie twoje rozumowanie. Zaczynaj więc, na miłość Boga!

— Zaczynam więc, zaczynam, rzekł marszałek. Alma, póki jéj Frenolestes nie przeciął nitki rozumu, była szczupła i kształtna, twarz jéj delikatna, i piękna tą bladością, która zachwycała Bajrona na licach Genewry. Tutaj dopiero utyła jéj figura i zpowszedniały rysy twarzy. Alma była kiedyś znajoma wszystkim z rozsądku, dowcipu, wesołości charakteru, a szczególniéj z dobrego i tkliwego serca, które, nie szukając szczęścia na dalekich drogach, umiało cenić to, co znachodziło w około siebie. Familja i kilku przyjaciół, składały jéj mały świat, chociaż, szanując towarzyskie stosunki, nie wyłączała siebie bynajmniéj z pospolitego, wielkiego świata. Alma przyrównywała siebie do człowieka, który *mieszka* w wielkim pałacu, ale najchętniéj i najczęściéj *przesiaduje* w je-

dnym maleńkim pokoiku. Trzebaż było, żeby nieszczęście brzemieniem upadło właśnie na ten zakątek! Biedna kobiéta! straciła w jednym roku matkę ze starości, braci i kilku przyjaciół na wojnie, dwoje dzieci ze szkarlatyny i męża z cholery; został jéj tylko ośmioletni synek. Możesz sobie wystawić, jaka massa uczucia przepalonego cierpieniem skupiła się w sercu matki dla tego dziecięcia!... Przez wiele łez, przez wiele ciężkich dum, przez wiele rozpaczy, przykuła się jéj dusza nowemi więzami do istoty, z którą i bez tego była tak mocno złączona! Z jakiém uczuciem, po tym uraganie niedoli, wlepiła wzrok swój w tęczowy łuk nadziei, który jaśniał dla niéj na skroniach syna! Pomyśl tylko o tém, i wyobraź sobie, jak ona musiała kochać swoje ostatnie dziécię! .. Spostrzegł to jeden z wędrujących po świecie Frenolestów, i klasnąwszy w dłonie z radości, rzekł sam do siebie: E! e! e! gdybym powiedział któremu z tych filozofów, co patrzą na świat przez okulary, że ta dobra kobiéta otruje swój rozum tak czystym nektarem, jakim jest macierzyńska miłość, żaden z nich nie uwierzyłby temu, a jednak niech mnie powieszą, jeśli tego nie dokażę!

Nazajutrz dzień był mroźny, ale pogodny, oświecony grudniowém słońcem, w którego promieniach szklił się śnieg na ulicach, jak gdyby były wysypane brylantowym proszkiem. Alma poszła z synkiem pospacerować. Na Nowym Świecie zastąpiła jéj drogę kobiéta źle odziana, drżąca od chłodu, i do tego na szczudle! ciągnęła za sobą na saneczkach jakieś malowidło w złotych ramach tak obojętnie, jak worek piasku; zatrzymała się i rzekła: Moja dobrodziéjko! czy nie kupisz tego obrazu? i, jakby uprzedzając zapytanie Almy, dodała: Oto, siostra moja, bogata osoba, niech jéj Bóg to daruje! zapisała mi go w testamencie, niech jéj Bóg to daruje! zamiast, żeby mi zostawić lepiéj jaki kapitalik, coby mnie wydźwignął z nędzy, niech jéj Bóg to daruje! prosto na śmiech, bo co mi z tém robić? niech jéj Bóg to daruje! Ta kobiéta, był to Frenolestes!

Alma uczuła szczególniejsze wzruszenie w sercu, patrząc na tę biedną. Ha! kobiéta na szczudle! już ta jedna okoliczność, może zmiękczyć serce najtwardszego człowieka, bo szczudło, widzisz, nie przeznaczone dla kobiéty. A ta była oprócz tego w nędzy, drżała od mrozu, i prosiła Boga o przebaczenie dla siostry, co taki nieludzki *sarkazm* wpisała w swój testament. Kupiła więc obraz, nie rozpatrując nawet bacznie przedmiotu, i odesłała go przez lokaja do domu. Wróciwszy z przechadzki, Alma znalazła malowidło już

zawieszone w sali, zaczęła je rozpatrywać z uwagą, i uczuła nowe ukontentowanie ze swego uczynku, bo to był prawdziwie mistrzowski utwór. Obraz przedstawiał scenę męczeństwa pierwszych chrześcijan, wykonaną równie pięknym, jak śmiałym pędzlem. Na obszernym placu, okolony ludem i liczną strażą, stał prokonsul rzymski, olbrzymiéj postaci i z surową twarzą, a przed nim kilku chrześcijan średniego wieku, i maleńki chłopczyk, przeznaczony na katusze. Prokonsul poglądał ukosem na przedśmiertne drgania połamanych członków jednego chrześcijanina, co, wycierpiawszy mę; czeństwo, żegnał świat spojrzeniem pełném rajskiéj rozkoszy- uśmiechał się dziko, i obojętnie ukazywał oprawcom na chłopczyka, ażeby go wiedli na śmierć. O, jakże blada, przestraszona, ściągnięta przeczuciem boleści, była twarz tego biednego dziecka!... Rzekłbyś, że malarz niezawodnie płakał, i często przerywał swoję robotę, kiedy charakteryzował tego aniołka. Jednakże była na tém płótnie druga twarz nierównie na większą zasługująca uwagę, twarz matki tego chłopczyka, która z załamanemi rękami przedzierała się przez tłum i straże na ratunek swego dziecka, i schwycona od żołdaków, stanęła na miejscu, jakby wrosła tu w ziemię. Na téj twarzy zdało się jakoby zatrzymał się w pędzie szalony uragan najboleśniejszych macierzyńskich uczuć, i wpiętnował w nią wszystek żal, strach i rozpacz, które z serca zionęły do głowy. Patrząc na nią, powiedziałbyś, że tu życie nagle zamarzło we wszystkich rysach, że tu skonała wszelka nadzieja i zachwiała się nawet wiara w niebo!.... O! wierz mi, wypędzlować taką twarz i nie umrzeć pod brzemieniem tego pomysłu, albo nie oszaleć, mógł tylko Frenolestes; on jeden jest w stanie dokonać podobnego dzieła, i istotnie jego to było malowidło! Alma patrzała na obraz, patrzała długo, boleśnie... jakieś dzikie marzenia zaczęły przelatywać jéj po głowie, jakieś konwulsyjne drganie budziło coraz okropniejsze uczucia w sercu; odwróciła oczy od obrazu, wlepiła obłąkany wzrok w twarz swego syna, pobladła jak trup, zachwiała się i upadła bez zmysłów!... syn jéj był żywy portret chłopczyka-męczennika! Wróciwszy do przytomności, Alma nikomu nie wyjawiła przyczyny tego wypadku, a jeśli kto tylko wspomniał o tém, kładła palec na usta, i skwapliwie, zmięszana, zaklinała go na wszystkie siły niebieskie i ziemskie, ażeby nikomu nie odkrywał tego co wie. Zresztą była spokojna, cicha, rezygnowana jak dawniéj, mówiła o wszystkiém rozsądnie, tylko unikała wszelkiéj wzmianki o synie i obrazie. Widać było, że jakaś tajemnica ciężyła na jéj

duszy. Kiedy była wolna od obcych ludzi, najczęściéj nocą, stawała nieporuszona przed obrazem, i rozpatrywała go dopóty, dopóki oczy prokonsula nie zaczynały się iskrzyć od wściekłości, i dopóki nie zdało jéj się słyszeć straszny głos: Bierzcie go! oprawcy! Wtedy uciekała jak szalona do swego synka, i tu dopiéro powoli przychodziła do spokojności. Nareszcie jednego dnia zabiła swego chłopczynę, i od téj chwili zrobiła się wesoła jak dziecko.

Kiedy doktor wysłany od władz miejscowych przyszedł ją odwiedzić, przyjęła go jak najprzyzwoiciéj, i rozmawiała przytomnie dopóty, dopóki jéj nie wspomniał o synie. Wtedy ożywiła się jéj twarz, obłąkana radość strzeliła jéj z oczu, zbliżyła się do doktora i rzekła: Muszę téż wpanu opowiedzieć, jak szczęśliwie wybawiłam mego synka od męczeńskiéj śmierci. Jutro mieli go Rzymianie ukrzyżować, dowiedziałam się o tém od kamerdynera samego prokonsula. A czy pojmujesz wpan okropność męki krzyżowéj? O! dla matki niemasz zagadek na świecie, kiedy chodzi o los dziecięcia; ona rozwiąże najtrudniejszy gordyjski węzeł. Wzięłam kamień do ręki... rozumiesz wpan? No, dobrze, kiedy rozumiesz. Trzymałam go pod chustką, ale długo nie mogłam wykonać swego zamiaru, bo dzieciątko stało przy mnie i ciągle mi patrzało w oczy. Czas upływał... nareszcie, słucham, aż tu Rzymianie idą już po wschodach!... Co to tu począć?.. o mój Boże! myślałam sobie, oni go natychmiast schwycą, jeśli ich nie uprzedzę. A chłopczyna ciągle patrzał mi w oczy, uśmiechał się do mnie, i tak miłe szczebiotał, że aż mi się serce krajało z rozpaczy. Nareszcie przyszła mi szczęśliwa myśl. Dziécię moje! rzekłam mu, pograj sobie w piłkę, i dobry mój synek zaczął natychmiast biegać z piłką po pokoju. Chodziłam koło niego z kamieniem pod chustką, nieodstępna jak cień, bo Rzymianie byli już w przedpokoju; śledziłam wszystkie jego poruszenia, starając się zajść mu z tyłu, ażeby nie mógł mi patrzyć w oczy; schwyciłam moment.... i jedném uderzeniem w ciemię wybawiłam go od krzyżowéj męki! Ledwie padł na ziemię, weszli Rzymianie do pokoju, ale, cha! cha! cha! już było zapóźno!...

Doktor pociągnął ręką po czole, i ledwie miał siły wyjść na ulicę. Na drugi dzień tryumfujący Frenolestes przyprowadził tu Almę, która, przy swojéj dziecinnéj wesołości, wkrótce poprawiła się w ciele i coraz więcéj zaczęła nabierać tuszy.

— O! biedna! nieszczęśliwa kobiéta! pomyślałem sobie, gdyby

jéj wrócić rozum, oszalałaby na nowo, dowiedziawszy się co zrobiła!... Okropniejszéj warjacji nie podobna sobie przedstawić.

VII.

HISTORJA PANA MARSZAŁKA.

— Mógłbym ci, rzekł marszałek, opowiedzieć jeszcze jednę historję, ale téj nie uwierzysz.

— A to dla czego? zapytałem.

— Dla tego, że to moja własna. Bo widzisz, mój łaskawco, nie tak to łatwo mówić o sobie, jak się zdaje: człowiek albo się zanadto chwali, albo zanadto gani. Wychodzi to na jedno wprawdzie....

— Rozumiem. Samochwalstwo, tak, jak elektryczność, bywa dwóch rodzajów: *dodatnie i ujemne*. Wiem o tém, kochany marszałku! Zaczynaj swoję historję.

— No, kiedy wpan jesteś tak ciekawy, to jużci nie odmówię mu téj przyjemności. Owóż kochaliśmy się z panną Paulinąą, jak dwa gołąbki. Widywałem ją bardzo często, ale nigdy w sobotę, bo hrabina, jéj matka, kiedyś w chorobie jednéj ze swych córek zrobiła *votum*, na intencję Najświętszéj Panny, nie wyjeżdżać nigdzie i nie przyjmować nikogo w tym dniu, oprócz krewnych i najbliższych przyjaciół.

— Cóż wy robicie w sobotnie wieczory? spytałem raz panny Pauliny.

— Dawniéj, odpowiedziała mi, mama czytywała nam historję, a teraz czytamy powieści przez nią wybrane.

Dowiedziawszy się o tych literackich sobotkach, postanowiłem natychmiast zyskać wstęp na szabasówkę. Przy pierwszém widzeniu się z hrabiną, przymówiłem się o to dość zgrabnie; lecz odpowiedziała mi sucho, że z obcych osób przyjmuje w tym dniu tylko dwóch literatów, co rozmową i ulotnemi pisemkami kształcą gust jéj córek.

— Gdybyś pan jednak napisał jaką powieść, dodała z uśmiechem, i gdyby ona mi się podobała, to chętnie policzyłabym go trzecim gościem na sobotnich wieczorach.

— Jeśli tylko o tę bagatelę chodzi, rzekłem uszczęśliwiony, to spodziewam się w przyszły piątek oddać pani moję powieść pod recenzję, a w sobotę być jéj gościem.

— Bardzo sobie tego życzę, rzekła hrabina z przekąsem.

— Mocno będę rada, rzekła panna Paulina, jeśli pan dotrzymasz słowa.

— A jeśli pan go nie dotrzymasz, podchwyciła młodsza siostra Zofja, to go wezmę na fundusz i będę drwiła bez litości.

Pożegnałem hrabinę, śpiesząc do domu, żeby natychmiast zabrać się do pisania.—Wielka rzecz powieść! myślałem sobie, takie głupstwo każdy może napisać. Jak wpan sądzisz, czy miałem ja rację?

— Jeśli chodziło tylko o gadaninę, o awantury, o wielkie czułości, okropieństwa, koncepta i brudy, to taką powiastkę można napisać podług recepty; ale dobrą powieść nie tak łatwo.

— A czego to potrzeba, żeby powieść była dobra?...

— Tego samego, co dla każdego belletrycznego dzieła. Potrzeba żeby była *prawdziwa, pożyteczna i piękna.* Taka powieść przestaje być błahym utworem i może stanąć na równi z poematem, drammą i filozofją.

— Oho! aspan masz wysokie pojęcie o powiastkach!...

— Tak, istotnie, mój marszałku! bo dziś cała poezja i filozofja moralna coraz widoczniéj przechodzą w powieść, która stała się najpopularniejszym rodzajem piśmiennictwa.

— No, mniejsza o to. Mnie się zdawało, że powieść jest głupstwo i w tém usposobieniu ducha wracałem do domu. Na ulicy spotkał mnie jakiś człowiek z twarzą dobrze mi znajomą, wziął poufale pod rękę, i rzekł, idąc ze mną:

— Nie frasuj się, Edwardzie! ja ci dopomogę, napiszemy powieść, i jeszcze jaką! zobaczysz, we czterech tomach, jak miał zwyczaj Walter-Scott, humorystyczną, jak Tristram Shandy, sentymentalną, jak Heloiza, fantastyczną, jak brednie Hoffmana, moralną, ach! strasznie moralną! powieść dziką, śmieszną, filozoficzną, encyklopedyczną, powieść nad powieściami! Bądź spokojny, napiszemy!

Wystaw sobie, ten urwis, co mi się tak słodko przylizywał, był to Frenolestes. Szkoda, że wtedy nie pojmowałem wcale, co to takiego Frenolestes, bo nie byłbym mu wierzył. Ale co teraz o tém gadać? Dość na tém, że pokochałem go od pierwszego słowa, i kiedy skończył, rzekłem:

— Dziękuję ci, mój łaskawco, za przyjaźń i obiecaną pomoc. Nigdy światły człowiek nie był mi tyle potrzebny, jak teraz: bo widzisz przyrzekłem napisać powieść, a niechaj pęknę, jeśli wiem, jaki dać jéj tytuł?...

— Tytuł? podchwycił Frenolestes, a! to ważna rzecz! Trzeba nam wymyślić tytuł nowy, dziwny, zaostrzający ciekawość; naprzykład: *Pamiętniki człowieka, który się urwał ze stryczka.*

— E! rzekłem po chwili namysłu, posądzą mnie, że wisiałem na szubienicy.

— Bynajmniéj, mój przyjacielu! Wszak Szyllera nikt nie posądził o rozboje, ani Bajrona o korsarstwo. Ale mniejsza o to. Kiedy ci się ten tytuł nie podoba, to weź drugi, naprzykład: *Maskarada w Piekle.*

— Ot, ten to dobry! krzyknąłem uradowany; lecz natychmiast przypomniałem sobie, że hrabina była bogobojna kobiéta, i porzuciłem go.

— No, to weź inny, rzekł Frenolestes, i zaczął mi klepać tytuły jakby z katalogu:

Medytacje nad Jajecznicą.

Dwa Koczkodany.

Asmodeusz i panna Marjanna.

Miłostki Warjata z Warjatką i t. d., i t. d. Cały dzień wyliczał mi tytuły, ale żadnego nie wybrałem.

Wieczorem, zobaczywszy się z matką, wynurzyłem przed nią swoje zmartwienie. Poczciwa staruszka uśmiechnęła się i rzekła:

— A czy namyśliłeś się téż, na jakim papierze napisać twoją powieść i w jaką okładkę oprawić zeszyt?

— Jest to o czém myśleć, odpowiedziałem. Gatunek papieru nic tu nie znaczy, a stosowna okładka znajdzie się, jak zeszyt będzie gotowy.

— No, mój synu, tytuł powieści albo jest rzeczą zupełnie obojętną, albo jeżeli potrzebuje wyboru, to najłatwiéj go znaleźć, kiedy dziełko już napisane. Namyśl się lepiéj, co chcesz pisać? jaką myśl masz rozwinąć? jaką namiętność rozebrać? jaką scenę przedstawić? a nie naśladuj człowieka, co mając jedną tylko chęć zostać rzemieślnikiem, lecz nie wybrawszy jeszcze rzemiosła, łamie sobie głowę nad tém, jak pomalować szyld, co ma kiedyś wisieć na bramie jego domu.

— Istotnie prawda! zawołałem, uderzywszy się pięścią w czoło. Pocóżem ja cały dzień próżno stracił, myśląc nad tytułem?...

Nazajutrz, kiedy siedziałem przy moim stoliku do pracy, z piórem w ręku, zaszedł do mnie Frenolestes z rannéj przechadzki, i nie rzucając laski i kapelusza, rzekł:

— Mama twoja ma słuszność. Rozumie się, trzeba wprzód zebrać cegły na budynek, a potém dopiero kryć go dachem. Chodź, pojedziemy zbierać materjały dla naszéj powieści.

I pojechaliśmy; naprzód do Bonifratrów, gdzie zapisałem sobie opowiadanie kilku łaskawych warjatów, którzy mi się wyspowiadali dla dobra literatury, potém do miejskiego więzienia po pamiętniki zbrodniarzy, potém do szulerni, do szynków, do nieporządnych domów, nareszcie do żydów i do cyganów, co koczowali sobie z niedźwiedziem za Marymontskiemi rogatkami. Przywiozłem do domu cały pęk papierów, nie wątpiąc bynajmniéj, że z tak obszernych pamiętników łatwo powieść napiszę. Dziwna rzecz! oczekiwania moje, oparte na tak pewnéj zasadzie, zupełnie mnie jednak zawiodły. Siedziałem nie wstając z miejsca dwa dni i trzy noce, żeby się lepiéj wcielić w przedmiot, żeby słabość fizyczna wzbudziła we mnie rodzaj ekscytacji. Zacząłem piętnaście powieści, ale żadnéj nie mogłem skończyć. Nic mi się nie kleiło. Nie mogłem ani rozplątać gmatwaniny myśli, ani ożywić drammy, ani wygładzić stylu. Przy całéj swéj zarozumiałości, widziałem wyraźnie, że kompozycja była płaska i *monumentalnie* głupia. Bazgrałem jeszcze jeden dzień, i znudzony, poskarżyłem się znów matce, że z tylu materjałów nie mogę skleić powiastki.

— O, moje dziécię! rzekła staruszka z westchnieniem, ja wiem, że teraz wiele piszą z podobnych materjałów, rozprawiają szeroko o zbrodniarzach, cyganach i djabłach, ale wierz mi, że to nie długo potrwa, bo nareszcie ludzie zobaczą swoje szaleństwo. Mój synu! kiedy chcesz pisać powieść, to szukaj materjałów we własném sercu, w umyśle i w swoich wspomnieniach. Wszakże opisać należycie można tylko to, co człowiek widzi sam w sobie, albo co kiedy zauważał w drugich.

— Dalibóg prawda! prosta rzecz, a jednak nie wpadłem na tę myśl. Chciało mi się koniecznie grzebać w śmieciach. No, mamo! zapomnij o tém, że syn twój kilka dni w swojém życiu był głupi. To może na zdrowie. Zapomnij.

— Chętnie zapomnę, tylko się popraw.

— Bądź spokojna, moja mamo! Mam ja pewną cnotę, przy któréj człowiek nigdy nie powinien rozpaczać, a mianowicie: nie jestem zarozumiały. Ot, widzisz naprzykład teraz: czuję, że nie

mam żadnego doświadczenia, nigdy nie obserwowałem ludzi, bo mnie prawie wszyscy nudzili; pisząc więc powieść, wezmę się tylko za to, co znajdę u siebie w głowie i sercu.

— Znajdziesz tam dosyć, tylko nie kwap się i umiéj szukać.

— Śpieszyć się muszę, bo czas krótki; a co do drugiego, postaram się splądrować wszystkie zakątki mojéj istoty. Może téż nie napróżno *pójdę po rozum do głowy*.

Ucałowałem jéj rękę i pobiegłem do swego gabinetu.

— Podsłuchałem twoję rozmowę z matką, rzekł Frenolestes. Co to za rozsądna kobiéta! Gotówbym pomyśleć, że uczyła się estetyki, literatury i krytyki w uniwersytecie! Ot, teraz wpadliśmy na dobrą myśl. Bądź spokojny, teraz napiszemy powieść!...

— Trzebaby naprzód zobaczyć, rzekłem, co téż u mnie jest w głowie i sercu?

— Nie ma czasu, mój przyjacielu! Wszak wszystkiego ci zostaje jedna noc i jeden dzień. Jutro piątek. Ale nie frasuj się, skończysz tę przeklętą robotę. Sprobujmy z początku, do jakiego rodzaju powieści masz największą zdatność.

— Ba! a może ja nie mam zdatności do żadnego rodzaju?

— Nie bądźże przynajmniéj *skromnym*. Klassycy mieli kiedyś tę płaską i niedorzeczną wadę. Czy chcesz być klassykiem?...

— A broń mnie Boże! lepiéj być prosto głupcem.

— Widzisz. Słuchajże mnie: czy czytałeś kiedy powieści?

— Czytałem ich mnóztwo; wiersze i powieści, powieści i wiersze; więcéj niczego nie brałem do ręki.

— Jakież powieści najwięcéj ci się podobały?

— Lubię dosyć tego fantastyka Hoffmana.

— No, dobrze. Więc sprobujemy naprzód, czy możesz co napisać w tym guście?

— Chciałbym wiedzieć, jak tego będziesz doświadczał?

— Najprostszą drogą. „*Uderz w stół, nożyce się odezwą*“ mówi polskie przysłowie. Takim sposobem i ślepy może znaleźć nożyce, bijąc pięścią po wszystkich stołach. Dla czegóżbyś ty nie miał znaleźć swego gustu do powieści? Hoffman lubił siedzieć nad wazą palącego się ponczu, i wtedy przychodziły mu najlepsze koncepta do głowy. Czy lubisz poncz.

— Lubię.

— No, widzisz, otóż znalazła się już w tobie połowa gustu Hoffmana. Czy medytowałeś kiedy nad ponczem?

— Nigdy! uważałem to za słabość!

— Oho! cóż dziwnego, żeś dotąd nic nie napisał? Każ sobie dać wazę ponczu, siadaj i medytuj. Jestem prawie pewny, że Hoffmanowskie myśli będą ci przychodziły do głowy.

— A kto wie? pomyśliłem sobie, wszak to niezły *experiment*, może istotnie przyjdą? i siadłem nad wazą ponczu.

Arak i wino paliły się jasno-fioletowym płomieniem, który przyrównywałem w wyobraźni do majowego nieba i do oczął panny Pauliny. Za każdém poruszeniem łyżki w wazie buchały i przelewały się na tém fioletowém tle ogniste wstęgi, jak fale Flegetonu, a cukier gorzał ze szmerem podobnym do syczenia żmij. Wlepiłem wzrok w ognistą czuprynę wazy, wypiłem duszkiem szklankę ponczu i znów patrzałem. Zdało mi się, że smok tańczył w płomieniach Fandango z salamandrą, a za tą parą pląsał cały rząd dziwolągów, których przybywało za każdą nową szklanicą. Był tam żyd skrzydlaty z ośleni uszami, z bobrowym ogonem i z karabinem na plecach; czarownica z kaczym nosem, na trzech nogach, skacząca angleza z jakimś ogromnym bębnem na wysokich szczudłach; byli wreszcie figuranci romantyzmu, czcigodne upiory, bisy, szatany i *komp*.

Ten sabat urozmaicał się, ożywiał się coraz więcéj, persony zaczęły nareszcie jak grad padać zkądś na scenę. Nabrało się ich jak mrówek w mrowisku, cisnęły się, uwijały się, jedna skakała przez drugą, piszczały, miauczały, robiły. Widziałem to wszystko, ale oprócz tego nic więcéj nie zjawiło się w méj głowie. Nakoniec po kilku szklankach zwaliłem się pod stół i zachrapałem.

— No, rzekł Frenolestes obojętnie, widać, że pan mój kochany nie ma zdatności do fantastycznego rodzaju. Sprobuj, czy nie odezwie się w tobie ciemna, dzika, sceptyczna egzaltacja, która dziś pod firmą bajronizmu łaskawie protekcji udziela młodym poetom? Oto stoi koń osiodłany, siadaj na niego i pędź, ile ci siły wystarczą. Kto wie? może twoja wyobraźnia rozkołysze się, i zamiast powieści, dogonisz cały romantyczny poemat? Nuże! siadaj!

Wskoczyłem na rumaka z zapałem, i jak uragan, wleciałem na płaszczyznę. Pędzę, dzielny rumak wyciąga się, piersią ledwie ziemi nie tyka, wyściga wiatry w zawodzie; tchu mi nie starczy; chwytam powietrze pełnemi płucami, jak Farys na pustyni; migają mi się w oczach drzewa, łąki, pola, i tysiące zmieszanych obrazów.... lecz w głowie pusto i pusto! Pędzę daléj i daléj, nic nie pomaga! Obiegłbym tak ziemię dokoła i nie dogoniłbym ani jednéj myśli. Nareszcie koń się spotknął.... spadłem z niego haniebnie

i połamałem sobie żebra.... Aj! aj! wrzasnąłem z boleści, ja nie mam zdatności do tego rodzaju!

— Prawda, że nie masz, rzekł Frenolestes, żebra twoje za słabe; ale nie frasuj się, Edwardzie! alboż to mało innych rodzajów? znajdziemy nareszcie twój rodzaj.

Powiedziawszy to, zarzucił moję potłuczoną personę na swój grzbiet, tak, jak chłop młode cielę, które niesie na rynek, i w dwa susy byliśmy znów w moim gabinecie. Usiadłem stękając w krześle.

— Sprobujmy teraz, rzekł Frenolestes, czy nie mógłbyś pisać w rodzaju okropnym? Powiadają, że autor *Atreusza i Thyesta,* dla ożywienia swéj weny z letargu, biegał bez fraka i wył straszliwie, dopóki okropne myśli nie napłynęły mu do głowy. Zdejm surdut i zaczynaj.

— Ależ zmiłuj się nademną! zawołałem bełkocąc żałośnie, ten pisarz nie był pewnie pijany, miał żebra całe, a ja...

— Dla tego też jego kompozycja o *Atreuszu i Thyeście* wcale mu się nie udała. O tobie tego nie powiedzą. Zaczynaj.

Jakże nie posłuchać przyjaciela, jakże nie uwierzyć, kiedy nas tak zachęca? Widziałem w jego oczach, że jestem zdolny napisać dzieło *monumentalne, jakiego jeszcze świat nie oglądał,* i nie chciałem pozbawić Europy tego arcydzieła. Poświęciłem się dla ludzkości. Porwałem się z miejsca, zacząłem biegać wężykiem po pokoju, i skowyczeć, jak brytan na łańcuchu.... Wszakże *experiment* był trudny. Ochrzypłem, gardło mi nabrzękło, a z mózgu, jakby był kamienny, nie wytrysła ani kropelka myśli.

— Dosyć tego, rzekł Frenolestes, tego sposobu nie warto było używać, bo dziś nikt nie pisze w tym rodzaju. Trzeba...

— Bógdajbyś zgłupiał! mój przyjacielu! przerwałem ochrzypłym głosem, pocóżeś wprzód o tém nie pomyślał? miałbym przynajmniéj zdrowe gardło.

— Alboż ja tobie jednemu tylko radzę? zawołał oburzony Frenolestes. Mnóztwo literatów udaje się do mnie ustnie i listownie, muszę każdemu odpowiadać. Głowa mi się kręci od rad i sądów! cóż więc dziwnego, że się raz omylę? Zapomniałem, że jest inna próba daleko właściwsza dla naszego czasu. Siadaj i pobaw się tylko ot z tym kotem.

Wyjął z kieszeni ogromne kocisko i rzucił mi go na kolana.

No, pomyślałem sobie, wszakci to nie trudna rzecz głaskać kota, sprobuję!...

Głaskałem pazurnika czas jakiś, patrzyłem mu w ślepie, bawiłem się z nim, ale w głowie nic się nie zmieniło na korzyść literatury. Nareszcie, chcąc sobie skrócić mitręgi i odrazu naelektryzować się od kota, ścisnąłem go tęgo za koniec ogona... Przeklęte kocisko! trzebaż mu się było tak mocno za to obrazić, że mi prosto rzucił się do twarzy i wydrapał jedno oko... Zerwałem się z krzesła jak szalony, zacząłem gonić kota, i gdybym go był złapał, niezawodniebym był udusił niegodziwe zwierzę, do którego zawsze miałem wielką odrazę; ale Frenolestes z największą obojętnością zawołał na mnie:

— Tak, tak, poluj na kota, trać czas na te dziecińśtwa! Widać, że ci już nie potrzeba powieści dla panny Pauliny.

— Ja chcę napisać powieść! krzyknąłem z rozpaczą, rób sobie ze mną co ci się podoba, doradź mi, mistrzu!

— Poprobuj targać się za wąsy, rzekł Frenolestes, wpadniesz na drogę wielkiego dowcipu.

Zacząłem targać się za wąsy.

— A co? spytał po chwili professor estetyki.

— Nic, odpowiedziałem, pasując się z bólem.

— Targaj mocniéj!... mocniéj!... jeszcze mocniéj! wybieraj między wąsami i powieścią.

Raz, dwa, trzy, targnąłem z całej siły. Aj! uuu!... o, ja nieszczęśliwy! wyrwałem wszystkie włosy z pod nosa... straciłem moje piękne wąsiki, ozdobę mojéj twarzy! i to napróżno!...

— Widać, że to nie twój rodzaj, rzekł Frenolestes. Podczesuj sobie czuprynę. Kto wié? może ci się uda napisać takie śliczne dziełko, jak *Stello?* Ach! jak to będzie się zachwycała panna Paulina!...

Mój Boże! czegóżbym ja też nie zrobił dla panny Pauliny? Zacząłem bez żadnéj ceremonji drzéć sobie czuprynę, i w kilka minut żadnego śladu włosów nie zostało na méj głowie.

— A co? spytał Frenolestes.

— Nic nowego, odpowiedziałem, prawie płacząc od bólu.— Z wierzchu goło, a wewnątrz pusto, oto moja głowa!

— Fu! krzyknął zniecierpliwiony syn Frenofagjusza, jaką też aseńdzi masz ośłą głowę! Tyle prób, tyle rad, nie obudziło w tobie żadnéj myśli! Próżna rzecz robić nad tobą jeszcze więcéj doświadczeń. Sam nie wiém co z tobą począć? A, a, a! zaczekaj, znalazłem środek! Teraz zdaje mi się, że się nie omylę. Pokażno głowę.

Nachyliłem mózgownicę. Frenolestes palcami czegóś po niéj szukał. Chciałem się już rozgniewać; wtém mistrz mój zawołał z pogardą:

— Podług kranologji, wypadałoby ci być, przy największém nawet szczęściu, niczém więcéj, jak cieślą, albo może introligatorem, a ty chcesz być literatem! Szkoda, żem wprzód nie obejrzał twéj głowy.

— Zmiłuj się, zrób mnie literatem, chociaż na jeden dzień; niech tylko napiszę powieść.

Frenolestes się zamyślił.

— Mogę to uczynić, rzekł nareszcie, ale ból będzie wielki. Gdybyś znał kranologję, pojąłbyś, że z takiéj mózgownicy, jak twoja, trudno coś zrobić.

— Ja to wiem i bez kranologji. Zgadzam się na wszystko. Cóż chcesz zrobić?

— A cóż więcéj, jak przerobić twoję głowę? Trzeba sztuką poprawić niedostatek natury. Przerobię ci głowę!

— Może nie wytrzymam bólu? łaskawco!

— Wytrzymasz. Takie głowy, jak twoja, są mocne, jak kamień.

— Rób sobie co chcesz ze mną! zawołałem desperackim głosem.

Frenolestes wyciągnął z kieszeni czerep wykuty z grubéj żelaznéj blachy, który za pomocą zawias, roztwierał się na dwie połówki, a z brzegów, tam, gdzie u żywéj głowy znajdują się uszy, miał dwie szruby, za pomocą których można go było nie tylko zamykać, ale nawet ściskać, jak prassę. Na tym czerepie z wewnętrznéj strony były w kilku miejscach wytłoczone dołki, odpowiadające (jak mi zaręczał Frenolestes) tym guzom, co podług organologji Galla, powinny się znajdować na głowie literata.

Opowiedziawszy mi znaczenie każdego guza, Frenolestes roztworyzł czerep, położył mi na głowę, jak żydowską krymkę, i nagle koło uszu zakręcił szruby.... Boże miłosierny! co to za straszliwy ból!... Wszystkie kosteczki zatrzeszczały mi we łbie.... Myślałem, że mnie kołem bito!... że mi zdruzgotano głowę pod egipskiemi piramidami!... W Imię Boga żywego! krzyknąłem schwyciwszy się oburącz za mózgownicę, zgiń mocy czartowska! i ledwie wymówiłem te słowa, Frenolestes, wziąwszy nogi za pas, czmychnął. Odetchnąłem, otworzyłem oczy, i zupełnie przestałem wątpić o mojém wybawieniu. Leżałem w łóżku, firanki u okien by-

ły spuszczone, waza od ponczu stała na stole, matka i doktor siedzieli przy mnie.

— Okropny sen musiałeś mieć! mój Edwardzie! rzekła matka ze łzą w oku.

— Jaki tam sen! wrzasnąłem, zrywając się z poduszki. Patrz, mamo! ten jegomość, co mi miał dopomódz pisać powieść, spoił mnie jak belę, połamał mi żebra, zepsuł gardło, pozbawił oka, wąsów i czupryny, i nareszcie ściskał mi głowę w żelaznéj prassie. O przeklęty! żeby był przynajmniéj wycisnął z niéj jaką powiastkę dla panny Pauliny!... ale nic nie znalazł, i zrobił mnie kaleką na całe życie!...

— Bądź pan spokojny, rzekł doktor z uśmiechem, nie będziesz wcale kaleką, bo ja to wszystko już poprawiłem. Żebra pańskie są w całości, oko, wąsy i czupryna na miejscu; głowa tylko cokolwiek nabakier, ale i to poprawimy.

Spojrzałem na tego jegomościa i z rozpaczą upadłem na podłogę, bo to był znów Frenolestes.

— Czy to być może? kochany marszałku! zapytałem jakby mocno zdziwiony, czy dobrześ mu się przypatrzył?...

— O, jabym go w piekle poznał, zawołał marszałek. Wszakże u niego na czole był gwoździkiem przybity portrecik panny Pauliny, i ten mu dawał taką władzę nademną. On to był, bez żadnéj wątpliwości, tylko w doktorskiéj skórze. Wiedział o mojém przeznaczeniu, i obcesem zapytał mnie:

— Czy pan koniecznie chcesz napisać powieść dla panny Pauliny?

— Muszę postawić na swojém, odpowiedziałem.

— No, rzekł doktor, albo, nie skrywając jego nazwiska, Frenolestes, ja panu nie odmówię pożytecznych rad. Zaczekaj kilka dni, popraw się na zdrowiu, a potém zobaczymy.

Niebardzo byłem kontent, że Frenolestes znów wracał do estetyki, bo ta już porządnie dała się mi we znaki. Gdyby nie matka, odprawiłbym go radzić drugim. Zresztą byłem słaby, musiałem się zgodzić na to, co mu się podobało ze mną dokazywać; i dobrze zrobiłem, bo zjadłszy z jego łaski połowę apteki, powstałem z łóżka i zacząłem się na nowo zajmować powieścią, i znów nic skleić nie mogłem.

Pewnego dnia Frenolestes, zastawszy mnie przy pracy, zapytał:

— Dla czego pan kręcisz się tak na krześle, gryziesz pióro

i tupasz nogami, kiedy się zajmujesz literaturą? Na co się to zdało?

— Na to, odpowiedziałem z niechęcią, że się gniewam na siebie. Tak jestem zły na siebie samego, że się wszystko we mnie burzy.

— A, to bardzo źle! Takim sposobem nigdy pan nic porządnego nie napiszesz. Literat powinien być spokojny, a spokojność pochodzi z serca, a serce najwięcéj uspakaja religja. Nie życzę panu poddawać się gwałtownym uczuciom. Szkoła romantyczna coraz więcéj upada. Dziś wymagamy w literaturze nie upajającego pierwiastku, lecz umiarkowania, prawdy i pożytku.

Na drugi dzień Frenolestes zaszedł do mnie z rannéj przechadzki, i po krótkiéj rozmowie, zapytał:

— Dla czego pan pół godziny gadasz o tém, co można powiedzieć w kilku słowach?

— A to rzecz osobliwsza! rzekłem, powstając z krzesła, naturalnie, dla tego, żeby memu słuchaczowi dobrze rzecz wyłuszczyć.

— Wcale nie, rzekł Frenolestes obojętnie, dla tego tylko, że pan dobrze jéj nie rozumiesz; dla tego, że nie potrafisz myśleć logicznie, nie umiesz związać jednéj myśli z drugą, i przeszedłszy cały łańcuch rozumowania, dojść do konkluzji najprostszą i najkrótszą drogą.

— Cóż robić? słaba głowa!

— Nie sądzę, żeby natura była tego przyczyną. Nie każdy wprawdzie ma *rozum twórczy,* bo ten daje się tylko małéj liczbie wybranych; ale *rozum bierny,* to jest, pojęcie zdrowe tego, co druzy pojmują: ten każdy mieć może i mieć powinien. Głowa pańska różni się od innych tém tylko, że jest niezmiernie zapuszczona, długo leżała odłogiem, a przez to wszystkie ścieżki i drogi, po których chodzi umysł, zarosły chwastami. Teraz najzdrowsza myśl twéj głowy, idąc naoślep, traci siły, przedzierając się przez gęstwinę, tonąc w błotach, skacząc przez doły, i dla tego tak późno daje się widzieć w końcu gadaniny. Nieźle byłoby panu wziąść się za logikę, chociaż, prawdę powiedziawszy, wolałbym, żebyś wziął się za elementarną matematykę, dla tego, że w tym względzie przekładam *praktykę* nad *teorję.* Kochana matematyka podobna jest do palonych butów, w których człowiek, dla oszczędzenia sobie mitręgi, unika, ile możności, manowców, a prostą drogą zmierza do mety. Dobrze to jest dla literata, kiedy myśl jego bujna, jak

orzeł, tańczy i skacze, jak baletniczka; ale trzeba, żeby wprzód umiała chodzić nie chwiejąc się, jak pijany.

— Ależ to nudna i trudna ta matematyka, mój dobrodzieju!

— Istotnie i trudna i nudna dla tych, co nie mają cierpliwości zrozumieć poprzedzające wprzód, nim się wezmą za to, co następuje. Początki w rzemiosłach, sztukach i każdéj nauce są zmudne i uciążliwe; twórczość wszędzie napełnia duszę rozkoszą. Czy sądzisz, że Newton nudził się, kiedy badawczém okiem zajrzawszy do krańców fizycznego świata, pisał mu prawa niezłomne? Mylisz się okropnie. Czuł on wtedy daleko więcéj zapału, niż cały legion dzisiejszych wierszokletów. Alboż Leibnitz i Laplace, i nasz Śniadecki, byli ludzie z lodu? Śmieszna to jest zaiste rzecz, że kiedy ludzie czego nie rozumieją, to zaraz szydzą z tego przedmiotu, i z tych, co się nim zajmują. Tak naprzykład, medycyna i medycy nieustannym są celem szyderstwa publiczności, póki szanowna publiczność nie zachoruje i nie poszle po doktora. Bądź pan zdrów! Idę na spacer. A może i pan pójdziesz? Wieczór piękny, przechadzka potrzebna ci do zdrowia.

Zgodziłem się chętnie, i poszliśmy do Bielan. Wieczór był pogodny, jesienny; zachodzące słońce gorzało złotym ogniem za gęstwiną lasu; wokoło nas szumiały drzewa, do połowy obnażone z liści. Usiedliśmy na pniu i w milczeniu zadumaliśmy się. Wróble świergotały jeszcze wieczorną swoję piosnkę nad naszemi głowami; zdało mi się, że rozmawiały o mnie, i słuchałem z uwagą ich języka. Nareszcie Frenolestes, przerywając moje marzenia, rzekł:

— Oto pan zabierasz się do pisania powieści; przyznaj mi się téż szczerze, jakie ten las obudził w tobie myśli?

— W mojéj głowie roi się mnóztwo myśli, odpowiedziałem, ale one zbyt mocno połączone z sobą, poplątane i zbite w pęk, żebym mógł cóś porządnego powiedzieć. To zachodzące słońce wydaje mi się tak wspaniałém, jak geniusz, co oświecał ludzkość w chwili zgonu. Szum drzew ukołysał moję duszę, jak pieśń piastunki, dziecko w kolébce. Ten las równałem w marzeniu ze światem: każde drzewo było w moich oczach narodem, każda gałązka, familią; każdy liść człowiekiem. Uschły pień, na którym siedzimy, zdał mi się rozwalinami Kartaginy, na których dumał kiedyś Marjusz. Myślałem o tém, że jak drzewa walą się w lesie od czasu, od burzy lub siekiery człowieka, tak na ziemi giną narody, tak gasną ludzkie egzystencje. Wszystko na świecie ma swoję jesień,

i to, co zostaje, zapomina o tém, co pada, tak jak drzewo o przeszłorocznych liściach.

— Próżno pan do szczętu zwątpiłeś o swych zdolnościach do literatury. Marzenie twoje o losie jest wprawdzie lekkie, młodzieńcze, i pachnie *Wypisami dla szkół narodowych*, ale ujdzie za poetycką dumkę. Wszakże nie dość czuć piękności natury, trzeba je czuć rozumnie: bo czyliż nie daleko wymowniéj i jaśniéj wyłuszczysz piękność przedmiotu, kiedy go będziesz pojmował z różnych stron, niż wtedy, kiedy napół-ślepém okiem patrzysz na niego tylko z wierzchu? Żeby opisać rozkoszne mieszkanie bogacza, dosyćże powiedzieć, jakie ma ściany i dach? Bez wątpienia, tego zbyt mało; bo powierzchowność pałacu bogacza jest najmniéj może znaczącą cząstką tego, co się zawiera w salonach. A cóż mówić o naturze? O! wierz mi, że żaden bogacz nie ma tak pięknéj, rozkosznéj i wspaniałéj *willi*, jak rodzaj ludzki!...

— Ba, przerwałem, to widać znów trzeba się uczyć?

— Wiele, wiele, mój dobrodzieju! rzekł Frenolestes. Nauka o naturze, jest to olbrzymie dzieło, w którém tysiące rozdziałów. Jeden z nich nazywa się astronomja, drugi fizyka, trzeci chemja, a tam geologja, geognozja, botanika, zoologja, i t. d., i t. d. Literat powinien mniéj więcéj z każdym rozdziałem się poznajomić.

— Wielki Boże! wszakci to nie żarty! na to mało całego życia. Człowiek umrze i nie zostanie literatem!

— Wcale nie, mój bojaźliwy kandydacie polskiego Parnassu! Oto, weź sobie za przykład pałac bogacza. Gdybyś chciał doskonale poznać jego strukturę, rozporządzenie pokojów, ich umeblowanie, każdy sprzęt, każdy obraz wiszący na ścianie, każdą książkę w bibliotece, potrawę na stole, beczkę w piwnicy, konia w stajni i t. d., musiałbyś być architektem, tapicerem, mechanikiem, czeladnikiem wszystkich rzemiosł, malarzem, bibliomanem, encyklopedystą, winiarzem, konowałem, doktorem weterynarji i t. d., i całe życie na to nie wystarczyłoby ci. Jednak wiesz, że poznać i ocenić pałac bogacza można bez tych wielkich zachodów, mając tylko we wszystkiém *dostateczne* wiadomości. Tak samo i z naturą we względzie piśmiennictwa belletrycznego. Możesz sobie nie być takim matematykiem, jak Newton, i chemję gorzéj znać od Tenarda; ale jeśli palniesz gdzie w powiastce, że księżyc większy od słońca, że wszystkie ciała składają się z powietrza, ognia, wody i ziemi, jeśli będziesz się dziwić temu, co sobie można objaśnić elementarną nauką, a mówić ozięble o najdziwniejszych zagadkach

przyrodzenia, to każdy powieść twoję weźmie za płód żaka, który nie skończywszy szkół powiatowych, rzucił się do literatury.

— Ależ, mój dobrodzieju! rzekłem, spuściwszy nos na kwintę, wszakże w powieści można uniknąć téj niepojętéj natury, dla któréj tyle rzeczy trzeba umieć, i mówić tylko o jednych ludziach.

— I pan sądzisz, odpowiedział Frenolestes, że o ludziach mówić łatwiéj? że znać i rozumieć człowieka fraszka? O jakżeż się okropnie mylisz, mój przyjacielu! O téj dziwnéj, zagadkowéj istocie tysiące lat już piszą, tysiące lat jeszcze pisać będą, i nigdy nie wyczerpają tego przedmiotu, dla tego, że w człowieku jest coś więcéj, niż mięso, krew i kości. Chciałżebyś tylko tyle wiedzieć o człowieku, ile zobaczysz w lustrze i w salonie krótkim twoim wzrokiem, albo sam wymarzysz, albo się dowiesz z płaskich, naciągniętych, fałszywych rozmów? Z tego nie można napisać bajki dla dzieci. Księga ludzkości zawiera jeszcze więcéj przedmiotów, jak księga natury, bo natura nie myśli. Z temi przedmiotami literat powinien się bliżéj poznajomić, dla tego, że z nich nabiera pojęcia o sobie i o bliźnich. On z tysiąca stron powinien patrzeć na człowieka, jeżeli go chce poznać. Weź katalog księgarski, a zlękniesz się tego mnóztwa nauk pośrednio lub bezpośrednio traktujących o człowieku; słuchaj tylko: anatomja, fiziologja, patologja, antropologja, psychologja, logika, metafizyka, moralna filozofja i t. d., a tam historja z geografją, statystyką i ekonomją polityczną, prawnictwo, polityka, wojna i t. d., a tam nareszcie to, co się nie drukuje, a co jednak najważniejsze dla literata, *doświadczenie nabyte w pożyciu z ludźmi*. Ha! do jutrabym ci nie wyliczył tego katalogu! Pójdźmy do domu, już późno.

Nazajutrz Frenolestes, ni ztąd ni zowąd, zapytał mnie w środku rozmowy:

— A czy pan polak rodowity?

— Mój mości dobrodzieju! rzekłem zdziwiony, cóż to za pytanie?

— Bardzo przepraszam, jeśli go obraziłem. Widzisz pan, ja mam to uprzedzenie, że niemiec powinien dobrze mówić i pisać po niemiecku, a polak po polsku; tém bardziéj zaś żądam tego od człowieka, co się zabiera przemawiać do publiczności głosem albo piórem: bo publiczność nie lubi spać, kiedy nie ma zamiaru, nie lubi się gniewać, bo to psuje trawienie, i nie kocha tych, co ją targają za język. Cobyś pan powiedział o człowieku, któryby sprosił gości na bal, i kazał im się bawić, nie mając innéj muzyki, jak

trąbę pastucha i kuchenny kocioł? Czy dziwiłbyś się, żeby goście w czwał uciekli z tego balu i przeklęli gospodarza?

Nie wiedziałem co mu na to odpowiedzieć. Frenolestes sam mówił daléj:

— Życzyłbym panu bez wstydu wziąść się za grammatykę, potém za retorykę, estetykę; tylko z dwiema ostatniemi proszę być ostróżnym, bo jak zanadto wiele chłypniesz tych mądrości, to chociaż zostaniesz znakomitym Arystarchem, ale często się będziesz w swoich sądach mijał ze zdrowym rozsądkiem. Teorje w literaturze są pożyteczne tylko do pewnych granic, za któremi zaczyna się *estetyczny chaos,* albo kopuła, co niezawodnie przykryłaby wieżę babilońską, gdyby ją ludzie byli dokończyli. Radzę ci lepiéj obeznać się dobrze z pismami ojczystéj literatury i zgłębić celniejsze. Nakoniec, ponieważ nasze piśmiennictwo zostało daleko z tyłu w rzędzie europejskich literatur, to powinienbyś téż znać choć kilka cudzoziemskich języków i wszystkie arcydzieła (przynajmniéj w tłómaczeniach), począwszy od Homera, do dzisiejszych znakomitych pisarzy. Będą one dla ciebie i wzorem do naśladowania, i hamulcem przeciw admiracji miernych płodów, codziennie u nas zjawiających się.

Powiedziawszy to, pożegnał mnie.

Zamyśliłem się głęboko. Zacząłem przypominać sobie wszystko, co mi Frenolestes od trzech dni prawił, i ten ogrom wiadomości potrzebnych dla literata przywalił mi głowę jak młyński kamień. Nigdy nie myślałem, żeby literatowi potrzebną była nauka, i do tego taka obszerna, taka wielostronna! Słyszałem z samego dzieciństwa, że dość mieć *wenę,* żeby pisać; że ta *wena*, czyli natchnienie, daje się człowiekowi z natury, i sądziłem, że mi natura ją dała. Żal mi było tego słodkiego przekonania. Płakałem, pozbywając się go na zawsze, płakałem okropnie. Kręciło mi się w głowie, i wszystko w pokoju kręciło się wokoło mnie: piec, szafy, stoły, krzesła, moje cybuchy i moje fraki na kołkach. W kroplach łez, wiszących na powiekach, formy tych przedmiotów łamały się, ocieniały się różnemi kolorami, układały się w fantastyczne kształty; nareszcie wszystkie nauki i sztuki wyzwolone w najdziwniejszych materjalnych formach otoczyły mnie ze wszech stron. Filozofja, architektura, jurisprudencja, matematyka, retoryka i drugie mądrości, w postaci rogatych bisów, ogoniastych wiedźm, smoków, bazyliszków i wilkołaków, rwały się do mnie, wrzeszcząc jak opętane: Otwórz głowę, my chcemy w niéj mieszkać! Zacząłem bie-

gać po pokoju jak szalony, opędzając się od nich i krzycząc żałośnie: Nie puszczę! nie puszczę! Moja głowa pęknie, jeśli tyle gości do niéj się wtłoczy. Uczone piekło nie słuchało mnie, podług swego odwiecznego zwyczaju, i nareszcie tak mnie ścisnęło za boki, że ledwie z pod ich nóg, jak wyżeł umknąłem pod łóżko i tam zemdlałem.

Kiedy mi wróciła przytomność, spostrzegłem z wielką trwogą, że ktoś leżał przy mnie w szaraczkowym fraku i w bótach ze sztylpami.

— Kto wpan jesteś? zapytałem, mdlejąc ze strachu, czego chcesz odemnie?

— Ja? odpowiedział nieznajomy; bardzo przepraszam, prawdziwie, bardzo przepraszam, jeśli panu odbieram czas tak drogi dla niego, i którego tak mało masz do stracenia; Ale cóż robić? ojciec każe, syn musi słuchać. Jestem wysłany do wpana od potężnego Frenofagjusza, co się karmi ludzkiemi rozumami.

— Czegóż on chce odemnie? spytałem, wpatrując się w nieznajomego; ja nie mam czém pokarmić twego szanownego ojca, u mnie pusto w głowie, jak w chłopskiéj stodole na przednówku.

— Ach! wielka to jest prawda! odpowiedział człowiek w bótach ze sztylpami, któż o tém wątpi? Właśnie dla tego Frenofagjusz mnie tu przysyła.

To mówiąc, odgarnął włosy z czoła, i poznałem natychmiast, że to był Frenolestes, w trzeciéj już metamorfozie.

— Czegóż twój ojciec chce odemnie? zapytałem łagodnie.

— Potężny Frenofagjusz chce waszmości dopomódz napisać powieść, jeśli zechcesz być parę lat marszałkiem w jednym z jego pałaców.

— A jakże mi dopomoże? chyba już jakim cudem?

— Wcale nie. Zupełnie prostym, lecz najpewniejszym sposobem. Oto codzień po śniadaniu, półmiski, na których Frenofagjusz konsumuje rozumy ludzkie, będą szły prosto do kredensu, gdzie pozwala ci je wylizywać należycie. Z czasem głowa twoja napełni się urywkami rozumów ze wszystkich części świata, i napiszesz powieść.

Zgodziłem się na tę wyborną propozycję, bo istotnie człowiek z pustą głową może tym sposobem napisać co tylko pożąda. Dziś już moja głowa napełnia się do połowy, a jak będzie pełna, ułożę powieść i ożenię się z panną Paulinią.

ZAKOŃCZENIE.

Biedny literat, skończywszy swoję historję, opuścił oczy w ziemię i zapłonił się rumieńcem skromności. Takie symptomata zdarzają się tylko w domu Frenofagjusza, bo romantyzm zupełnie wypędził skromność z literatury. Żal mi było tego męczennika powieścio-pisarstwa, i żeby go pocieszyć, rzekłem mu:

— Ależ, mój marszałku, prawdziwie nie potrzeba ci już dłużéj wylizywać półmisków w kredensie Frenofagjusza. Możesz mu wypowiedzieć służbę, bo powieść twoja ułożona i gotowa.

— Jak to? zapytał marszałek z wielką prostotą.

— Tak, rzekłem, napisz tylko to, co mi opowiedziałeś dziś o drugich i o sobie, i przeczytaj hrabinie.

— I pan nie żartujesz? spytał marszałek z konwulsyjną radością, a jednak naiwnie, jak dziecko.

— Bynajmniéj.

— A jakże pan sądzisz o mojéj powieści?

— Ja nie wydaję żadnego zdania, mój przyjacielu, bo ja nie estetyk i nie krytyk. Powieść twoję oceni zapewne pan Fakundus.

— A czy nie wiesz pan co on powie?

— Przewiduję cokolwiek, że tę podróż, którą odbyliśmy z tobą, mój marszałku, po wywróconych mózgach ludzkich, przyrówna do bajecznych opisów Marco Polo; będzie mówił o Gulliwerowych wielkoludach i liliputach, o oryginalnych chodach, wybrykach, tiradach, ucinkach, o talencie, o orlich piórach, i skończy na dyssertacji o hiszpańskiéj tabace.

— I to będzie recenzja?

— A jużci tak. Jakże się tego rodzaju gadanina może inaczéj nazywać u nas?

— *Ich salutire, mein Herr!* sługa uniżony! Co tam myśleć o tych drobnostkach! ja mam ważniejszy interes na głowie, spieszę do hrabiny.

I ukłoniwszy się, pobiegł.

O kilka kroków zatrzymał się, i zwracając się do mnie, zawołał:

— Pamiętaj, łaskawco, przyjedźże jutro na moje wesele!

Biedaku! pomyślałem sobie, dla czegóżeś tak późno i dopiero u Bonifratrów zdobył się na taką nędzotę, jak *powieść?!!* Dziś każdy żak potrafi napisać w kilka dni to, co cię doprowadzi-

ło do warjacji. Bo cóż łatwiejszego, jak napisać powieść?... Siąść, umoczyć pióro i bazgrać na papierze, co tylko do głowy przychodzi, oto cały sekret. Alboż to się pisze dla pożytku? albo dla rozwinięcia jakiéj ważnéj myśli? Wcale tego nie potrzeba. Dość, kiedy nie bardzo znudzi. Nawet tego dosyć, że książeczka nowa. Publiczność nie wymaga wiele od powieści.

Wyszedłem na ulicę, i z myślą pełną dum wróciłem do domu, zapomniawszy zupełnie o złotym pomniku, który mi ziomkowie postawili za życia.

Jak to dobrze, że mnie przypadek zaprowadził do Bonifratrów! pomyślałem sobie. Kto wie? gdybym był kilka dni pomarzył, jak dziś rano, możeby mnie tam zawieźli i zostawili?

W miesiąc potém miałem okoliczność poznać hrabinę i jéj córkę.

Panna Paulina dawno już była zamężem. Kiedy jéj wspomniałem o Edwardzie, zapłoniła się i rzekła:

— Ja nigdy nie znałam tego człowieka!

Na manuskrypcie podpisano:

VINCENTIUS PANTOFEL

in tormentis cefalalgiæ scripsit.

Petersburg, 1842.

WIERSZE

znalezione w papierach

NIEBOSZCZYKA PANTOFLA.

I.

BARTŁOMIEJ

W CHMURACH.

Pan Bartłomiéj Kapusta — zapewne go znacie,
Siadł sobie raz na łopacie,
I tak się mocno zamyślił,
W takie bujne wpadł marzenia,
Takie mądre plany kréślił
Dla przyszłego pokolenia,
Że dum tych siłą porwany do góry,
Na swojéj łopacie uleciał w chmury.
Czego tam szukał, lub chciał się dowiedzieć,
Prawdziwie nie wiem, i nie jestem w stanie
Dać wam odpowiedź na to zapytanie.
Sądzę jednak, że w chmurach długo musiał siedzieć,
Bo mu sąsiad w tym czasie uwiódł młodą żonę,
Złodzieje bydło skradli, zboże na pniu zgniło,
Chatę wzięto za długi, gumno się zwaliło,
Uciekło nawet psisko głodem wycieńczone.
A gdy Bartłomiéj górne sfery rzucił,
Sąsiedzi się zdziwili,
Kiedy zobaczyli,
Że jak głupim uleciał, tak głupim téż wrócił!

Rzekł wu więc pewien starzec kontuszowy:
„Méj rady posłuchaj, bracie!
„Nie bujać waści trzeba na łopacie,
„Lecz łopatą rozumu nałożyć do głowy.“

Petersburg,
Styczeń, 1842 r.

II.

Do * * * [1]).

O! na téj ziemi, w tym odmęcie świata,
Wszystko człowieka zdradza po kolei.
Girlanda szczęścia, którą serce splata,
Zbyt prędko więdnie wśród lasów zawiei;
Przyjaźń nas łudzi, miłość nas odlata,
Gaśnie w pomroce słaby blask nadziei,
I ledwie minie młodości wiek złoty,
Już idą nudy, troski i zgryzoty!

—

Dzisiaj tyś młoda, niebo twe pogodne
I żadną chmurką jeszcze nie zaćmione;
Lecz wkrótce może nadbiegną dni chłodne,
Wkrótce z twych oczu czas zdejmie zasłonę;
Wtenczas obaczysz, jak wszystko jest zwodne,
Na wiele cierpień życie osądzone....
I gdy twe serce myśl szczęścia pogrzebie,
Jeden ci tylko zostanie bój w niebie!

—

1) Do tego wierszyka pan W. Każyński raczył napisać śliczną muzykę.

Dziś nie myśl o tém, niechaj młodociana,
Czysta, jak wody rajskiego strumyka,
Dusza twa cudnym marzeniom oddana,
Nie wie, jak wcześnie sen o szczęściu znika;
I nie wierz wcale, że smutna przemiana,
Prędzéj czy późniéj każdego spotyka.
Dziécię! usypiaj na łonie swéj matki,
Nie patrz, jak burza połamie twe kwiatki!

III.

NATURA.

Z każdym dniem
Ja słabieję,
I przybliżam
Się do grobu;
A w około mnie
W przyrodzeniu
Wszystko żyje
  Życiem dzielném,
  Pełném siły.

Ja się śmieję,
Cierpię, płaczę,
Dumam, żądam,
Próżną marą
Serce łudzę,
I sam sobie
Życie truję.
A w koło mnie
W przyrodzeniu
Sił miliony
Bezustannie
Się rozwija;

Każda dąży
Do swéj mety
Pewnym trybem,
Wedle wiecznych
Praw natury!

O naturo
Wiecznie młoda,
Wiecznie świeża,
Nieskalana,
Niezachwiana,
Wiecznie silna,
Wiecznie zimna!
Jak nikczemny
Przed twą mocą
Jest z nas każdy,
Jestem ja!

O naturo
Niepojęta!
Żywicielko
I władczynio!
Nim pochłoniesz
Proch mój marny
W nieobjętém,
Chłodném łonie,
Odsłoń, odsłoń
Choć na chwilę
Przed mém okiem
Twą zasłonę
Tajemniczą,
Niech przynajmniéj
Przed mogiłą
Pojmę cuda
Twego życia,
Pojmę dziwy
Twéj potęgi.

Petersburg,
24 Maja, 1842 r.

IV.

ŻAL DZIEWCZYNY [1]).

W zimny grób go
Położyli,
Ziemią pierś mu
Przytłoczyli,
A nad głową
Dla pamięci
Postawili
Krzyż drewniany,
Prosty krzyż!
Tam na niebie
Lazurowém
Świeci słonko
Jasno-włose,
I promieniem
Dobroczynnym,
Brylantowym,
Purpurowym,
Światło leje,
Ciepło sieje,

1) Muzyka do tego wierszyka znajoma publiczności ze Śpiewnika pana Moniuszki.

Na świat boży;
A on martwy
Leży w grobie,
W ciemnym, chłodnym,
Ciasnym dole;
Biedny on!
Szumi wietrzyk
W młodym gaju,
Igra w listkach
Drzewek, kwiatów;
Nad zwojami
Cudnéj róży
Złoty motyl
Się kołysze;
Z góry, z nieba,
W falach światła
Pływający
Skowroneczek
Piosnkę dzwoni;
I przyroda
Tchnie rozkoszą,
Jako młoda
Narzeczona
Przy kochanku,
Przed ołtarzem;
Czemuż on,
Tylko on,
Wśród wesela
Tego święta
Leży martwy,
Cichy, smętny,
Jak sierota,
Któréj został
Tylko Bóg,
Jeden Bóg!

Wstań, mój luby!
Wstań mój miły!
Do kochanki
Wyjdź z mogiły!

Ja cię przyjmę
W swe objęcia,
Ja cię piersią
Swą ogrzeję,
Łez mych rosą
Piasek z oczu
Ci obmyję,
I twą piosnkę
Ulubioną
Śpiewać będę,
I na szyi
Twéj zawisnę,
Wiecznie, wiecznie,
I na ziemi,
I za ziemią,
Będę twoją,
Miły mój!
Luby mój!

Wszystko próżno!
On nie słyszy
Moich jęków,
On nie widzi
Moich łez!
Matko Boska!
Z niebieskiego
Tronu Twego
Litościwie
Na mnie spójrz;
Skróć me życie,
Próżne życie!
Przy kochanku
Daj mi spocząć
Wiecznym snem;
I co ziemia rozłączyła,
Świętą dłonią
Ty na wieki
Znowu złącz.

V.

Do * * *.

Powiedz, dla czego odwracasz odemnie
Oko, którego nie szukam mém okiem?
Czego twe czoło wraz smętność ocienia,
Kiedy nawiasem choć słówko przemówię?

Czego? wszak wzrokiem, ni mową nie budzę
Tobą zerwanych, w mém sercu zatrutych
Uczuć i wspomnień zagasłéj miłości!
Witam cię zimno i żegnam poważnie,
Zawsze o fraszkach rozmawiam wesoło,
Nigdy cię żalem, westchnieniem nie nudzę,
Nigdy nie słyszysz z ust moich wyrzutu.

Czegóż więc z trwogą odwracasz odemnie
Oko, którego nie szukam mém okiem?
Czego twe czoło wraz smętność ocienia,
Kiedy nawiasem choć słówko przemówię?

Widzę twą bojaźń, ty lękasz się, biedna,
Słaba istoto, by mąż twój, lub drudzy,
Z rysów méj twarzy, z wyrazów mych tonu,
Dotąd im skrytych tajemnic nie zgadli.

O! bądź spokojna! ja teraz w salonach
Jestem kamieniem, na którym, prócz ciebie,
Śladów uczucia nikt zbudzić nie zdoła.
Chociaż twą ręką stargane te więzy
Które mą duszę łączyły z twą duszą,
Jednak im mocy dość jeszcze zostało,
Żeby od zmazy zachować twe imię.

Porzuć więc bojaźń, nie lękaj się, biedna,
Słaba istoto, by mąż twój, lub drudzy,
Z rysów méj twarzy, z wyrazów mych tonu,
Dotąd im skrytych tajemnic nie zgadli.

Pląsaj i wesel się, wietrzna kobiéto,
Zagładź w twéj duszy ostatnie pamiątki,
Niechaj cię nigdy mój widok nie trwoży,
Ani litości nie budzi w twém łonie.

W świetnych komnatach, śród gwaru, natłoku,
Wkrótce w mych rysach nie dojrzysz żadnego
Znaku téj męki, co gniecie mnie w ziemię;
Moje cierpienia są ciche, samotne;
Ja czczę swą boleść, jak święte zwaliska
Raju, co kiedyś był moją dziedziną!
Skryłem ją światu, i skryję przed tobą!

Pląsaj więc, wesel się, wietrzna kobiéto,
Zagładź w twéj duszy ostatnie pamiątki,
Niechaj cię nigdy mój widok nie trwoży,
Ani litości nie budzi w twém łonie!...

VI.

DO MŁODEGO ARTYSTY [1])

X. Y.

—

Długoż, majtku mój młody,
Czekać będziesz pogody
I pomyślnéj na falach przemiany?
Czas naprożno ubiega,
Łódź twa gnije u brzega,
A ty stoisz jak w ziemię wkopany!

—

Próżno ciszy ty żądasz,
Dnia jasnego wyglądasz.
Wszak nawałność żywiołem żeglarza!
Tylko burzą niesiony
Żeglarz wielki, natchniony,
Jest jak kapłan w obliczu ołtarza!

—

1) Do tego wierszyka prześliczna muzyka p. W. Każyńskiego, pomieszczona w Roczniku Literackim na rok 1843.

Cicho, drzémiąc, pomału
Płynie gmin bez zapału,
I blednieje; gdy niebo się chmurzy!
Ty nie lękaj się wałów,
Gromów, grzmotu i strzałów,
Bo grom łodzi twéj orli lot wróży!

—

Patrz! ta gwiazdka na niebie
Świecić będzie dla ciebie
Śród pomroki i morskiéj zawici;
Natęż na nią twe oko,
Rozwiń żagiel szeroko,
I płyń z Bogiem, a nie trać nadziei!

—

Daléj! żwawo! dziś płonie
Święty ogień w twém łonie,
Lecz on gaśnie w rachubach rozumu;
A kto raz go wyziębi,
Ciałem duszę swą zgnębi,
Ten na wieki zostanie wśród tłumu!

VINCENTIUS PANTOFEL

MAGISTER MED. ET CHIRURGIÆ

Ci-devant Poète.

VII.

MAGDA KARCZMARKA [1]).

Wdowa powinna pamiętać nieboszczyka przynajmniéj rok i sześć niedziel. — *Godło.*

W pustéj karczmie Magda siedzi
Na zydelku u komina,
Czasem wzdycha, czasem ziewa,
I na drzwi pogląda z boku.
Późno w nocy drzwi skrzypnęły,
Wchodzi chłopiec malowany,
Żołnierz — ułan — zawadjaka,
Brzęka szablą, ostrogami.

„Hej karczmarko! hej Magdusiu!“
Krzyczy urwis jeszcze z progu,
„Witaj! wdówko moja młoda!
Przyjmij gościa na kwaterę!“
„Precz żołnierzu! precz ułanie!
Szukaj sobie drugiéj chaty;
Jam bez męża, jam w żałobie;
Ledwie tydzień od pogrzebu.“

1) Do tego wierszyka p. Moniuszko dorobił prześliczną muzykę.

„Co tam pogrzeb! co żałoba!
Jeden umarł, będzie drugi.
Hulaj duszo, pókiś młoda!
Nuże, Magdo, przyjm ułana!“
Skoczył do niéj, objął w poły,
Cztery razy pocałował,
Cztery razy naokoło
Z nią mazurka przetańcował.

Czego wiarus nie dokaże?
Patrzcie, Magda już nie siedzi
Na zydelku u komina,
Ani wzdycha, ani ziewa;
Biega, lata, stół nakrywa,
Postawiła wódki, piwa,
Wszystko z kątów, z szaf wyjmuje
I ułana wraz częstuje.

„No, gosposiu! jam już syty,“
Wrzasnął żołnierz, otarł wąsy,
Znowu Magdę pocałował,
Walca wkoło przetańcował.
Młoda wdówka się nie broni;
Nic dziwnego! zapomniała
Męża złego i starego,
Od tygodnia umarłego.

„Słyszysz? Magdo! tam na dworze
Głuchy gwar i chichotanie....
To koledzy ze wsi całéj
Tu z grajkami tańczyć idą!“
Magda do drzwi pędem bieży,
Zaryglować pewnie chciała....
Nie dobiegła, nie wzbroniła,
Widać pierwszą myśl zmieniła.

Idą, idą, maszerują
Ze skrzypkami z cymbałami,
I z basetlą i z trąbami;
Każdy ułan dziéwkę wiedzie;

Z hukiem, stukiem, krzykiem, brzękiem,
Całą bandą w drzwi się tłoczą,
Wpadli wreszcie, wkoło stali
I swym grajkom grać kazali.

Hoc! hoc! tańczą jak szaleni,
Bez ustanku wciąż hasają,
Aż z czupryny im się kurzy,
Aż im lica ogniem płoną;
Skaczą, tupią, biegną, lecą,
Ostrogami łupca biją,
Dokazują, hałasują,
Aż się karczma trzęsie stara.

„Hej! kapelo! wy szubrawce!“
Krzyczy ułan z pierwszéj pary,
„Ja tu z Magdą rej prowadzę,
A gdy hulam, nie żartuję.
Hej! kapelo! graj od ucha
Obertasa na odsipkę,
A skocznego, a rażnego,
Hoc, hoc, hi ha! hoc, hoc, hi ha!“

Stanął, świsnął, klasnął w dłonie,
Zwrócił Magdę w drugą stronę,
A za nimi całe kolo
Pląsa, bieży w chyżym pędzie,
Jak na stepie zawierucha.
Magda śmieje się, chichocze,
Ułanowi patrzy w oko,
Hoc, hoc, hi ha! hoc, hoc, hi, ha!

Tak hasali, wywijali,
Skocznie, żwawo, jak szaleni,
Do północy; po północy,
Póki kury nie zapieli;
Potém wszyscy, w długim rzędzie,
I karczmarka wpół zemdlona,
W mgnieniu oka, jak umieli,
Tak kominem wylecieli.

Starą karczmę piorun spalił.
Tam gdzie stała, teraz wkoło
Rosną chwasty, pełzną gady;
Dzikie dźwięki słychać w nocy.
Każdy miejsce to omija.
Lecz widzieli nieraz ludzie
Płocką Magdę, grzeszną wdowę,
Jak z djabłami tam wywija.

Petersburg,
26 Maja, 1842 r.

KONIEC.

SPIS RZECZY

w tomie drugim zamarłych.

Str.

Urywki z pamiętnika oryginalnie wychowanéj kobiéty 1

Dusza w suchotach. Wyciąg z papierów doktora. 61

Frenofagjusz i Frenolesty 131

Wiersze znalezione w papierach nieboszczyka Pantofla:

I. Bartłomiéj w chmurach.—II. Do ***.—III. Natura.—IV. Żal dziewczyny.—V. Do ***.—VI. Do młodego artysty.—VII. Magda karczmarka . . . . . 199—217

1500
1000/6/3/588.
A 11000,

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
203554

Biblioteka WSP Kielce
0067679